

Wyprawa

Z dedykacją dla Grento YTP, Stormy Mood, MagiMemNon oraz Suchara.
W podziękowaniu za użyczenie postaci oraz uniwersum.
Oby ta powieść przyniosła wam tyle frajdy ile mi jej napisanie.
Darkbloodpony.

Wyprawa

Dwadzieścia lat wcześniej w innym wymiarze.

Czterokopytne stworzenie o granatowej sierści rozświetliło róg. W powietrzu wyczuwało się swąd oleju oraz magii. Pracująca maszyneria tykała równomiernie niczym w metronomie. Dookoła kuca działały setki mechanizmów, kół zębatych, wiatraków, wichajstrów, pasów, magicznych kamieni. Złożone w całość tworzyły półkolisty łuk ze szpilami grubości ogierzego kopyta, zwróconymi do wewnątrz.

Kuc uśmiechnął się. Dzieło życia było gotowe. Ostatni element, rzadki kamień energetyczny, przyszedł pocztą dostarczony przez szarą pegazicę. A teraz spoczywał w kopytach naukowca.

— Tegoroczna nagroda naukowa imienia księżniczki Twilight Sparkle będzie moja!

Myśli ogiera podążały za słowami. Obrazy czerwonego dywanu, setek tysięcy kucyków patrzących wyłącznie na niego, zazdroszczących, podziwiających oczu chcących zostać nim. Matek i ojców wskazujących kopytem na niego, mówiących:

— Jak będziesz się dobrze uczył, to też dostaniesz taką nagrodę.

Myślał o wręczeniu nagrody, o oklaskach niemających końca. *Clop. Clop. Clop.* O przemówieniu, którym uciera nosa rywalom, którzy wyśmiewali teorię innych wymiarów.

— Spokojnie Apteryx, pierw musimy uruchomić maszynериę, wybrać się do innego wymiaru oraz bezpiecznie wrócić.

Naukowiec spojrzał na założone juki zawierające jedzenie, kilka książek przydatnych do skomunikowania się z obcymi oraz papier toaletowy, tak na wszelki wypadek.

Ogier wziął głęboki oddech. Schował naładowany kamień energetyczny, który miał mu zapewnić niezbędną magiczną siłę potrzebną do bezpiecznego powrotu. Podeszedł do konsol, wybrał współrzędne innego wymiaru i uruchomił portal.

Koła zębate przyspieszyły. Wiatraczki wirowały z pełną mocą. Magiczne klejnoty zaczęły rytmicznie pulsować w takt wyznaczony na panelu nastawczym. Pomiedzy kolcami na bramie przeskakiwały wyładowania elektryczne. Po chwili wyłonił się portal, niebiesko-czarna masa nieprzenikniona dla oczu.

Apteryx spoważniał. W duchu poprosił o opiekę Celestie. Przekroczył portal.

Otworzył oczy. Ciemność. Pod kopytami brzęczały metalowe, niezidentyfikowane obiekty. Głowa ciążyła kucykowi, jakby ktoś przymocował do szyi kilogramowe obciążniki. Jednorożec rozjarzył róg. Mrok ustąpił. Naukowiec spojrzał pod kopyta, gdzie dostrzegł stertę gwoździ, metalowych odłamków i innych śmieci. Apteryxowi nie podobało się to miejsce. Zapach stęchlizny, płaska skała pod kopytami, ciążenie głowy. Nadal jednak nie znalazł niczego, co mógłby uznać za dowód istnienia innych wymiarów, który przedstawiony w ojczyźnie, nie naraziłby go na ośmieszenie.

Rozświetlił mocniej róg. Krąg światła rozszerzył się, ukazując kolejne śmieci i jeszcze coś. Przedmiot, którego kuc nie rozpoznawał. Półprzezroczysty skrawek materiału z dwoma otworami u podstawy i lekkością, jaką nie miał żaden artefakt istniejący w Equestrii.

Jednorożec powstrzymał się przed wyrażeniem radości w słowach, zbyt bał się nowego miejsca. Spojrzał na boki i ruszył ku znalezisku.

Odgłos kopyt niósł się echem w przestrzeni, grmiąc niczym lawina w wysokich górach. Każdy krok zdawał się być tym ostatnim. Kuc dotarł do artefaktu, podniósł szeleszczące znalezisko i schował do juków.

— Starczy, pora wracać — wyszeptał ogier, uspokajając nerwy. Sięgnął po kamień energetyczny, który wymknął mu się z kopytka i poturlał po ziemi.

Rozległ się grzechot gwoździ, blisko, za blisko Apteryxa. Po grzbiecie ogiera przeszły ciarki.

Kucyk pomału spojrzał za siebie.

Stworzenie, które zobaczył, przypominało equestriańskiego smoka, wysokiego, dwunożnego, z łapami pozbawionymi łusek, lecz mocnymi, czarnymi pazurami. Głowę stworzenia pokrywało futro.

Smok stał naprzeciwko kuca, z pochyloną głową niczym sługa trzymał w szponach ostry szpikulec.

Apteryx głośno przełknął ślinę i rzucił się do ucieczki.

* * *

Ziemia, czas obecny.

— Zanim wejdziecie, dwa słowa. Po pierwsze, nie wspominajcie o papierosach i alkoholu, nie palcie, nic nie zamawiajcie, chyba że naprawdę będzie w bardzo dobrym humorze. Po drugie, najważniejsze, nie nazywajcie jej stalkerem. Nienawidzi stalkerów, jasne?

Stojący przed wejściem do baru trzydziestolatek, ubrany we flanelową koszulę i jeansy, pokiwał głową, rzucił rozżarzonego papierosa na ziemię i zgasił niedopałek butem.

— Spokojnie staruszk. Wszystko rozumiemy, prawda kochanie?

— Oczywiście, ptysiu — odpowiedziała kasztanowa, obficie wyposażona seksbomba, opierając się o ramię chłopaka.

Ubrany w długi, wojskowy płaszcz staruszek, z szablą u boku, zmrużył oczy, patrząc podejrzliwie na młokosów. Po chwili odwrócił się i otworzył drzwi.

— Chodźcie za mną.

Alrix wraz z Delektiwą poszli za przewodnikiem.

Dym, swąd chmielu, woń szczyń i gwar rozmów uderzyły w zmysły towarzyszy marynarza. Przy stolikach siedziały moczymordy, skąpo ubrane dziewczki oraz hazardziści wypływający pensję na oszukańczej grze w karty. Za kontuarem stał umięśniony barman rozlewający wodę do szklanek, pospieszając dziewczuchy roznoszące sikacza gościom. Gwar, smród i zaduch mieszały się w jedno charakterystyczne doznanie identyczne dla każdej speluny ukrytej w cieniu.

Staruszek manewrował między stolikami, przedzierał się przez kłęby dymu, prowadząc Alrixa prosto na skraj sali do cichszych i spokojniejszych stolików.

— To ona — powiedział, wskazując samotnie siedzącą kobietę, dwudziestokilkulatkę z wykałaczką w ustach i szklanką z sokiem grejfrutowy na stole.

— To na pewno ona? Wygląda mi bardziej na zbuntowaną nastolatkę niż osobę ściganą listem gończym w trzydziestu krajach — powiedziała Delektiwie z kpiącym, wiosennym uśmiechem na ustach.

— Ja tutaj jestem i wszystko słyszę.

Alrix, Delektive i starzec odwrócili się w kierunku dziewczyny o czarnych, krótko obciętych włosach z czerwonymi końcówkami.

— Przestańcie głądzić i przejdźmy do interesów.

Dziadek wskazał dwa stoliki przeznaczone dla gości, po czym ruszył w kierunku wyjścia.

— Galion, ty też zostajesz — mruknęła Rubby pod nosem.

Mężczyzna kiwnął głową, sięgnął po najbliższe wolne krzesło i dosiadł się do reszty. Dopiero z bliska zobaczył leżącą obok szklanki broń — załadowanego i zabezpieczonego orła pustynnego.

— Miałaś przyjść bez broni.

— On miał być sam — odpowiedziała właścicielka pistoletu, wskazując Delektive. — Bez silikonowej lali.

Alrix spojrzał ukradkiem na kochankę, odczytując irytację na twarzy dziewczyny, co źle wróżyło nadchodzącym sypialnianym igraszkom.

— Ile będzie nas to kosztować?

— Najpewniej życie i osiem tysięcy dolarów, gotówką — mruknęła przestępczyni, stukając rytmicznie palcami po blacie. — Płacicie cztery tysiące przed i cztery po. Sprzęt we własnym zakresie. Wszystko jasne?

— Tak.

— Alriksiu, naprawdę nie stać nas na kogoś lepszego? Wygląda groźnie, ma nawet fajny wisiorek. — Delektive wskazała na czerwony kryształ wiszący na szyi przestępczyni. — Jednak w szklance ma sok grejpfrutowy, jak jakaś mała dziewczynka. Ma też broń. Śmiem jednak wątpić, żeby kiedykolwiek z niej strzelała, ani tym bardziej była w Strefie.

Zapadła cisza. Rubby przestała wybijać palcami rytm. Broń na stoliku leżała wyzywająco, czekając na właściciela, zabezpieczona, gotowa do strzału, błagająca o wykorzystanie. Galion nerwowo spoglądał na dziewczyny, niemo prosił o pomoc faceta Delektiw. Obcokrajowiec nie reagował. W końcu Rubby sięgnęła po szklankę i pomału upiła łyk.

— Alrix, to twoje imię? — Rubby zwróciła się do mężczyzny w szarej koszuli.

— Tak. Coś w tym niezwykłego?

— Jesteś obcokrajowcem, pochodzisz z sierocińca, bardzo złego sierocińca?

Polak uniósł ze zdziwienia lewą brew.

— Czytałaś moje akta?

— Można tak założyć.

— Tak, to prawda.

Rubby uśmiechnęła się szeroko, schowała orła do kabury, wstała, obeszła stolik i przytuliła Alrixa.

— Jak się cieszę, że cię widzę. Pamiętasz Samhaitine, a może wiesz, gdzie podziewa się Vocal albo Cigarette? — Widząc, zaskoczoną minę przybysza dodała. — No tak, skąd masz wiedzieć, to nawet nie wydarzyło się w tym świecie.

— To mój facet — syknęła Delektive, odpychając przestępczynię od obcokrajowca.

Rubby otarła łzę z policzka, oddaliła się od przybysza i wróciła na miejsce.

— Spotkamy się jutro w południe, przy maszcie Berbera. Nim ruszymy, muszę załatwić jeszcze kilka spraw na mieście. Tymczasem napijemy się za przeszłość, która nie istniała — zawołała wesoło Rubby, przywołując kelnerkę. — Sok grejpfrutowy dla mnie. Co dla was?

— Butelkę rumu — rzekł szorstko Galion.

Rubby spojrzała na Alrixa oraz Delektiwe. Obcokrajowiec odwrócił się do kochanki.

— My także musimy jeszcze załatwić kilka spraw przed wyjazdem. Prawda, kochanie? — rzekła seksbomba masując, posuwistym ruchem, udo obcokrajowca.

— Tak. Racja. Musimy już iść — odpowiedział Alrix, wstając z krzesła i podając rękę kochance. — Delektiwo?

Seksbomba skinęła, chwyciła dłoń partnera i rzuciła ostatnie spojrzenie Rubby.

— Do zobaczenia, suko.

Galion odprowadził wzrokiem gości, bezskutecznie próbując nie gapić się na tyłek Delektiwe. Podziękował służącej za rum, po czym zza pazuchy wyjął pierśiówkę i zaczął przelewać alkohol do pojemnika.

— Rubby. Nie podoba mi się Alrix i ta cała Delektiwa. Lepiej będzie jak odpuścisz to zlecenie i poszukasz grosza gdzie indziej.

Dziewczyna odczekała, aż staruszek uzupełni pierśiówkę, po czym chwyciła butelkę i przelała trochę alkoholu do soku grejpfrutowego. Rubby pociągnęła łyk drinka i mlasnęła z zadowoleniem.

— Jak ty możesz tak to pić?

— Jestem kobietą i mam prawo do fanaberi.

Galion pokręcił głową, chwycił butelkę i pociągnął spory łyk.

* * *

Gwiazdy, tysiące białych punktów w sklepieniu, dziurawiących nieboskłon niczym otwory po kulach, rozmywały się w oczach czarnowłosej kobiety o karmelowych tęczęwkach. Wietrzyk oplatał zimnym dotykiem żdźbła trawy otaczające obcą istotę. Kobieta chrząknęła mocno, głęboko. Trzęsącą się ręką sięgnęła w dół do brzucha. Syknęła z bólu. Czula ciepłą krew sączącą się z rany. Życie uciekające z każdym taktom serca. Obróciła głowę w bok. W połowie zwęglone ciało mężczyzny leżało bezwładnie z lustrzanką na piersi. Martwe? Żywe? Przez chwilę Cigarette widziała unoszącą się pierś towarzysza.

Czy to ta pora? Zwidy? Koniec...

Kobieta zacisnęła zęby. Była zmęczona, naprawdę mocno zmęczona. Marzyła jedynie o poduszce i chwili spokoju. Cigarette przygryzła wargę. Dodatkowy ból otrzeźwił umysł dziewczyny. Jednak nadal nie potrafiła stwierdzić, czy przyjaciel oddycha. Postrzelona kobieta oparła się na łokciu. Poczula silny zawrót głowy, na który zareagowała wymiotami. Cigarette odwróciła głowę do ziemi i wypluła kwas. Zastygła w bezruchu, nabierając sił na dalszą wędrówkę. Mięśnie piekły, bok rwał z każdym oddechem, jednak dziewczyna walczyła. Wytężyła siły i przeczołgała się pół metra dzielące ją od przyjaciela. Opadła na ziemię, jęknęła z bólu. Odwróciła się na plecy. Zimny pot spływał z czoła Cigarette, drażniąc oczy i skórę. Postrzelona odwróciła się i spojrzała na przyjaciela.

Z bliska Vocal wyglądał znacznie gorzej, niż przypuszczała. Spalone ubranie stopiło się ze skórą, tworząc czarnoczerwoną mozaikę, przewodzącą na myśl strukturę terakoty. Szczątki włosów opadały na nagą skórę czaszki. Nietknięta szyja lśniła niczym drogocenny klejnot. Nadtopiony obiektyw lustrzanki wygiął się pod dziwnym, nienaturalnym kątem.

Cigarette wyciągnęła rękę i dotknęła szyi przyjaciela. Wyczuła nitkowaty ucisk.

Żyje — pomyślała, jednak szybko pozbyła się entuzjazmu. — *To za mało. Mogłam wyczuć własny puls.*

Dziewczyna wzięła głęboki oddech. Odsapnęła. Spojrzała na pierś Vocala. Obserwowała, czekając na najdrobniejszy ruch, potwierdzenie wcześniejszych wniosków.

Nie znalazła niczego.

Dziewczyna sięgnęła do rany, która nadal krwawiła. Wiedziała, że jeśli szybko czegoś nie wymyśli, to umrze. Cigarette ponownie spojrzała na przyjaciela.

— Wybacz — wychrypiła.

Przesunęła się w dół, ku spodniom Vocala, zdjęła pasek przyjaciela i odłożyła go na bok. Następnie, trzęsącymi się dłońmi, ściągnęła koszulę. Zaciśnęła zęby, przyłożyła tkaninę do rany. Syknęła z bólu, chwyciła pasek, przeciągnęła go pod plecami i zapięła, wybierając najniższe możliwe oczko. Sapnęła z wysiłku i legła na ziemię, oddychając ciężko.

* * *

Alrix wstał, założył bokserki oraz wczorajszą koszulę. Spojrzał na łóżko, gdzie leżała naga Delektive, na wpół przykryta pościelą. Uśmiechnął się. Od zawsze pragnął takiej kobiety, pełnej wdzięków, z dużymi walorami, o delikatnej skórze, zawsze chętniej na łóżkową przygodę, a teraz ją miał przed sobą, na wyciągnięcie ręki. Obcokrajowiec opuścił sypialnię. Poszedł do kuchni, zajrzał do lodówki i wyciągnął jajka, mleko, paprykę i cebulę. Postanowił przyrządzić pożywny i prosty omlet. Pokroił warzywa. Rozbił jajka, utrzepał wraz z mlekiem na patelni, po czym dorzucił cebulę i paprykę, na końcu doprawiając całość szczyptą pieprzu i soli.

— Co robisz, koteczku?

Alrix obrócił się. W progu ujrzał kochankę ubraną jedynie w puszysty szlafrok. Z trudem wrócił do omletu.

— Śniadanie-niespodziankę, specjalnie dla ciebie, ptysiu.

Delektive podeszła do obcokrajowca, zajrzała do patelni, po czym pocałowała Alrixa w policzek.

— Uwielbiam omlety, szczególnie gdy są przyrządzane przez prawdziwych mężczyzn.

Seksbomba zaparzyła kawę, rozłożyła talerze oraz sztućce, następnie usiadła i, czekając na śniadanie, popijała czarny napar.

— Martwi mnie ta cała Rubby. Zastanawiałam się nad nią. Wygląda mi na kogoś, kto uciekł z wariatkowa. Skąd mogłeś ją znać? Samhaitine to dziwne słowo. Nawet nie wiem, co ono znaczy. Nie przespałeś się z nią, prawda?

— Oczywiście, że nie. Jest brzydka i zupełnie nie w moim typie — odpowiedział Alrix, zdejmując patelnię z gazu, po czym nałóżał omlet na talerze i usiadł naprzeciw Delektiwie.

— Naprawdę? Bo jakoś trudno mi w to uwierzyć.

— Przysięgam, naprawdę. Daję słowo na malucha. Kompletnie nie wiem, co miała na myśli, mówiąc o Samhaitine. Kurwa. Pewnie to Strefa rzuciła jej się na mózg i pomyliła mnie z kimś innym. Jednak martwi mnie coś innego. Skąd zna Cigarette i Vocala?

— Pewnie z Samhaitine, gdzie we czwórkę bzykaliście się na całego.

Alrix ukroił kawałek omleta, zjadł, odkroił kolejny kawałek i znowu zjadł. Głowę obcokrajowca wypełniała pustka. Delektiva miała wady, a uparte stanie przy swoim należało do jednej z nich.

— Ignorujesz mnie, kotku?

— Nie, nie ignoruję. Po prostu nie wiem, co powiedzieć. Setny raz powtarzam ci, że pierwszy raz widziałem ją w tamtej spelunie. Sam byłem mocno zaskoczony jej zachowaniem.

Delektiwe milczała.

— Wiem, że jesteś zazdrosna, ale naprawdę nie ma o co.

— Wcale nie, ta ździra nie dorasta mi do pięt.

Obcokrajowiec westchnął w duchu. Delektiwa naprawdę w ciekawy sposób okazywała brak zainteresowania Rubby i zdarzeniami zeszłej nocy.

— W Strefie będziemy musieli naprawdę uważać. Słyszałem, że ludzie zawsze wracają stamtąd inni. Nie tylko psychicznie. Później ich dzieci rodzą się z futrem i z czarnymi oczami, a i tak rodzice uważają to za dobry omen.

Delektiwe dokończyła omlet, wstała, przeszła za krzesło kochanka i zaczęła masować barki Alrixa.

— Podobno nie chcesz mieć dzieci.

— Tak, jednak wolałbym nie zasypywać tej drogi, tak na wszelki wypadek.

Dziewczyna o wiosennym uśmiechu zaczęła intensywniej masować barki obcokrajowca, nachyliła się i przygryzła ucho kochanka.

— Będziemy o tym myśleć później. Teraz pora na deser, kocurku.

Alix odłożył widelec i wstał z krzesła.

* * *

Cigarette osłoniła oczy. Chciała wypocząć jeszcze chwile, jeszcze przez dziesięć minut odsapnąć. Jednak coś wrednego, pewnie Vocal świecący latarką, postanowił ją obudzić i ściągnąć z łóżka. Dziewczyna obróciła się na bok. Poczuła rozrywający ból. Syknęła. Otworzyła oczy. Ową wredną latarką okazało się słońce. Cigarette nigdy wcześniej nie czuła takiej radości i nienawiści jednocześnie do tej gwiazdy.

Żyje — pomyślała.

Spojrzała na brzuch.

Przekrzywiony pasek utrzymywał się na miejscu. Prowizoryczny bandaż przesiąkł krwią, która już zdążyła skrzepnąć. Skóra wokół rany postrzałowej wyglądała kiepsko i na domiar złego była brudna. Dziewczyna miała więcej niż sto procent pewności, że w ranę wdało się zakażenie. Odwróciła się do Vocala.

W świetle dnia wyglądał lepiej niż wcześniej sądziła. Owszem, miał spaloną skórę i ubranie, jednak lewy bok był prawie nietknięty. Dostrzegła coś jeszcze. Drobny ruch piersi, wolno unoszącej się i opadającej.

— Żyjesz.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

Serce Cigarette zaczęło bić lżej. Powoli usiadła. Czuła mdłości, przeszywające pulsowanie w skroni, jednak zacisnęła zęby i wytrzymała.

Przeżyli spotkanie z bandytami oraz wybuch anomalii. Czego chcieć więcej? Krązków kręcących się w nieskończoność wartych tysiące dolców? "Agrafek", "pustaków" czy może "czarnego puddingu" zmieniającego kości nieszczęśnika, który w niego wpadł, w gumę? Rupieci wartych fortunę, dla których naraziła wraz z Vocalem zdrowie i życie? Cigarette pragnęła jednego. Wydostać się ze Strefy, wrócić do domu oraz zapomnieć, zapomnieć i żyć dalej.

Spróbowała wstać. Kolana skrzypnęły. Świat natychmiast zawirował. Cigarette przykucnęła. Na razie musiało wystarczyć. Dopiero jak stała, uświadomiła sobie, jaki wielki błąd popełniła. Wstała, przez co ujawniła swe położenie. Po prostu nie myślała, a Strefa zawsze wykorzystuje błędy słabych.

Dziewczyna w oddali dostrzegła pięciu mężczyzn, zapewne przyjaciół pokonanych bandytów, którzy przeszukiwali teren, zbierając łupy z martwych pobratymców. Jeden z nich, chudy i niski jak szpilka, dostrzegł Cigarette, zawołał kamratów i wypchnął dziewczynę palcem.

— Do kata — przeklęła, chowając się w trawie. — Dlaczego jestem taka głupia.

Cigarette czekała, mogłaby próbować uciec, schować się i modlić o drugą szansę, jednak przyjaźń do Vocala była silniejsza. Poza tym wątpiła, żeby długo przetrwała sama z raną postrzałową.

— Jak już mamy umrzeć, to razem — rzekła, uśmiechając się do nieprzytomnego przyjaciela.

Chwilę później ujrzała trzech bandytów. Szerokiego w barach mężczyznę o kwadratowej szczęce i zakrzywionym nosie z karabinem na plecach. Faceta ze sporym brzuchem lśniącem od potu oraz łysą czaszką, na której widniała wytatuowana pięcioramienna gwiazda. Przed nim pełzała osoba, o trudnej do zidentyfikowania płci. Szczupła, w ubraniu pozbawionym ozdób, z miną skazańca prowadzonego na szafot. Podeszła najbliżej i stanęła ze spuszczoną głową.

— Kim jesteś? — przemówił napakowany dryblas.

Cigarette dopiero po chwili zrozumiała pytanie mięśniaka.

— Nie należymy do żadnej frakcji.

— Ładna z ciebie dupa. Chętnie wziąłbym cię na cugle — uśmiechnął się wytatuowany rzezimieszek, machając pistoletem przed głową dziewczyny. — Ten, — wskazał bronią Vocala — dycha?

Cigarette spojrzała w oczy stalkera i zacisnęła zęby. Mogła skłamać i przyprawić przyjaciela o pewną wolną śmierć lub powiedzieć prawdę, dając nikłą nadzieję na życie albo zapewnić tym Vocalowi kulkę w łbie.

Postanowiła zaryzykować.

— Żyje.

Grubas odbezpieczył broń i wycelował w głowę Vocala.

— Gwiazdka, szef kasał sprowadzać wszystkich żywych, bez wyjątków. Zaybijać jedynie Moniliti.

Łysy mężczyzna splunął na bok, po czym wycelował pistolet w dziewczyno-chłopaka i strzelił tuż obok głowy.

Uległa postać nawet nie drgnęła.

— Kurwa. Znowu pudło, co nie Risu?

— Tak, panie.

Oszołomiona Cigarette złapała się za pierś, serce biło jak oszalałe. W uszach brzęczała huk wystrzału. Pęcherz nagle mocno dał o sobie znać. Jednak dziewczyna jakimś cudem wytrzymała i nie popuściła.

— Gwiazdka, przesadziłeś. Grubo przesadziłeś. Popats, dziewuska prawie zesikała się ze strachu — rzekł dryblas, krzyżując ręce na piersi. — Wybacs Gwiazdce, naprawdę nie chciał.

— Oj, Steryd, Steryd — pokręcił głową grubas. — Mógłbyś się kiedyś nauczyć poprawnie mówić. Posłuchaj mała — zwrócił się do Cigarette. — i zapamiętaj. Od tej pory razem ze swoim chłopcem jesteście zdani na łaskę naszego szefa. Kędziora, pana tutejszych ziem. Przyszłego, ostatniego imperatora Strefy. Wasze życie, wola i dupa należą do niego. Więc jak każe ci mała nadstawić tyłek, to nadstawiasz i dziękujesz Kędziorowi za łaskę. Zrozumiano?

Cigarette przytaknęła.

— Scoro wsco jasne, to wracamy do basy.

— Risu, weźmiesz tego żywego trupa, tylko ostrożnie, nie chcemy zezłościć Steryda prawda?

Dziewczyno-chłopak zgarbił się i bardziej pochylił głowę, co wydawało się Cigarette niemożliwe. Podeszedł do Vocala i podniósł, go podkładając jedną rękę pod kolana, a drugą pod plecy.

— Idziemy.

Postrzelona czarnowłosa dziewczyna wstała, zachwiała się, po czym pokuśtykała za oprychami Kędziora. Cigarette uśmieła się. Posiadała przeszłość, czarną i bolesną, ale jednak przeszłość.

* * *

Maszt Berbera znajdował się na południowym wschodzie, trzydzieści kilometrów od speluny, gdzie Alrix wraz z Delektiwie spotkali pierwszy raz Rubby.

Okolice wokół masztu flagowego składała się z opustoszałych szop bez okien, w których od dawna hulał wiatr i mieszkaly szczury. Utwardzonego podłoża pokrytego żwirem spod którego wyrastało zielsko. Rdza zdążyła pokryć rozsiane wokół trupy samochodów oraz kilka zniszczonych rowerów pozbawionych kół. Cała okolica gniła pośród porozrzucanych puszek oraz pustych butelek pozostawionych przez miejscowych kloszardów.

W jednej z tych szop Rubby trzymała wysłużonego Commera — półciężarówkę, której używała zawsze, kiedy potrzebowała uzupełnić zapasy niezbędne do przeżycia w Strefie.

Przestępczyni oparła się o wózek wypełniony żarciem, wodą, psią karmą, zapasami amunicji i pozostałymi artykułami pierwszej potrzeby. W ustach miała wykałaczkę, którą co chwilę przekładała z jednego kącika w drugi.

— Spóźniają się — rzekła odwracając, się do staruszka.

— Za moich czasów nikt nie czekał. Spóźnialscy musieli wpław nadążać za krypami — Galion westchnął. — Samemu kilka razy musiałem tak pływać, jak zasiedzialem się u jednej takiej Blossom. Ehh... co bym oddał za to, by przeżyć to ponownie.

— Blossom to twoja żona?

— Tak, nadal za nią tęsknie — rzekł marynarz, trąc palcami obrączkę ślubną, którą zachował jako pamiątkę po żonie.

Rubby kiwnęła głową. W pewnym sensie była zazdrosna o Blossom, którą знаła jedynie z opowieści starego morskiego wilka. Zazdrościła oddania Galiona oraz lojalności silniejszej od śmierci. Przestępczyni chciałaby kiedyś poczuć taką miłość, jaką Galion darzy swoją żonę.

Rubby wstała i otrzepała spodnie, unikając jednocześnie spojrzenia przyjaciela.

— Nic tu po nas.

W ten usłyszeli narastający warkot silnika, grzmiący od strony ulicy. Po chwili ujrzała czarnego sedana z przyciemnianymi szybami, który jednym płynnym ruchem wjechał na podwórkę i zatrzymał się około dwudziestu metrów przed przestępczynią.

Drzwi auta otworzyły się. Ze środka wyszedł Alrix z koszulą na piersi oraz narzuconą na ramiona skórzaną kurtką. Powolnym krokiem obszedł samochód i otworzył drzwi od strony pasażera. Delektiwa opuściła sedana z gracją arystokratycznie urodzonej damy, stanęła u boku kochanka i pocałowała go w policzek.

Galion uniósł brew.

— Przepraszam za spóźnienie, zaspaliśmy — rzekł Alrix podchodząc wraz z Delektiwe do Rubby.

— W Strefie kosztowałyby to was życie — rzekł Galion.

Alrix wzruszył ramionami, wyciągnął portfel i wręczył przestępczyni plik banknotów.

— Tak jak się umawialiśmy.

Rubby przyjęła pieniądze i schowała do kieszeni.

— Macie broń?

Obcokrajowiec kiwnął na kochankę, która poszła do bagażnika i wróciła z dwoma karabinami.

— Dwie sztuki SGI 5k wystarczą?

Rubby spojrzała na broń. Prosta, typowa budowa karabinu szturmowego bez zbędnych udziwnień, dodatkowych rączek i granatników, trójkąta kolba pusta w środku, pozbawiony optycznego celownika. Karabin ciężki jak diabli. Celny, nieporęczny i drogi. Do tego egzemplarze w rękach Alrixa oraz Delektiwe wyglądały na zdobyte prosto z fabryki.

— Nadadzą się, o ile umiecie strzelać.

— To już nie twoje zmartwienie — rzekła Delektiwa, poprawiając włosy.

— Wolalabym wiedzieć w razie kłopotów, w jakim stopniu mogę na was liczyć.

— Podaj cel, to ci pokaże, o ile będziesz na tyle spostrzegawcza, żeby cokolwiek zobaczyć.

Rubby kiwnęła głową, rozejrzała się po okolicy, po czym podniosła kilka butelek i ustawiła na dachu samochodu.

— Nie za blisko, paniusiu?

— Starczy.

Alrix spojrzał na kochankę. Ufał Delektiwe, jednak wolał nie ryzykować uszkodzenia wozu.

— Może lepiej będzie, jeśli położycie te butelki na czymś mniej cennym?

— Koteczku, nie masz się czego bać — Seksbomba puściła oczko do obcokrajowca, podniosła broń, zachwiała się, poprawiła pasek mocujący, wycelowwała i strzeliła. Butelki rozpadły się, po kolei, jedna po drugiej. Żaden pocisk nie trafił w sedana. Delektiwa posłała szeroki uśmiech Rubby.

— Kotku. — Pstryknęła palcami przed nosem Alrixa. — Twoja kolej.

Obcokrajowiec potrząsnął głową, wracając do rzeczywistości.

— Gdzie się tego nauczyłaś?

— Uczestniczyłam w kursie strzeleckim po tym, jak zamordowałam męża. Miałam dosyć bycia nieporadną seks-lalką na zawołanie. Koleś nawet nie był warty noża, który w niego wbiłam.

— Delektiwe... jesteś wdową?

— Kochanie, ja też mam swoją Samhaitine, — Delektive obróciła się do Rubby — a ty masz już kogoś na koncie?

Przestępczyni wyczuła prowokację z daleka. Od początku podejrzewała, że dziewczyna Alrixa sprawi kłopoty. Jednak spodziewała się czegoś innego niż zazdrości spowodowanej jednym przytulasem, którą aż za łatwo dało się odczytać z twarzy Delektive.

— To nie powód do pochwał, dziecko — powiedział wilk morski, po czym pociągnął spory łyk z piersiówki. — Najlepiej będzie, jak wszystkie te karabiny i pistolety wcale się nam nie przydadzą.

— Galio ma racie. Jednak warto mieć w ekipie kogoś, kto dobrze strzela — rzekła pojednawczo Rubby.

— Phiii... — prychnęła Delektive, stając obok przestępczyni. — To jak kochanie, pokażesz, na co cię stać?

Alrix posłał wymuszony uśmiech kochance, podniósł najbliższą puszkę i ustawił na samochodzie. Wycelował i strzelił. Puszka przeleciała kilka metrów w powietrzu, przekoziółkowała po żwirze i wylądowała w stercie odpadków.

— Wystarczy?

— Tak — odparła Rubby. — Schowajcie auto w którejś z szop i będziemy ruszać.

— Słodziutka, a ty?

Przestępczyni zmierzyła wzrokiem Delektive, wypluła wykałaczkę, po czym odpowiedziała uśmiechem. Podniosła puszkę, ustawiła opakowanie na dachu sedana, podeszła do seksbomby i spojrzała prosto w lazurowe oczy dziewczyny. Wyciągnęła pistolet. Strzeliła, nie odwracając wzroku od Delektive. Trafiła w sam środek. Kącik ust kochanki Alrixa zadrżał.

— Jak tak dalej pójdzie, to będziemy musieli nauczyć się sikać na siedząco, Alrix — zaśmiał się Galion pociągając kolejny łyk z piersiówki.

* * *

Kuśtykając za Gwiazdką i Sterydem, Cigarette obserwowała pozostałych ludzi Kędziora. Szczupłych, przysadzystych lub niskich, którzy podążali za nimi w odległości na oko trzydziestu metrów. Pchali sporą taczkę wypełnioną łupami zgarniętymi z ciał bandytów. Przyjaciółka Vocala dostrzegła także trzecią grupę składającą się z sześciu ludzi. Dobrani w pary nieśli nosze, na których Cigarette dostrzegła złodziei próbujących wcześniej obrabować ją i Vocala.

Dziewczyna zakłęła cicho, odwróciła wzrok idealnie w chwili, gdy Steryd zatrzymał się i uniósł lewą rękę.

— Sytujce — zawołał. Mięśniak stał minutę bez ruchu, dumając bezgłośnie. Podniósł z ziemi kamyk i rzucił przed siebie. Skalny okruch przeleciał prosto kilka metrów, po czym gwałtownie skręcił w prawo i z trzaskiem zniknął w kępie trawy.

— Łysyca — rzekł Steryd, odbijając mocniej na lewo.

— Łysyca? — zapytała Cigarette, kuśtykając za resztą.

— Po naszymu anomalia grawitacyjna — odparł Gwiazdka, puszczając oczko — jak w taką jebniesz, to potem nic nie zostaje z ciebie do pierdolenia.

— Gseczniej Gwiastka — wypluł z ust Steryd.

Łysy mężczyzna zmierzył dryblasa wzrokiem, otworzył usta, by coś powiedzieć, jednak po chwili je zamknął.

Przez kolejne pół godziny marszu panowała cisza. Dominująca, wysoka trawa zrzedniała, ustępując miejsca wyschniętej ziemi, drodze i ciernistym krzewom. Cigarette dostrzegła pierwsze opustoszałe chałupy, które w każdej chwili mogły ulec zawaleniu, porzucone samochody oraz sterty śmieci rozwiewane przez wiatr. W powietrzu wyczuła swąd spalenizny. Każdy kolejny krok sprawiał dziewczynie ból. Rana postrzałowa coraz mocniej dokuczała, na domiar złego krew ponownie zaczęła sączyć się przez koszulę, a pasek mocno się obluzował. W końcu dziewczyna nie wytrzymała, zachwiała się i przysiadła na poboczu.

Gwiaszka jako pierwszy zauważył brak Cigarette, obrócił się i podszedł do dziewczyny.

— Pokaż — powiedział, nachylając się nad dziewczyną. — Paskudna rana, na pewno zostaną ci blizny słodziutka, aż szkoda takiego gładkiego brzuszka. Steryd, mamy problem!

Góra mięśni przeszła obok chłopako-dziewczyny, niosącego Vocala i zatrzymała się przy łysym mężczyźnie.

— Nowa nam krwawi.

— Co s teygo? Tyle wytsymała to do basy dojdzie. Tam Chaska sie niam sajmie.

— Steryd, ona nie da rady, co ci szkodzi ją przenieść te ostatnie metry na rękach?

Dryblas zrobił zeza, wyprostował ręce i strzelił palcami.

— Dobła Gwiaszka, chyoc malenka.

Cigarette podniosła się, po czym pokuśtykała do Steryda i pozwoliła dryblasowi wziąć się na ręce.

— Dziękuję.

— Gwyiaszka tera ty prowadzis.

* * *

Baza wypadowa ekipy Kędziora znajdowała się na terenie opuszczonej fabryki konserw, ćwierć mili od niezamieszkałej wioski. Od świata zewnętrznego główny budynek chronił płot z drucianej siatki. U szczytu konstrukcji widniał drut kolczasty, na którym przesiadywały okoliczne wróble, szukające resztek pożywienia. Większą część podwórka pokrywał bruk, natomiast skrawki zieleni zakrywały sterty puszek i plastiku, walające się po całej okolicy.

Za ogrodzeniem czworo ludzi z karabinami pod ręką wałęsało się, z kąta w kąt niechętnie obserwując okolicę, natomiast pozostała dwójka pilnowała głównej bramy.

Steryd skinął na strażników, którzy, jak za dotknięciem różdżki, natychmiast się wyprostowali. Dopiero wtedy Cigarette dostrzegła pozostałe dwa budynki stojące na uboczu, przy których stała cysterna z gazem ziemnym. Były to sześcienné magazyny o przesuwanych drzwiach, składanych w harmonijkę. W dalszym z nich otwartym na oścież Cigarette zauważyła dziesiątki ludzi stojących w równym szeregu i tępo gapiących się na strażników. Nim zdążyła zobaczyć coś więcej, poczuła grunt pod nogami.

— Snalesliśmy dwoje sywych i pięć trupów.

Mężczyzna skinął głową, podszedł do Cigarette i chwycił dziewczynę za szczękę, spojrzał w oczy, siłą otworzył usta, obejrzał zęby, oceniając stan zdrowia rannej. Następnie podszedł do Ritsu i szturchnął Vocala lufą karabinu.

— Tego tutaj zastrzelcie, nic nam po facecie w śpiączce.

— Błagam, nie róbcie tego — prosiła Cigarette, wyrывая się z uścisku Steryda — zrobię wszystko, tylko pozwólcie mu żyć.

Szpakowaty strażnik westchnął, podrapał się po brodzie, po czym wyciągnął zza pasa myśliwski nóż i wbił ostrze w pierś mężczyzny.

— Ritsu zanieś go do reszty, tam się już nim zajmą. — Odwrócił się do Cigarette. — Jeszcze w przyszłości mi za to podziękujesz. Kędziora znajdziecie w biurze. Jak zwykle ślęczy nad papierami, rozmyślając nad kolejnym krokiem.

Postrzelona dziewczyna obrzuciła szpakowatego mężczyznę śmiercionośnym spojrzeniem. Jednak nim zdążyła zrobić coś więcej, Steryd podniósł ją i wszedł do fabryki.

Stukot kroków dryblas odbijał się echem po pustym, obdrapanym korytarzu, działając lepiej niż najlepszy alarm przeciwwłamaniowy. Z pozbawionych szyb okien światło wpadało do środka. Cigarette płakała, pozwoliła, by łzy leciały po brudnych policzkach, oczyszczając skórę i duszę. Jedynie tak mogła uczcić pamięć przyjaciela. W powietrzu wyczuła drażniącą woń pleśni i śliskoziemisty zapach gnijącego mięsa. Dziewczyna zakasłała, na co w odpowiedzi Steryd mruknął coś niezrozumiałego pod nosem. Skręcił w lewo i otworzył drzwi.

Wcześniejsza woń została całkowicie zdominowana przez zapach perchydrolu, chloru oraz alkoholu. Cigarette zdążyła jedynie zobaczyć otynkowany sufit, nim została wepchnięta na lekarski stół.

— Rana postrzałowa? — zapytała ubrana w kitel kobieta około sześćdziesiątki, na co Steryd przytaknął. — Ile godzin temu?

— Snalesiliśmy ją srana, to be...

— Starczy. Daj jej wody i trzymaj mocno — przerwała Sterydowi Chaska, myjąc ręce w zlewie.

Dryblas wyciągnął spod pazuchy manierkę i wręczył ją Cigarette.

— Pijj.

Dziewczyna pociągnęła łyk, zakrztusiła się, wypluwając połowę wypitej zawartości. Chwyciła pojemnik mocniej, po czym wlała do gardła tyle, ile zdołała. Cigarette odkaslnęła, wzięła od Steryda kawałek skóry, włożyła go do ust, oparła głowę na blacie i pozwoliła Sterydowi zacisnąć dłonie na ramionach. Poczula stalowy chłód, nerwy dziewczyny zapłonęły, szczęką zacisnęła się na skórze.

Chaska zaczęła operować.

* * *

Rubby widziała setki razy granicę oddzielającą świat pospolitych zjadaczy chleba od Strefy. Miejsca występowania anomalii łamiących prawa fizyki, artefaktów wartych dziesiątki tysięcy dolarów, narodzin i śmierci stalkerów. Teraz, jak i za każdym poprzednim razem, widok zapierał dech piersiach. Kontrast między przestrzeniami był jedynie porównywalny z spotkaniem prymitywnego indianina z europejskim konfiskadorem. Spotkanie człowieka pierwotnego z człowiekiem współczesnym, oddzielonych zaledwie kilkoma centymetrami.

Trawa kołysała się spokojnie pod podmuchami wiatru. Po stronie rzeczywistej królowała czystość i porządek. Przycięte krzaki, proste dróżki i paskowane budki strażnicze, w których żołnierze czekali na stalkerów tylko po to, by przywitać rabusiów kulką w głowę. Druga strona, zaśmiecona, z pojazdami wojskowymi, półciężarówkami i motorami, wyglądała jak integralna część budek strażniczych, które w każdej chwili mogły zostać użyte. Wszystkie te pojazdy stały w miejscu od dekady, pozbawione rdzy oraz wszelkich zadrapań.

Nawet kurz trzymał się od nich z daleka. Po prostu magia, magia, dla której warto ryzykować życie.

Rubby ścisnęła naszyjnik, po czym zwróciła się do Alrixa.

— Ostatnia szansa na zmianę decyzji. Później nie będziecie mieli już odwrotu. Radzę dobrze się zastanowić.

Obcokrajowiec poprawił pasek karabinu i przytaknął. Delektiwie z opóźnieniem powtórzyła gest narzeczonego. Rubby westchnęła.

— Dobrze. Jeśli chcecie mieć jakiegokolwiek szanse na przeżycie, musicie się mnie oraz Galiona bezwzględnie słuchać. Nie będę się powtarzała ani traktowała was jak napalonych nastolatków na imprezie... — mówiła przestępczyni, patrząc na Delektiwie. — Jesteście dorośli i oczekuję od was zachowania adekwatnego do waszego wieku. Zrozumiano?

— Jasne, pani generał — zakpiła Delektiwie, salutując.

— Kotku, to nie są żarty.

— Wiem, nie mogłam się powstrzymać.

— Uznam, że dotarło — powiedziała Rubby, ignorując zaczepkę. — Ruszamy.

— Strażnicy? — zapytał Alrix, wskazując brodą dwukolorową budkę.

— Spokojnie Alrix. Strażnicy to najmniejszy z czyhających na nas kłopotów. Poza tym mamy coś, na czym zależy im bardziej niż na naszej śmierci — rzekła przestępczyni, machając przed oczami chłopaka Delektiwie plikiem banknotów.

Rubby ruszyła przodem, w dół zbocza, za nią podążała Delektiwie i Alrix. Galion był na samym końcu, pracując w roli tragarza ciągnącego wózek z zapasami. Zasiadający w budce żołnierz, na widok przybyszów, wyprostował się i mocniej zacisnął ręce na karabinie.

— Wyluzuj Will! To tylko ja, Rubby! — zawołała przestępczyni, uśmiechając się przyjaźnie do strażnika.

Mężczyzna skierował lufę karabinu w ziemię i odwzajemnił uśmiech.

— Hej Rubby, co tam u ciebie słychać? Dawno cię nie widziałem w tych stronach.

— Wszystko gra. Mam tu parę świeżaków chcących spotkać się przedwcześnie z kostuchą w ramach przedślubnej wycieczki.

Wili zmierzył długim spojrzeniem Alrixa i Delektiwie, po czym pokręcił głową.

— Nowa moda?

— Nie wiem — rzekła przestępczyni wręczając, żołnierzowi wyliczoną podczas rozmowy ilość banknotów.

— Jak coś, to przyniesiesz jeden z ich karabinów. Mój jest stary i często się zacina.

Rubby przytaknęła, po czym poklepała żołnierza po ramieniu. Następnie odwróciła się do Alrixa.

— Załatwione. Idziemy. Ja idę pierwsza, twoja dziewczyna za mną, potem ty, a Galion na końcu — rzekła przestępczyni, ruszając na teren Strefy.

* * *

Obcokrajowiec spojrzął przez ramię Delektiwie na lewitującą w powietrzu pajęczą nić, przywodzącą na myśl żyłkę wędkarską z haczykiem na końcu, której początek znajdował się w ziemi.

— W potocznym żargonie mówimy na to wędkarz. Mutant, kształtem przypominający pająka, występuje powszechnie w Strefie i jest drapieżnikiem polującym na wszystkie latające stworzenia i owady za pomocą lepkiej nici. Dla nas jest niegroźny, jednak jego

ukąszenie powoduje wielogodzinny odlot zakończony miesięczną utratą smaku. Jak łatwo się domyśleć, jest popularny wśród miejscowych ćpunów — Rubby zakończyła wykład i ruszyła dalej.

Alrix w głowie zanotował tę informację i ruszył ślad za przewodniczką, jednocześnie postanowił w przyszłości zakosztować jadu wędkarza.

— Co jeszcze warto wiedzieć? — rzekł obcokrajowiec, zaciekawiony osobliwościami Strefy.

Rubby przez chwilę dumiała, rozglądając się po otoczeniu.

— Tutaj tego nie widzę, ale istnieją grzyby przypominające purchawki o żółtym kolorze zwane pneumatkami. Działają jak miny przeciwpiechotne. Po nadeptnięciu wysyłają delikwenta w powietrze na pięć, sześć metrów w górę. Propo ciekawostek, mamy jeszcze to.

Przestępczyni zerwała źdźbło fioletowej trawy, po czym podarła na kawałki i podała Alrixowi.

— Potrząśnij kilka sekund i otwórz dłoń.

Obcokrajowiec zastanawiając się, co się wydarzy, wykonał polecenie przewodniczki. Gdy rozdzielił palce, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Kawałki źdźbła połączyły się w jedną całość.

— Niesamowite. Czy w Strefie wstępuje dużo takich cudów?

— Całe mnóstwo. Strefa to naprawdę piękne miejsce. Szkoda, że większość ludzi traktuje ją jak wyspę skarbów, którą trzeba ograbić.

Podczas dalszej drogi obcokrajowiec uważnie chłonał wszystkie słowa Rubby. Opowiadania i wiedzę odnośnie Strefy, mutantów, anomalii i wszystkich niesamowitych zjawisk oraz zagrożeń czekających na żywych krocących po przeklętej ziemi. Zignorował nawet Delektive, która dawała kochankowi jasne sygnały, co myśli na temat spoufalania się z przewodniczką.

W końcu Rubby sprawdziła teren wokół i zarządziła pierwszy postój, podczas którego Galion wyciągnął kanapki z wózka i poczęstował nimi towarzyszy.

— Herbaty? — zapytał marynarz, sięgając po termos z wózka.

— Nie, dziękuję — odparł Alrix, siadając na ziemi obok kochanki.

— Ja chętnie skosztuję — odpowiedziała Rubby.

Delektive oparła dłoń na ręce Alrixa, muskając skórę kochanka palcem. Wypisując litery odnośnie podjęcia kolejnego kroku w planie. Obcokrajowiec przejął inicjatywę i w ten sam sposób odpowiedział na pytanie kochanki.

— Miłość, ach. Wrócić do tych czasów kiedy poznałem Blossom — uśmiechnął się Galion, spoglądając na dłonie zakochanych — tych nieśmiałych wyznań, gdy uczucie pozostawało na pierwszym miejscu.

Alrix i Delektive odruchowo cofnęli dłonie, z napięciem czekając na oskarżenie o spisek ze strony marynarza.

— Nie macie czego się wstydzić, możecie nadal trzymać się za ręce. — zaśmiał się Galion, pociągając tyk herbaty. — To tylko wspomnienia minionych czasów starego piernika.

— Galion, dlaczego tu jesteś? — zapytała zaciekawiona Delektive. — Rubby tu mieszka...

— Dorabia do emerytury — wtrąciła się przestępczyni, wstając. — Musimy iść szybciej. Wieje południowy wiatr, co zawsze oznacza kłopoty.

— Coś konkretnego? — zapytał Alrix, podnosząc się i otrzepując spodnie.

— Nic konkretnego. Kłopoty to kłopoty. Idę przodem. Alriksie, pociągniesz wózek. Delektiwe za mną, a Galion pilnuje tyłów. Wszystko jasne? Ruszamy — powiedziała Rubby, idąc na przód, nie czekając na resztę.

Alix chwycił rączkę wózka i pociągnął. Na policzku poczuł ułucia zimnego południowego wiatru.

* * *

Cigarette wiele razy w życiu słyszała, że najgorszy ból jaki poczuje, będzie tym podczas porodu. Operacje, otwarte złamania oraz postrzelenia miały wypadać przy nim blado, wręcz jak pojedynczy siniak w porównaniu do pobicia. Jednak rwanie i palenie nerwów, przysłaniające świadomość dziewczyny, zwężyły świat do jednej, nieprzerwanej uczucio-myśli. Jak mogło istnieć coś gorszego? Tego Cigarette nie potrafiła sobie wyobrazić.

Pot spływał strugami po skórze dziewczyny w ilościach mogących utopić Steryda i Chaske. Zęby postrzelonej wbijały się w skórę niczym imadło miażdżące kości. Cigarette była gotowa zrobić wszystko, żeby przerwali operację i dali spokój. Nagle rwanie ustało, ból zelżał do akceptowalnego, nieprzyjemnego poziomu.

— Gotowe — rzekła starsza kobieta, zawiązując supeł na końcu szwu. — Straciłaś sporo krwi, jednak powinnaś się wylizać, o ile dadzą ci porządnie wypocząć.

Cigarette poczuła słabnący uścisk dłoni Steryda, który po chwili całkowicie znikł. Uniosła głowę i spojrzała na brzuch. Gęsto przeplatane szwy wyglądały solidnie i mocno.

— Masz, to na ból — rzekła, dając dziewczynie pojemniczek z tabletkami. — Maksymalnie dwie tabletki dziennie. Po za tym musisz leżeć, inaczej szwy mogą pęknąć — rzekła Chaska, myjąc ręce. — Nikolaj, zanieś pacjentkę do szpitalnego i powiedz Kędziorowi, że ma dać jej spokój przynajmniej do końca następnego tygodnia.

— Powyiem, Chasko — rzekł Steryd, podnosząc Cigarette, po czym wyszedł z gabinetu.

— Mialas duso sscsenscia, dsiewcscyno. Chaska miała dsisiaj dobry humor.

Cigarette milczała. Niesiona przez Nikolaja, patrzyła w sufit i liczyła mijane lampy. Naliczyła ich dwadzieścia sześć, gdy Steryd stanął i otworzył drzwi do pobliskiego pomieszczenia.

W średniej wielkości sali Cigarette dostrzegła pięć łóżek polowych z cienkimi materacami. Dwa z nich zajmowali umundurowani mężczyźni grający w karty. Pierwszy z gipsem na nodze puścił uwodzicielskie oczko do dziewczyny. Drugi ze złamaną lewą ręką, skinął na przywitanie do Steryda. Pozostałe łóżka stały ściśnięte po przeciwnej stronie pomieszczenia, przy uchylonym oknie. Dziewczyna pociągnęła nosem. W powietrzu wyczuła kwaśny zapach starej uryny. Spojrzała pod nogi łóżka grających facetów, gdzie dostrzegła zardzewiałą kaczkę, oraz pleśń zjadającą resztki wykładziny.

No pięknie — pomyślała, gdy Steryd położył ją na łóżku, które następnie ustawił po przeciwnej stronie do rannych żołnierzy.

— Chłopacki, dbać mi tu o niom.

— Jasne Steryd, nic jej się z nami nie stanie.

— O ile sama nie zechce — zaśmiał się żołnierz ze złamaną nogą.

— Umiesz grać w karty? — zapytał drugi, o czarnych włosach.

Cigarette sięgnęła do kieszeni po pudełeczko, wyjęła dwie tabletki i połknęła bez popijania. Spojrzała na mężczyzn. Nadstawiała uszu, słuchając oddalającego się echa kroków Steryda. Następnie stęknęła z bólu, wstała i, trzymając bok, wyrzała przez okno. Przed Cigarette rozciągała się wyłożona brukiem nawierzchnia, wieczorne niebo oraz siatka

oddzielająca teren fabryki od Strefy. Dziewczyna pochyliła głowę i spojrzała centralnie w dół. Zaledwie metr dzielił parapet od ziemi. Dostrzegła parę śmieci oraz stalowy szpikulec lśniący w słońcu, leżący tuż przy ścianie. Odległość wręcz zachęcała do wyskoczenia i ucieczki. Ciga zacisnęła mocniej rękę na szwach, rana zapiekła. Dziewczyna wzięła głęboki oddech. Czuła zmęczenie rozchodzące się po wszystkich kościach oraz nieodpartą chęć zdrzemnięcia się na kilka minut. Przez chwilę nawet pomyślała o wdzięczności dla Chaski za operację i zalecenia lekarki, nakazujące odpoczynek. Jednak od razu po tym ujrzała obraz Vocala przebitego kosą kędzierzawego strażnika. Poczowała złość, żądze krwi, które przytłumiły wszelkie odczucia. Jedyne, co się wtedy liczyło, to wolność i powiew świeżego powietrza. Kuszący, mówiący "przyjdź do mnie, skosztuj mnie".

Cigarette uległa nawoływaniu, otworzyła szerzej okno, po czym wyskoczyła na zewnątrz.

Grający w karty mężczyźni wymienili wiele mówiące spojrzenia i wrócili, bez słowa, do rozpoczętej partii.

* * *

Czarnowłosa dziewczyna zakłęła pod nosem, gdy lądując na bruku, przygryzła język. Przykucnęła. Lek przytłumił ból, pozwalając Cigarette chodzić. Dziewczyna odwróciła się do okna i sięgnęła po szpikulec. Mizerna broń, jednak znacznie lepsza od gołych pięści. Czarnowłosa piękność ruszyła wzdłuż ściany, stawiając kroki najciszej jak potrafiła. W spoconej dłoni zaciskała kawałek stali gotowa wbić go każdemu, kogo zobaczy. Zemścić się za śmierć kompana. Zażądać spłaty długu w postaci krwi.

Wyrzała za róg.

Dwójka strażników spacerowała wzdłuż ogrodzenia. Cigarette miała szczęście. Odwrócenie do niej plecami dyskutowali na temat nowej zabawki odnalezionej przez Stalkerów, o kryształach potrafiących gromadzić światło niczym bateria. Dziewczyna zignorowała rozmowę i objęła spojrzeniem okolice w poszukiwaniu następnej kryjówki. Teren był zbyt płaski oraz uporządkowany. Nie znalazła niczego odpowiedniego.

Cigarette zakłęła w duchu i schowała głowę za ścianą. W myślach widziała tykający zegar odmierzający sekundy dzielące żołnierza ze złamaną ręką od zaalarmowania strażników.

Ile jeszcze zostało? Minuta, pół... Muszę zacząć działać. Nie mam czasu na myślenie.

Dziewczyna zacisnęła mocniej dłoń na szpikulcu. Przekradła się na drugą stronę ściany i wyrzała. Idealnie. Żadnych strażników. Jedynie dwójka brudnych robotników z noszami, na których Cigarette dostrzegła ciało Vocala. Policzki dziewczyny zapłonęły. Zęby zazgrzytały niczym kamienie młyńskie. Ranna, ledwo po operacji, zgięta wpół czarnowłosa kobieta przemknęła przez przestrzeń dzielącą ją od robotników. Wysunęła gwóźdź i wbiła go w bok robotnika, wyciągnęła i wbiła ponownie.

Robotnicy zatrzymali się. Dżgany przez Cigarette mężczyzna spojrzał na dziewczynę pustymi oczami pozbawionymi życia. Czarnowłosa furia zrobiła krok do tyłu. Uniosła dłoń z szpikulcem, czystym, pozbawionym śladów jakiegokolwiek krwii. Zakłęła. Rzuciła się ponownie.

— Stój!!! — usłyszała za plecami. Cigarette odwróciła się, poczuła rwanie w boku i nasilony ból. Postawiła krzywo nogę i runęła w dół. Instynktownie złapała się pierwszej możliwej rzeczy — ciała przyjaciela.

Robotnicy nawet nie drgnęli. Nosze przekrzywiły się lekko. Cigarette wstała. Zaklęła, gdy poczuła ból w kostce.

Oby to było tylko zwichnięcie — pomyślała. Podniosła ręce i obróciła się w stronę ubranego w skórę strażnika, który, sapiąc, celował lufą karabinu prosto w jej głowę. Po chwili do mężczyzny w skórzanej kurtce dołączył Gwiazdka, który z niezadowolaniem pokręcił głową. Milczał, wpatrując się w Cigarette. Nakazał podwładnemu opuścić broń.

— Idziesz ze mną — rzekł, odwracając się do dziewczyny plecami.

Czarnowłosa kobieta pożegnała spojrzeniem ciało przyjaciela, któremu z piersi sterczał wbity w niemal całości szpikulec. Na policzku poczuła pierwsze krople nadchodzącej ulewy.

* * *

Obcokrajowiec napiął mięśnie i pociągnął wózek. Był ciężki, znacznie cięższy, niż przypuszczał. Z każdym pokonanym krokiem Alrix z coraz większym podziwem myślał o Galionie i posiadanej przez marynarza krzepie. Otarł krople potu z włosów i pociągnął mocniej. Wózek ani drgnął. Alrix odwrócił się i zaklął.

— Pomóc ci? — zapytał stary marynarz, który ignorował deszcz tylko tak, jak potrafią to robić wilki morskie.

— Dam radę, jestem wystarczająco silny — rzekł obcokrajowiec, naprężając mięśnie i ciągnąc mocniej. Koła wózka wydostały się kilka centymetrów nad powierzchnię błota, już ledwie milimetry dzieliły Alrixa od wydostania wózka z pułapki, gdy stracił równowagę, poślizgnął się i upadł.

— Kurwa mać!

— Ha.. ha.. ha.. — zaśmiał się Galion, podchodząc do Alrixa. — Tak soczystego upadku nie widziałem od dawna — dokończył, wyciągając rękę do obcokrajowca.

Alrix spojrzał na serdeczną, pomarszczoną twarz wilka morskiego i wyciągniętą dłoń. Na ten widok chciał sięgnąć po karabin i krótką serią zetrzeć uśmiech z ust marynarza. Obcokrajowiec powstrzymał się, odwzajemnił uśmiech i przyjął pomocną dłoń.

— Jednak musisz mi pomóc — powiedział, wycierając spodnie z błota. Galion skinął głową, obszedł wózek i położył dłonie na metalu.

— Gotowy?

— Tak.

Obcokrajowiec pociągnął, Galion popchnął i w kilka sekund wydostali wózek z błotnych kieselczy.

— Dzięki, dalej sam sobie poradzę — rzekł Alrix.

— Galion. Spójrz na to — zawołała stojąca z przodu Rubby — przypomina ligoota, lub wyżymaczkę, jednak nie jestem pewna...

Marynarz minął obcokrajowca i podszedł do przestępczyni. Alrix rzucił szybkie spojrzenie Delektive, na co seksbomba przytaknęła i podeszła do Rubby. Obcokrajowiec odczekał chwilę, aż dyskusja między Galionem a Rubby rozlegnie się na dobre. Gdy to się stało, podszedł do wózka i zajrzał pod plandekę.

W środku, między konserwami, a psią karmą, dostrzegł klatkę z myszami, które ganiały po dostępnej przestrzeni niczym opętane. Alrixa zaintrygował ten widok. Sięgnął po termos i wyjął go na zewnątrz. Następnie sięgnął do kieszeni, zaklął siarczyście. Pudełko ze środkiem usypiającym zniknęło. Przepadło. Wyparowało.

Obcokrajowiec dokładnie przeszukał kieszeń, tuż obok Delektiwe, która przesadnie dopytywała się o różnice między anomaliami, kupując czas kochankowi.

Gdzie to cholerstwo może być — pomyślał.

Rozejrzał się wokół i znalazł. Z błota, metr za wózkiem, wystawał niebiesko-biały róg opakowania. Alrix obszedł pojazd i pochylił się opakowanie.

— Co ty, do jasnej cholery, wyprawiasz? — Rubby zaklęła.

Obcokrajowiec zadrżał. Ukradkiem schował tabletki do kieszeni, wstał i uniósł wyżej termos.

— Wypadło z wózka.

— Następnym razem nie idź sam, tylko mi powiedz — westchnęła Rubby, po czym odgarnęła moką grzywkę, zajrzała do wózka i wyjęła mysz z klatki.

— Co zamierzasz zrobić? — spytał Alrix, odwracając uwagę przestępczyni od tematu termosu.

— To jedyny bezpieczny sposób przejścia przez wyżymaczkę, po za tym nie lubię myszy. Smakują obrzydliwie.

Alrix przytaknął. Odłożył termos do wózka i przeklinając w duchu deszcz ruszył za Rubby.

Trzymająca w rękach gryzonia przestępczyni stanęła obok marynarza i Delektiwe. Wokół padał deszcz, trawa wydawała się Alrixowi zwyczajna, prosta i rosnąca kępkami równomiernie od siebie oddalonymi, jak środki pół szachownicy. Poza specyficznym zapachem chloru wszystko wydawało się obcokrajowcowi wporządku.

— Wyżymaczkę można ominąć tylko w jeden sposób. Trzeba ją uruchomić, złożyć ofiarę w postaci żywego stworzenia — rzekła Rubby, po czym rzuciła mysz w trawę.

Biały gryzoń upadł na cztery nóżki i czmychnął w przód jak najdalej od ludzi, kryjąc się w żdzibłach. Po sekundzie Alrix usłyszał trzask, podobny do wydanego przez uruchomione patykiem wnyki. Spojrzał w trawę. W miejscu, gdzie przed chwilą czmychnęła mysz, leżało ciało gryzonia, płaskie jak naleśnik, za którym ciągnęły się wnętrzności, wyciśnięte niczym jabłko za pomocą wyżymaczki do prania.

Alrix przełknął ślinę. W tej chwili żałował posiadania bujnej wyobraźni.

— Jesteś mi winny piątka — rzekła Rubby do Galionna. — Wyżymaczka jak nic. Ok, za pół godziny powinniśmy dotrzeć do bezpiecznego schronienia pod dachem — dokończyła przestępczyni ruszając dalej.

* * *

— Jesteś pierwszą osobą, którą zrobiłam operacje i musiałam opatrywać kostkę tego samego dnia — rzekła Chaska do czarnowłosej dziewczyny kończąc opatrywać nogę. — Wytrzymała z ciebie dziewczucha. Tylko mocno się potłukła. Jednak nie powtarzaj tego więcej.

Cigarette przytaknęła. Siedząc na stole czuła się jak mała dziewczynka przyłapana przez mamę na próbie kradzieży ciasteczek z najwyższej półki. Z całych sił starała się odrzucić to uczucie. Wdzięczność za pomoc, której nie potrafiła zrozumieć. Tak, jakby wszyscy wokół posiadali wiedzę. Informacje oczywistą dla dorosłych, jednocześnie niezrozumiałą i niedostępną dla młokosów - takich jak Cigarette.

— Gotowe, możesz iść.

Dziewczyna kiwnęła głową. Wstała. Opierający się o ścianę Gwiazdka także stanął.

— Chcę widzieć twój tyłek przed sobą, jasne, słodziutka?

Cigarette zignorowała zaczepkę pasibrzucha. Musiała zachować spokój i rozsądek, być miłą, dobrą dziewczynką. Może wtedy uniknie spotkania z plutonem egzekucyjnym.

Czarnowłosa stalkerka posłuchała Gwiazdki i wyszła na zewnątrz. Pasibrzuch ruszył za nią.

— Idziesz prosto dopóki ci nie rozkaże inaczej.

Cigarette milcząc kuśtykała do przodu.

— Narozrabiałaś dupcio. Jednak, nie myśl sobie, że próbowałaś uciec jako pierwsza. Ba nawet nie byłaś druga... Teraz skręć w prawo. Kędzior zajmie się tobą osobiście. Obrobi ci dubsco. Kurwa ile bym dał, żeby zobaczyć jak on się do ciebie dobiera. Aż mnie skręca, żeby znowu go podglądać przez szparę w drzwiach. Jak myślisz, warto ryzykować kulkę dla widoku twojej dupy? Teraz w górę na trzecie piętro... Hmmm... warto.

Początkująca stalkerka spuściła głowę. Leżące na ziemi kawałki tynku chrupały pod stopami dziewczyny. Pierś unosiła się i opadała, strach gniótł brzuch Cigarette, która odganiała najdalej jak potrafiła wizję najbliższej przyszłości. *Czy naprawdę jestem czymś tak mało znaczącym? Jedynie używką dla mężczyzn?*

Gwiazdka cmoknął.

— Może po wszystkim Kędzior się ze mną podzieli, to by było miłe z jego strony... Teraz cały czas prosto do tamtych drzwi. Chciałbym ci zadać takie jedno osobiste pytanko. Wiesz, nie przystoi pytać o to kobiety. Jednak ja nie jestem kimś, kto bawi się w manieri — Gwiazdka zaśmiał się gardłowo — Masz jakieś doświadczenie w tych sprawach?

Początkująca stalkerka stanęła przed cienkimi, wykonanymi ze sklejk drzwi z numerem czterdzieści pięć u szczytu. Serce dziewczyny biło oszalałe, niczym bęben uderzany przez dzikusa. Policzki pokryły się czerwienią. Za chwilę całe dotychczasowe życie miało zmienić się nieodwracalnie.

— Kędzior jest za tymi drzwiami. Powodzenia słodka dupcio — rzekł Gwiazdka uśmiechając się do Cigarette. — Zobaczysz, nie będzie aż tak źle.

— Nie waż się podsłuchiwać — rzekła początkująca stalkerka, po czym nie czekając na odpowiedź, przekręciła klamkę i weszła do środka.

Wewnątrz panowała świetlista poświata, na której tle Cigarette dostrzegła przeciętnie zbudowanego mężczyznę w flanelowej koszuli i jeansach, przepasanym skurzanym pasem z dużą złotą klamrą. Kędzior stał zwrócony do dziewczyny bokiem, w ręce trzymał kubek z parującą kawą, natomiast na biurku leżały mapy, znaczniki, figury oraz papiery. Wszystkie dotyczące Strefy.

Cigarette drżała na całym ciele, kuśtykając w kierunku Kędziora, chciała ukryć strach i przerażenie, jednak ciało odmawiało posłuszeństwa. W końcu dziewczyna stanęła przed mężczyzną, nie gotowa, bezradnie czekając na to, co ma nadejść.

Przywódca odłożył kawę, po czym wyciągnął dłoń.

Początkująca stalkerka wpatrywała się w rękę Kędziora jak osoba pierwszy raz w życiu widząca tęczę. Po chwili posłuchała zdrowego rozsądku i uściśniła dłoń Kędziora.

— Miło cię poznać — rzekł przywódca, grubym basowym głosem. — Siadaj, chciałbym wymienić z tobą parę słów.

Cigarette usiadła na wskazanym krześle.

— Przykro mi z powodu twojego przyjaciela. Musisz nam wybaczyć...

— Nie wybaczę — rzekła roztrzęsiona Cigarette, która miała już dość zabawy — Ściągaj spodnie, zrób to co masz zrobić i przestań się ze mną bawić.

Kędzior wpatrywał się przez chwilę na Cigarette z ustami otwartymi wpół słowa.

— Gwiazdka cię odprowadził?

Dziewczyna przytaknęła.

— Porządny facet z niego...

— Akurat — rzekła początkująca, nim ugryzła się w język.

— ... wystarczy lepiej go poznać. Gada wstrętne rzeczy, jednak jak przychodzi co do czego to rzuci się za tobą w ogień. Nie martw się, nie mam zamiaru zrobić ci niczego o czym mówił. Tamto to było jeden jedyny raz, po za tym Rademina zaczęła i jakoś tak wyszło.

Cigarette poczuła ulgę, lód, który do tej pory krążył w żyłach, stopniał, życie stało się radośniejsze i bardziej znośne. Pokój przytulniejszy i w jakiś niewytłumaczalny sposób dużo miłszy.

Kędzior posłał uśmiech dziewczynie.

— Wiesz ilu początkujących stalkerów umiera podczas pierwszego tygodnia w Strefie? Ośmiu na dziesięciu, po kolejnym zostaje tylko jeden. Natomiast rocznie przybywa nas zaledwie trzech, czterech. O wiele za mało bym mógł w szybkim czasie zgromadzić wystarczającą ilość ludzi. Dlatego jesteś cenna, każdy żywy jest dla mnie cenny — Kędzior spojrzał prosto w oczy Cigarette — Jak do tej pory wszyscy początkujący wkraczali do tego piekła z dwóch powodów, ucieczki przed życiem po tamtej stronie lub chęci szybkiego zdobycia kasy.

Dowódca zamilkł, wpatrując się w dziewczynę, czekał na odpowiedź na niezadane pytanie.

Cigarette milczała, jednak w duchu zgodziła się z Kędziorem. Sama przybyła do Strefy dla pieniędzy potrzebnych do ocalenia rodzinnego przedsiębiorstwa tytoniowego tonącego w długach.

— Niezależnie od powodu, dla którego tu jesteś, chciałbym ci zaproponować posadę i solidne wynagrodzenie. Co powiesz na piętnaście tysięcy dolarów miesięcznie od tej chwili z ewentualnymi podwyżkami oraz sprzętem?

Początkująca stalkerkaomal się nie zachłysnęła, taka oferta w tym miejscu była ostatnią rzeczą jaką się spodziewała. Dobrze płatna praca, możliwość zarobienia kroci w krótkim czasie. Wystarczających na utrzymanie płynności finansowej przedsiębiorstwa, a przy lepszych okolicznościach możliwości wyciągnięcia firmy na prostą.

— Dwadzieścia tysięcy gotówką i w każdej chwili mogę odejść bez żadnego słowa.

Kędzior zmrużył oczy i podrapał się po brodzie.

— Dostaniesz piętnaście. Jedenaście po pierwszym miesiącu i tak dalej aż do dwudziestu miesięcznie.

Czarnowłosa dziewczyna zastanowiła się chwilę dla zachowania pozorów, po czym dodała.

— Po wszystkim sprzęt należy do mnie.

— Zgoda — rzekł kędzior wyciągając dłoń do Cigarette.

— Zgoda — odpowiedziała dziewczyna ściskając dłoń. — Czym będę się zajmować?

Kędzior sięgnął po kawę i jakby nigdy nic usiadł za biurkiem.

— Na początek zajmiesz się czymś prostym. Kopaniem grobów.

* * *

Woda spływała kaskadami po kasztanowych włosach seksbomby. Ubranie przemokło i przywarło do ciała dziewczyny, w sposób uwydatniający wcięcia i krągłości. Wargi Delektive tworzyły wąską, długą i cienką szparkę. Oczy natomiast patrzyły ciągle w

przód, w plecy Rubby, wierciły przewodniczkę jak dwustu tonowy młot pneumatyczny należący do olbrzyma. Do tego kochanka Alrixa szła sztywno, demonstrując każdym krokiem upór, godny rodowitego osła.

— Widzę, że humor ci dopisuje. Rubby powiedziała, że za dziesięć minut powinniśmy znaleźć się pod dachem, gdzie spokojnie przeczekamy ten deszcz — zagadał Alrix zrównując się z kochanką.

Delektiwe strzepnęła moką grzywkę i nie patrząc na Alrixa założyła kosmyk za ucho.

— Dobrze. Wtedy to zrobimy.

— Jak się rozpogodzi — dodał obcokrajowiec.

Delektiwe przytaknęła.

— Przyprawieś zupkę? — zapytała seksbomba wypowiadając wcześniej ustalony kod do chłopka.

Alrix zasępił się. Oblepione błotem buty były znacznie ciekawsze niż prowadzona rozmowa.

— Nie — opowiedział obcokrajowiec ciągnąc wózek mocniej — Miałem pecha. Trzeba będzie zrobić to na miejscu.

— Czemu ich nie zastrzelimy?

Alrix omal nie poślizgnął się na błocie.

— Mogą nas usłyszeć — syknął. — Nie zrobimy tego, ponieważ tak się nie robi. Starczy?

Delektiwe prychnęła, jednak powstrzymała się przed zadawaniem kolejnych pytań.

Kilka minut później eskapada wdrapała się na wzniesienie, z którego szczytu, zobaczyli porzucone miasto duchów Pyrpeć. Alrix natomiast dostrzegł szopę i domek z zawaloną ścianą frontową.

— Będziemy nocować w tamtej szopie. Musicie iść dokładnie za moimi śladami. Wchodzimy na teren ślepych psów. Zachowajcie bezwzględne ciszę, Galion przejmuje wózek — rzekła idąca na czele Rubby, przekrzykując padające strugi deszczu. — Odbezpieczyć broń.

Stojąca przed Alrixem Delektiwa uniosła karabin i jednym płynnym ruchem wykonała polecenie. Zastygła z bronią przy ramieniu wymierzoną w Rubby i gotową do strzału zbyt długo, aby można było uznać to za przypadek. Następnie Seksbomba puściła oczko do chłopaka i opuściła broń.

Alrix odetchnął z ulgą.

— Ruszamy — rzekła Rubby, która dotychczas nie spuszczała oczu z zakochanych.

Obcokrajowiec odblokował broń.

Niech już będzie po wszystkim — pomyślał, po czym poszedł do przodu w ślad za dziewczyną w skrzypiących od wody butach.

* * *

Ciemnopomarańczowy cylinder z białym wieczkiem zagrzecotał przyjemnie w rękach biznesmena. Kędzior otworzył pudełko, wysypał dwie tabletki na dłoń, włożył do ust i całość zapił kawą. Zamknął cylinder, otworzył szufladę biurka. Wrzucił lek do środka. Opakowanie utonęło w stercie identycznych tub wypełniających dostępną przestrzeń.

Kędzior dopił kawę, usiadł na fotelu i odwrócił się w stronę okna.

Krople deszczu uderzały miarowo w szkło, wybijając znany tylko sobie rytm. Jedna z nich zatrzymała się na tafli, chcąc zostać na dłużej, przyklejając się do szkła. Stworzyła kulę, maleńki kryształ diamentu, walczący o życie, każdą kolejną sekundę. Desperacko łaknący

zachować stabilność, skazany na porażkę. Toczący bitwę z wiatrem smagającym z boku, brutalnymi braćmi czekającymi na najmniejszy błąd; przeznaczeniem. Kropla przegrała. Ślizgając się w dół, łapała innych, skręcała, kombinowała tylko po to, by pozostać tą sekundę dłużej na tafli. Stała na krawędzi jak lękliwe dziecko przed skokiem do basenu. W końcu znikła, nie pozostawiając ani nie zabierając niczego. Tak jakby w ogóle nie istniała.

Biznesmen odwrócił wzrok.

Nienawidził kropli z całego serca.

Puk.. Puk.. Puk..

— Proszę wejść.

W drzwiach stała Chaska, w roboczym kitlu, z mocno zaciśniętymi ustami. Doktor podeszła do Kędziora, stukając obcasami w podłogę. Spojrzała krzywo na kubek z fusami, po czym rzuciła biznesmenowi oskarżycielskie spojrzenie.

— Jak będziesz tak dalej żłopał kawę to rozwalisz sobie żołądek.

Biznesmen zaśmiał się rubaszenie, jednak śmiech szybko przerodził się w narastający kaszel. Kędzior sięgnął po chusteczkę, wypuścił krwawą plwocinę, po czym zgniótł celulozę w kulkę i wyrzucił do kosza, gdzie leżał już stos identycznych zawiniątek.

— Prędeż mój podopieczny się mną zajmie — rzekł Kędzior klepiąc się dłonią po piersi.

Chaska odpowiedziała milczeniem. Wyciągnęła stetoskop z kieszeni i podeszła do biznesmena.

— Zdejmij koszulę.

Kędzior posłusznie wykonał polecenie. Doktor ujrzała pajęczynę okręgów, linii oraz symboli alchemicznych tworzących skomplikowany wzór, przypominający przepis na zakazane zaklęcie ukryte przed światem. Poniżej, w okolicach lewej nerki, widniało puste miejsce, szrama, czerwone odbarwienie długości trzech, czterech centymetrów o bliznowatych końcówkach.

Chaska przyłożyła stetoskop do pleców. Kazała wykonać kilka głębokich oddechów, po czym pozwoliła Kędziorowi z powrotem założyć koszulę.

— I jak się mój raczek miewa?

— Lepiej niż ostatnio. Pociągniesz jeszcze góra dwa, trzy miesiące.

Biznesmen spoważniał. Usiadł za biurkiem i wskazał wolne miejsce doktor. Chaska nie skorzystała z propozycji.

— Można przedłużyć ten czas?

— Farmakologicznie zrobiłam wszystko, co się dało.

— Rozumiem. Czyli cała nadzieja pozostała w tej ziemi.

Kędzior odwrócił się od doktor i spojrzał na okno.

— Chaska, ile lat już się znamy? Półtora roku, jak nie więcej. Przez cały ten czas walczę z chorobą. Poświęciłem pół rodzinnego imperium na konwencjonalne środki, technologię oraz uzdrowicielskie czary szamanów. Za każdym razem zyskuje miesiąc, może z dwa. Jednak na dłuższą metę jest to bez znaczenia. Rak, starość, jakiś przeklęty wirus w każdej chwili może mnie zabić. Jednak ja nie zamierzam umrzeć. W tej ziemi jest klucz do nieśmiertelności. Jedyne trzeba go z niej wydobyć. Potrzebuję jeszcze trochę czasu, tylko tyle.

Chaska przytaknęła. Miała gdzieś gadaninę szefa. Wykonywała zadaną robotę, dostawała kasę, nic poza tym doktor nie obchodziło.

— Mam do ciebie prośbę, Chaska. Chcę, żebyś rzuciła na coś okiem — rzekł Kędzior, wstając z fotela. — Chodź za mną.

Biznesmen podszedł do zamkniętych drzwi, wyjął klucze z kieszeni, przekręcił zamek, po czym nacisnął klamkę.

— Proszę, pani przodem.

Pomieszczenie, do którego trafiła doktor, było miejscem, którym najmniej się spodziewała ujrzeć w całej Strefie. Na pierwszy rzut oka przypominało pokój nastolatka uwiedzionego magią ciężkiego metalu, mrocznych rytuałów i wszelkiej opozycji dobra. Czarne ściany zdobiły plakaty mitycznych stworzeń, demonów i Bóg wie czego, opisanych z dokładnością medycznych posterów. Jednak brakowało pentagramów, symboli szatana, zdechłych kotów. Zamiast nich, na stoliku, stało akwarium z ziemią pełną mrówek, stojących bez ruchu, a jednak żywych. Zobaczyła tam również stół z mapą przedstawiającą Strefę, piedestał z księgą, papiery poukładane w bezwładne sterty.

Jednak tym, co najbardziej zwróciło uwagę Chaski, był szkielet istoty, która nie miała prawa istnieć w tym świecie.

Zbyt duża głowa z oczodołami wielkimi jak talerze, cienka szyja oraz nieproporcjonalność członków do reszty ciała, i na oko piętnastocentymetrowy stożek wystający z czoła sprawiały, że doktor wzięła całość za dziwną zabawkę Kędziora.

— Fascynujący, prawda? Aż trudno uwierzyć, że jest prawdziwy — rzekł biznesmen, zatrzymując się przy doktor.

— Jednorożec? Myślałam, że wyglądają inaczej.

— Też tak myślałem. Dopóki nie odnalazłem tej fabryki oraz spoczywającego tu szkieletu.

— Nie ożył tak jak reszta? — rzekła Chaska z każdym zdaniem tracąc szacunek do szefa.

— Tylko zakopane zwłoki ożywają. Szkielet leżał w głównej hali produkcyjnej, całkowicie obgryziony przez szczury albo coś większego.

Chaska westchnęła. Leczyła wiele przypadków nowotworów, czasami nawet z całkowitym ozdrowieniem, jednak większość pacjentów zachowywała trzeźwość umysłu aż do końca. Widocznie Kędzior nie należał do tej grupy.

— Taki organizm nie ma prawa istnieć. Chodźby z powodu grawitacji. Zbyt duże dysproporcje umożliwiałyby tej istocie normalne chodzenie — rzekła doktor, patrząc z góry na biznesmena.

Kędzior milczał. Szkielet jednorożca lśnił w świetle jarzeniówek, rzucając wokół trupa aurę.

— Jednak nie po to panią tu przyprowadziłem — rzekł mężczyzna, przechodząc do stołu z mapą Strefy. — Potrzebuję twojej opinii Chaska. Do eksperymentów trzeba ludzi, dużo ludzi, martwych i żywych. Natomiast czasu na zatrudnianie stalkerów i szukanie trupów po Strefie nie mamy.

* * *

Przestępczyni zacisnęła dłoń na kamieniu wiszącym na szyi, sięgnęła w głąb i zaczerpnęła odrobiny zgromadzonego ciepła, dzięki czemu rozgrzała członki i pozbyła się nieprzyjemnego zimna powodowanego przez południowy wiatr. Rubby zacisnęła zęby, chciała zapomnieć, wyrzucić z pamięci dzień, kiedy pierwszy raz szła tą trasą, jednak nie mogła. Nie ważne ile by wypła, co by zażyła lub zrobiła to i tak nie zapomni. Nie pozbędzie się z głowy pierwszej konfrontacji ze Strefą, dnia, w którym omal nie została rozszarpana na

strzępy przez sforę psów. Zresztą jak każdego innego dnia z swojego życia. Tego, poprzednich i przyszłych. Przestępczyni Rubby Night posiadała pamięć absolutną i czy tego chciała czy nie, pamiętała każdą, przeżytą sekundę.

Przewodniczka myślami widziała pomarszczone, tyse bestie o zgniłych pyskach przy ziemi, o pustych ślepiach i ostrych kłach. Ukryte w trawie, uśpione, czekające na ofiarę. Rubby zamrugała, wróciła do rzeczywistości, deszczu oraz narastającego niepokoju.

Kątem oka zauważyła ruch. Stanęła. Uniosła dłoń, wyciągnęła broń z kabury. Wycelowała w bok. Z palcem gotowym na spuście, czekała. Niczym robot skanowała trawę, szukając najdrobniejszego ruchu.

Widocznie to tylko przywidzenie.

Rubby schowała pistolet i dała znak, by ruszać dalej. Na policzku czuła południowy wiatr, składający obietnice zimną jak lód.

Grzmot.

Przestępczyniomal nie podskoczyła. Towarzysze także zareagowali napięciem mięśni oraz strachem.

Grzmot, znacznie bliżej niż poprzedni.

Rubby zrozumiała. Skojarzyła fakty, odnalazła słowo na końcu języka.

Wycie. Czemu żaden pies nie wyje?

— Uciekać!!! — ryknęła przestępczyni, przekrzykując strugi padającego deszczu. Jednak było już za późno, stali za blisko drewnianej szopy.

Z budynku wydobył się trzeci grzmot, najpotężniejszy. Deski od strony Rubby, Alrixa oraz reszty wyleciały w powietrze. Drzazgi przeleciały nad głowami przybyszów i znikły w trawie. W wyłomie stanął mutant. Kwadratowe cielsko, przypominające trzonowy ząb, zachwiało się bezwładnie. Lewa ręka, wielkości fiata, uderzyła w ziemię, wywołując kolejny grzmot. W dwóch prawych ludzkich dłoniach, mutant trzymał kości z resztkami mięsa. Sawronoit ryknął, rozdzierając paszczę niczym u pijawki, ochlapując okolicę śliną.

Rubby zemdliło od odoru wydobywającego się z paszczy mutanta. Przestępczyni odskoczyła w bok, wyciągnęła pistolet i strzeliła. Trafiła Sawronoita w ramię. Z rany buchnęła zielona posoka. Mutant zawył. Stojący za przewodniczką Alrix uniósł karabin, wycelował, strzelił, spudłował. Obcokrajowiec zaklął, spojrzał na Delektiwe. Seksbomba czekała i jakby nigdy nic obserwowała.

— Kurwa! Strzelaj! Strzelaj! — ryknął Alrix, posyłając serię w stronę monstrum. Blondynka przewróciła oczami i wystrzeliła od niechcenia kilka pocisków.

Sawronoita zawył z bólu i wściekłości. Zaszarżował w stronę Alrixa, po drodze omal nie tratując Rubby. Obcokrajowiec opróżnił magazynek, odskoczył w bok i przeturlał się po ziemi. Monstrum machnęło dużą ręką w stronę Delektiwe. Seksbomba padła na ziemię. Karabin wylądował metr dalej.

— Tutaj, ty cholerna, paskudna bestio!!! — zawołał Galion, wyjmując z wózka podłużny, zakrzywiony kształt.

Żartujesz staruszk — pomyślał Alrix, gdy marynarz wyciągnął z pochwy szablę i machnął ją kilkukrotnie, prowokując mutantą.

Sawronoita ryknął, zaatakował. Chwycił w łapę wózek i, używając go jak packi na muchy, uderzył w Galiona, który przeleciał kilka metrów w powietrzu, po czym wylądował w trawie.

Alrix przeładował broń i wystrzelił kolejną serię. Monstrum obróciło się w jego stronę i rzuciło wózkim. Obcokrajowiec skoczył w bok, jednak miał pecha i trafił ramieniem o

kamień, przez co stracił karabin. Wózek rozbił się kilka metrów dalej. Kochanek Delektive uniósł głowę. Sawrononita stał nad nim. Czarne ślepie mutantu mrużyły się i szukały obcokrajowca. Z dziur po kulach spływała gęstymi strugami zielona posoka. Monstrum chwiało się, co chwilę przestępowało z nogi na nogę. Ruchy miało osowiałe, zmęczone.

Alrix usłyszał huk, znacznie głośniejszy od wystrzału z broni palnej. Szum deszczu zamilkł na moment. Bestie przeszył pocisk. Ognista smuga zajaśniała przed oczami cudzoziemca, po czym zniknęła w dali. Sawronita zaskomlał, ślepo dłońmi chwycił się za pierś, gdzie zamiast serca widniała dziura wielkości pomarańczy. Sekundę później monstrum padło na ziemię, u stóp Alrixa.

Obcokrajowiec wstał, wytarł błoto z twarzy i spojrzał na Rubby, która w ręce trzymała broń wraz z naszyjnikiem. Ubranie miała suche, dłonie zaczerwienione, twarz zdeterminowaną i zarazem pogodną. Obok przestępczyni stała Delektive, która z marnym skutkiem próbowała ukryć zdziwienie.

— Blisko było — rzekła Rubby, zakładając naszyjnik — powinienam wcześniej domyśleć się, co jest grane.

Deszcz padał, porozrzucane zapasy przemakały, zgniecione konserwy walały się pod nogami. Myszy z klatki rozpieczęły się po okolicy. Wózek ciągnięty przez Galiona leżał do góry nogami, pozbawiony prawego koła. Drugie przypominało pizzę upieczoną przez początkującego kucharza. Ciało Sawronoity broczyło krwią wartą tysiące dolarów, która mieszała się ze strumieniami wody i wsiąkała w ziemię. Przestępczyni zakłęła. Podniosła najbliższą puszkę i rzuciła ją Delektive.

— Pozbierajcie, ile się da, i zanieście do szopy. Ja zobaczę, czy nasz stary dziadyga jeszcze dycha — powiedziała Rubby, idąc na południowy wschód, gdzie monstrum poszło Galiona.

Obcokrajowiec podszedł do utraconego karabinu, podniósł broń i przy okazji pobliską puszkę.

— Widziałeś, co zrobiła? Przyłożyła naszyjnik do pistoletu, a potem... Bum! Wystrzeliła pocisk... Co ja mówię, z lufy wyleciała prawdziwa kula ognia, rozumiesz? Z tym naszyjnikiem będziemy mogli zrobić wszystko. Dosłownie nikt nam nie przeszkodzi.

Alrix słuchał i z mocno zaciśniętymi zębami podniósł kolejną puszkę. Po chwili, milcząc, poszedł po następną.

— Kotku, co cię ugryzło?

Obcokrajowiec nie odpowiedział. Chwycił konserwy i poszedł do szopy. Delektive spojrzała na Rubby, która pochylona w trawie badała Galiona, po czym udała się za kochankiem.

* * *

Szopa śmierdziała gównem i nadgniłym mięsem. Przeciekała w kilku miejscach, a pod stopami chrupały obgryzione kości martwych zwierząt. W prawym rogu Alrix dostrzegł klaki sierści Sawronoity, przy którym leżało truchło ślepego psa.

Obcokrajowiec zmarszczył nos. Wszedł głębiej do środka i butem oczyścił kawałek ziemi, po czym położył na niej puszki z karmą.

— Tygrysku — rzekła blondwłosa seksbomba, kładąc rękę na ramieniu kochanka.

Alrix odtrącił dłoń.

— Musimy zebrać jak najwięcej puszek.

Delektive zagryzła dolną wargę, po czym zagroziła drogę kochankowi. Spojrzała prosto w ciemnobrązowe oczy tygrysa.

Obcokrajowiec westchnął.

— Przez twoje wyśmienite strzelanie tamten stwór o mało mnie nie dopadł.

— Myślałam, żeby...

— Nie myślałaś. Zachowujesz się jak napalona nastolatka na wakacjach. Jesteśmy w Strefie. Kurdę, tutaj byle chrańszcz może nas zabić. Ja... my... jesteśmy szaleni... Co my właściwie tutaj robimy? Co myśleliśmy, planując to wszystko...

Delektive przytaknęła i zrobiła wolną drogę Alrixow.

— Już jest za późno, żeby się wycofać — szepnęła.

— Tak, wiem. Vocal i Cigarette na nas liczą. — Obcokrajowiec minął kochankę i wyszedł z szopy. Po chwili wrócił i rzucił Delektive pudełko z tabletkami nasennymi.

— Ty to zrób, ja idę pomóc Rubby przy Galionie. Mam nadzieję, że żyje. Zrób tutaj trochę porządku, dobrze?

* * *

Z bliska mapa Strefy wyglądała znacznie bardziej szczegółowo niż na pierwszy rzut oka. Każda z dróg miała indywidualny numer oraz kolor bezpieczeństwa. Naniesione oznaczenia wskazywały położenie anomalii, umieszczenie baz frakcji, opuszczonych jednostek, a także stref występowania mutantów. Istotny skarb dla każdego stalkera, warty fortunę.

Kędzior wyciągnął spod stołu żołnierzyki i zaczął rozstawiać figurki na mapie.

— Zielone to nasze oddziały. — Biznesmen położył trzy figurki na terenie wokół fabryki. — Aktualnie mamy do dyspozycji osiemdziesiąt umarłych. — Mężczyzna położył czwartego żołnierzyka z połamanym karabinem obok pozostałych. — Co łącznie daje nam do dyspozycji stu piętnastu żołnierzy, w większości pozbawionych doświadczenia chłystków.

Przedsiębiorca wyłożył na mapę kolejne figurki. Były one znacznie liczniejsze od zielonych z hełmami podciągniętymi różnokolorową farbą.

— Ci z czarnymi hełmami na południu od nas symbolizują oddziały Monolitu. Niebiescy to Najemnicy, jasnoniebiescy Czyste Niebo, czerwoni to bandyci, natomiast żółci to renegaci.

— Tamte dwa żołnierzyki z fioletowymi hełmami to kto? — zapytała Chaska, nie pamiętając żadnej grupy występującej w pobliżu Czystego Nieba, oprócz renegatów.

— Bękartie Żmije, zaskrońce, czy jakoś tak się nazwali. Nikt istotny. Odłam renegatów dowodzonych przez Rarity, dziewczynkę bawiącą się w dorosłego. Wracając do rzeczy, mam zamiar wywołać jak największy chaos wśród tych frakcji, naślać ich na siebie. Sprawić, by Strefa spłynęła krwią. Trupy zmienić w posłusznych umarłych, a resztki zniewolić.

— Masz jakiś plan? — rzekła Chaska, patrząc z obrzydzeniem na plastikowe żołnierzyki, pochodzących z taniego, przeznaczonego dla dzieci zestawu.

— Nic konkretnego. Za dużo na głowie, a czasu brak. Jednak...

— Kędzior, mogę wrócić do gabinetu? — Chaska nie wytrzymała. — Mam dosyć patrzenia na dorosłego faceta bawiącego się żołnierzykami. Chcesz posłuchać mojej rady, człowieka, który leczył dziesiątki ludzi chorych na raka? Wyjedź ze Strefy i spędź dany ci czas z rodziną. Reszta nie ma znaczenia.

Chaska penetrowała biznesmena wzrokiem. Kędzior wytrzymał spojrzenie doktor. Następnie bez cienia złośliwości pozwolił opuścić jej gabinet. Biznesmen odczekał chwilę, aż

Chaska oddali się na dostatecznie dużą odległość. Wtedy to zamkną drzwi od pokoju, zostawił żołnierzyki w spokoju i podszedł do księgi.

Okladka była prosta, pozbawiona zdobień, wykonana z tektury powlekanej materiałem. Jedynie z wytłoczonym srebrnymi literami tytułem.

Kędzior nabożnie otworzył księgę, stanowiącą najcenniejszą rzecz znaną przy szkielecie z innego świata.

Na cienkich, papirusowych kartkach widniały symbole nieznanego luckości alfabetu, przypominające pismo fenicjan z domieszką egipskich hieroglifów. Rozszyfrowanie tekstu zajęło Kendziorowi rok i to tylko dlatego, że posiadał jeszcze trzy książki zapisane tym samym alfabetem, w tym bajkę dla dzieci uczących się czytać, gdzie pod piktogramami czynności, były umieszczone odpowiadające im słowa. Jednak nadal słabo rozumiał tekst. Zwłaszcza niektóre sformułowania jak Equestria, drackonektus lub aplasynowiec stanowiły dla biznesmena zagadkę.

Książka na piedestale była najprzydatniejszym znaleziskiem. Zapisana pochyłym pismem, zawierała notatki martwego jednorożca. Magiczne arkana, zaklęcia, runy z innego wymiaru. Bezużyteczne na ziemi. Jednak po odpowiednich modyfikacjach, pozwalających zaczerpnąć odrobiny magii z wymiaru jednorożca, wzmocnić działanie artefaktów, a nawet całkowicie je zmienić. To właśnie dzięki jednej z run, wytatuowanej na plecach, Kędzior zyskał całe dwa lata życia. Dwa lata, które poświęcił na rozwiązanie problemu z nieśmiertelnością.

Biznesmen odczytał fragment księgi, wyciągnął notes i zapisał w nim kilka nowych uwag, by po chwili je skreślić i wrócić do lektury.

Nadchodząca noc zapowiadała się pełną ciężkiej pracy.

* * *

Dziesięć... jedenaście... dwanaście... trzynaście...

Ważąca ponad dwieście kilogramów sztanga upadła na materac, odbiła się dwukrotnie i zatrzymała w miejscu. Steryd sapnął. Na twarzy miał szeroki uśmiech. Obcisłą koszulkę pokrywały mokre plamy potu. Materiał na spodenkach napinał się do granic możliwości. Mięśniak podszedł do stolika i sięgnął po ręcznik. Wytarł twarz, usiadł na krześle, chwycił plastikową tubę, wyjął trzy tabletki, po czym połknął i popił kartonem mleka. Wytarł białe stróżki spływające po kącikach ust. Wstał, wziął hantle i wrócił do treningu, idealnie w tej samej chwili, gdy do siłowni wszedł Gwistka.

— Psydalo by ci sie troche psypakowac. Zrzucilbyś te pale kilo. — zagadnął Steryd, wodząc wzrokiem po mięśniach przyjaciela.

— Lubię mój brzuch. Dzięki niemu kobitki mają poczucie bezpieczeństwa, gdy robią mi dobrze. Widziałeś Ritsu? Mam do niego sprawę. Jutro trzeba wprowadzić nową, a ja chciałbym wybrać się do miasta.

— On si do tlego noie nadajy.

— Wiem. Wiem. Jednak umówiłem się z taką jedną fajną laską z cycami wielkimi jak balony i szkoda mi marnować okazję.

Steryd odłożył hantle i przeszedł ponownie do sztangi.

— Jak tak dalej pójdzie to złapiesz jakies cholelstwo i tyle będzie z ciebie poszytku.

— Dal li Boga. Nie złapię. Wiesz, gdzie Cigi jest?

— Pewnie siedzi ze swoimi jak zawsze. Nie łatwiej będzie ci wziąć tę nową siłą w cugi? Jac cos moge ci pomóc i psypilnować dswi. Bendzie jak ze Jasculkom, tylko, ze na odwrót.

Gwiazdka usiadł na krześle, sięgnął po hantle i uniósł kilka centymetrów w górę, po czym szybko odłożył na ziemię.

— To jac zgadsas się?

— Mam zasadę. Zawsze śpię z kobietami, które tego chcą. Gwałt to żadna przyjemność.

— Może dlatego ciągle jesteś prawickiem — zaśmiał się Steryd, po czym wziął głęboki oddech i podniósł sztangę.

Wytatuowany mężczyzna zaczerwienił się jak burak i splunął pod nogi mięśniaka.

— Jestem bardziej męski niż ty. Kurwa mać. Miałem fiuta w cipce nim przysześ na świat, jebany patafianie. Wież co, kurwa, twój mikrob nawet nie stanie, gdyby przyszła do ciebie sama Afrodyta.

Steryd odłożył handle. Zmierzył wzrokiem Gwiazdkę, oceniając, ile ciosów może sprzedać grubasowi, nim ten padnie martwy. W końcu zrezygnował z tego pomysłu. Wszakże sam zaczął temat.

— Uspokój się. Psesadziłem.

— No ja myślę.

Gwiazdka i Steryd milczeli. Każdy z nich chciał dodać coś jeszcze. Załagodzić spór. Przeprosić, jednak ani nie znali słów, ani nie chcieli okazać słabości. Przyznać się do błędu. Ta bariera idealnego mężczyzny, wysana wraz z wychowaniem oraz mlekiem matki, była zbyt silna dla każdego z nich. Całe życie ich uczyło, że bez względu na okoliczności, trzeba być skałą.

Gwiazdka odwrócił się i poszedł dalej szukać Ritsu. Natomiast Steryd wrócił do ćwiczeń.

* * *

Zielone oczy patrzyły w dal na strugi deszczu. Błądziły wzdłuż ściany fabryki, dawnego miejsca przechowywania hałd soli. Miejsca, gdzie obecnie wznosiło się dziesięć kopców. Prostych, niedawno wykopanych grobów, w którym spoczywały ciała.

Ritsu uśmiechał się, czuł w powietrzu nadchodzącą zmianę. Perspektywę, nowość mającą odmienić świat. Delektował się nią. Wiedział, że wszystko będzie inne. Tej nocy miał stać się cud.

Chłopako-dziewczyna spojrzał na drzwi wejściowe od fabryki, które zostały wypchnięte z trzaskiem, wypuszczając wytatuowanego mężczyznę. Ritsu zrobił krok do tyłu. Wokół stały dziesiątki mężczyzn i kobiet. Ludzi w podartych kurtkach, zgniłych koszulkach, wszelakiej maści ochłapach ubrań, niepotrzebnych nikomu. Tłumek obdartusów zrobił miejsce Ritsu, tworząc wokół chłopako-dziewczyny krąg. Zielonooki miał to gdzieś. Większość uważała go za jednego z nich. Bezmózgich idealnych sług. Jednak Ritsu nie był jednym z nich, trupów ożywionych za pomocą przeklętej ziemi. Był kimś znacznie groźniejszym.

— Ritsu, jesteś tam? — zawołał Gwiazdka wchodząc do magazynu.

Chłopako-dziewczyna spojrzał na stojące wokół zombie i wysłał im mentalny rozkaz. Silny impuls, zdolny do pozbawienia życia psa. Jednak trupy zareagowały słabo, ociężałe, zmniejszając pustą przestrzeń. Zielonooki westchnął w duchu i czekał.

Gwizdka wszedł moment później, zapalił światło i zepchnął kilka trupów na bok.

— Ritsu, chodź no tutaj. Mam do ciebie sprawę. No nie daj się prosić.

Chłopako-dziewczyna zwiesił głowę. Prawa skroń pulsowała bólem. Zawsze tak kończyło się nadużywanie psionicznych zdolności. Podszedł do wytatuowanego mężczyzny i stanął przed nim pokornie niczym baranek przed rzezią.

Gwiazdka uśmiechnął się i wziął Ritsu pod ramię.

— Mam sprawę, jutro wybieram się do miasta. Wiesz, zobaczyć kawałek świata, odwiedzić starych kumpli, nawiązać nowe znajomości. Jednak nasz wielki Kędzior kazał mi, — mężczyzna wskazał kciukiem pierś. — właśnie mi, wprowadzić nową w całe to gówno. Uwierzysz? No więc, miałbym małą prośbę. Zastąpisz mnie? W zamian przeszmugluje ci z miasta, co tylko będziesz chciał. Umowa stoi?

Ritsu spojrzał na wyciągniętą dłoń Gwiazdki, po czym spuścił głowę, jeszcze niżej i, pokręcił ją przecząco.

Gwiazdka skrzywił się niczym podczas jedzenia źle obranego grejpfruta. Wypuścił chłopako-dziewczynę spod ramienia i uniósł pięść przed nosem mutanta.

— A ja cię miałem za porządnego gościa — rzekł, po czym splunął.

Bez słowa opuścił magazyn.

Ritsu wyprostował kręgosłup, spojrzał na drzwi i zatrzaskał je siłą woli. W końcu mógł wrócić do treningu panowania nad zombie.

* * *

Alrix ostrożnie położył siwą głowę Galiona na koszulce. Wstał, podszedł do Delektiwe, która goła od pasa w górę, wyciskała wodę z ubrania. Stał przy kochance i czekał. Obserwował Rubby, która mamrocząc pod nosem, sprawdzała kości marynarza. W końcu przewodniczka podniosła się. Z oczu Rubby popłynęły łzy.

— Co mu się stało? — wyszeptał obcokrajowiec.

— Żyje, jednak ta świnia będzie miał przez kilka tygodni dużo siniaków. To jakiś cud.

— Pieprzysz go, prawda? — zapytała zniecierpliwiona kochanka Alrixa.

Rubby odwróciła się i pięścią roztrzaskała nos seksbomby. Delektiwe poleciała do tyłu, wytarła ciekącą krew, po czym rzuciła się w kierunku karabinu. W ten Alrix złapał ją za ramię.

— Uspokój się.

Delektiwe wyszarpnęła się z uścisku kochanka, po czym rzuciła miażdżące spojrzenie przestępczyni.

— Dorwę cię.

Rubby kiwnęła głową. Następnie, jakby nigdy nic się nie stało, rzekła do Alrixa:

— Nigdy nie uprawiałam seksu z Galionem i nie zamierzam. To mój przyjaciel, nikt więcej. Skoro mamy już to za sobą, sprzątnijmy tu trochę, rozpalmy ognisko. Zjemy coś i ogrzejemy się. Zapasy drewna leżą za szopą, o ile mutant nie rozdarł plandeki i nie rozrzucił szczap, to powinny być suche.

Delektiwe nie zaprotestowała, bez słowa wzięła się za sprzątanie. Alrix wzruszył ramionami, po czym poszedł pomóc kochance. Rubby natomiast wyszła na zewnątrz po drewno.

Seksbomba odprowadziła wzrokiem przestępczynię, wyjęła z kieszeni tabletki nasenne i sięgnęła po termos. Następnie wrzuciła trzy pastylki do środka i mocno zamieszała.

— Mam nadzieję, że gdy się obudzi, będzie bolała ją głowa jak po ostrej balandzie. Chociaż wolałabym aby już nigdy nie wstała. Kochanie.

Alrix, milcząc, rzucał kości w przeciwny kąt szopy. Myśłami krążył wokół poranka, gdy jego Delektiwe nadal była uroczą kochanką, ideałem każdego mężczyzny. Znaną od podszewki seksbombą. Obecnie jednak obcokrajowiec widział w Delektiwe obcą osobę, człowieka zatrutego zazdrością, kobietę, którą obchodzi się dalekim łukiem.

Od zawsze taka była, czy to przez tę wyprawę się zmieniła. A może to ja byłem na tyle ślepy, by tego nie zauważyć... ?

Obcokrajowiec chwycił kość, po chwili wahania rzucił ją na stertę. Spojrzał na kochankę, zatrzymując wzrok na piersiach. Poczuł ucisk w kroczu i uśmiechnął się w duchu. Jednak głowę trapiło wiele pytań, na które koniecznie chciał znać odpowiedzi.

— Z tym mężem i jego zabójstwem to był oczywiście żart? — zapytał Alrix, po czym podszedł do Rubby, pomagając przestępczyni we wniesieniu szczap do środka.

— Nie żartowałam.

Obcokrajowiec położył opał we wskazanym przez Rubby miejscu. Czekał na dalszą część odpowiedzi, która wyjaśniłaby mu, co się stało. Jednak Delektiwe ubrała koszulkę, po czym wybrała jedną z pogiętych puszek i otworzyła wieczko.

Alrix zrozumiał, że nie dowie się dzisiaj już nic więcej. Sięgnął po puszkę, pociągnął za wieczko i zaczął jeść. Rubby zdjęła naszyjnik, podeszła do prowizorycznego ogniska, przyłożyła kamień do drewna. Reakcja nastąpiła natychmiast. Wilgoć wokół zniknęła, szczapy szczyrniały, po czym zajęły się ogniem.

— Co to za kamień? — zapytał Alrix, przybliżając się do ogniska.

Przestępczyni sięgnęła po konserwę i otworzyła wieko.

— To Kofan, kamień energii, pozwala między innymi przechowywać ciepło i wykorzystywać je w dowolnej formie i ilości, zależnej od zgromadzonych zapasów. Sam nie wytwarza niczego. Oczywiście, jeśli umie się nim odpowiednio posługiwać, to stanowi użyteczne narzędzie. Inaczej można zrobić sobie dużą krzywdę. Dlatego nie ważcie się go nawet dotykać, inaczej was zastrzelę — zakończyła Rubby, patrząc prosto na Delektiwe.

— Jasne, nawet gdyby mi dano milion dolców, to go nie tknę. Po za tym wygląda paskudnie.

Przestępczyni przez chwilę patrzyła prosto w oczy seksbomby, szukając oznak kłamstwa, zwężenia źrenic, bądź uciekania wzroku. Niczego nie dostrzegła. Wróciła do posiłku, sięgnęła po termos.

* * *

— Od tej pory będziesz spać wraz z Glizdą, Szpilą i Radioli — rzekł Gwiazdka, wskazując drzwi z przekrzywioną dziewiątką. — Pierdolone psiapsiółki, robiące wszystko razem, ale do czworokąta to za bardzo chętne nie są. Sracz masz za tymi drzwiami, a do Chaski, jak coś ci się działo z raną, to pamiętasz jak trafić?

— Tak, znam drogę.

— Dobrze. W takim razie miłej zabawy, nowa — rzekł na odchodnie Gwiazdka.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, gdy wytatuowany mężczyzna zniknął za rogiem, po czym weszła do pokoju.

Pierwszym, co poczuła Cigarette, był wszechobecny zapach dymu papierosowego oraz woń świeżo zatemperowanego ołówka. Na środku stał okrągły stolik, przy którym piętrzyły się trzy stosiki kartek. Po przeciwnych stronach siedziały dwie dziewczyny.

Szczupła blondynka z papierosem w ustach i kartami w dłoni. Naprzeciwko brunetka, prawdziwa brzydula, na której widok mężczyźni tracili animusz do zalotów. Lokatorki grały w pokera i gdy zobaczyły czarnowłosą, przerwały partie. Trzecia z dziewczyn, najniższa, o włosach długich do końca pleców, siedziała za biurkiem. Przed sobą miała kartkę papieru, kredki poukładane równo obok siebie od najciemniejszych barw do najjaśniejszych. Intensywnie tworzyła wizerunek małej dziewczynki, którego Cigarette nie rozpoznawała.

— Nowa, jak cię zwą? — zawołała brzydka kobieta.

— Cigarette Swing.

— Swing.. Swing... skądś kojarzę to nazwisko...

— To ta od papierosów — wtrąciła się blondynka, rzucając brzyduli napoczętą paczkę z napisem "Swing Strong". — Podła jakość, ale przynajmniej tanie jak barszcz.

— Siadaj — rzekła brzydula, odrzucając papierosy przyjaciółce. — Jestem Lena Rasidow, alians Radioli. Blondynka to Kaja Podlaska, zwana Glizdą, natomiast rysująca loli to Tyna Kowalska, przez nas zwana Szpilą. Ma kompletną obsesję na temat japońskich bajek, kultury oraz pozostałego badziewia.

— To się zwie anime i jest najlepszą rzeczą na świecie! — wtrąciła się rysownicza.

— Ciga, nie daj sobie wmówić, że ma dwanaście lat. Dwadzieścia siedem i ani roku mniej — dodała Glizda.

— Udam, że tego nie słyszałam — rzekła Szpila, poprawiając ułożenie kredek z idealnego nana jeszcze bardziej idealne.

— Palisz? Napijesz się czegoś? — powiedziała Radioli, wyciągając spod stolika butelkę ajerkoniaku wraz ze szklankami.

— Dziękuję, nie palę, jednak chętnie się napiję, lecz nie za dużo. Źle by wyglądało, gdybym jutro zaczęła dzień na kacu.

— Święta racja — rzekła Radioli, rozlewając trunek do szklaneczek.

— Ja nie piję — wtrąciła się Szpilka. — Jestem za młoda.

Pozostałe dwie przyjaciółki wymieniły porozumiewawcze spojrzenie z Cigarette.

— Skoro nie palisz, to nic dziwnego, że nie umiesz produkować dobrego tytoniu. Grasz w pokera Ciga? — rzekła Glizda.

— Zdarza mi się.

— W takim razie świetnie. Odkąd nie ma z nami Jaskółki, to ciągle wygrywanie z dziewczynami stało się dla mnie nudne.

— Bo oszukujesz. Nie wiem jak, ale się dowiem, Glizdo — rzekła Radioli — a wtedy zrobię ci taki łomot, że sam Steryd nie byłby w stanie wykonać lepszej roboty.

— Skoro Ciga się dołączyła, to zaczynamy od początku. Tylko trzeba podarować nowej trochę rysunków. Szpila, masz jakieś nowe?

Dziewczyna przy biurku odłożyła kredkę na miejsce, po czym wypowiedziała kilka słów pod nosem i wstała od biurka.

— To dla ciebie, dōzo Cigi-san — rzekła Szpilka z lekkim ukłonem, wplatając w wymowę bezbłędnie zaakcentowane dziękuję po japońsku.

— Dziękuję — odpowiedziała niepewnie nowa, przyjmując podarunek.

— Mówi się arigatō Cigi-san.

— Arigatō. — Cigarette spróbowała powtórzyć słówko po Szpilce z marnym skutkiem.

— Nie martw się, z czasem cię nauczę jak mówić po japońsku. Ten język powinien znać każdy człowiek na tej planecie. Może z ciebie będzie lepszy materiał niż z tych dwóch, które kompletnie nie mają akcentu. — Szpilka odwróciła się do Glizdy. — Ja też zagram.

Tyna bez ostrzeżenia nalała do czwartej szklanki ajerkoniaku.

— Tylko nie upij się nam jak ostatnio — rzekła żartobliwie Radioli.

Cigarette spojrzała na małe arcydzieło. Zobaczyła dziewczynkę w niebieskiej sukience i piłą łańcuchową za plecami. W tle widniał cień trupa pozbawionego głowy. Narysowana księżniczka patrzyła na świat wielkimi oczami i uśmiechem zapraszała Cigarette, aby przyłączyła się do zabawy.

— Za zdrowie Cigarette! Naszej nowej psiapsiółki! — powiedziała Radioli, wznosząc toast.

— Kanpai!

— Na zdrowie!

Przyjaciółka Alrixa wyniosła szklaneczkę w toaście.

* * *

Na początku była ciemność. Obezwładniające zimno sięgające głęboko w czeluście serca. Chłód porównywalny z dotykiem lodu. Później dołączyło swędzenie i wilgoć. Coś drgnęło poza świadomością Vocala. Mężczyzna zobaczył dziesiątki żółtych linii prowadzących ku górze, skupionych w jednym miejscu. Chciał obrócić głowę i ujrzeć je dokładniej. Jednak napotkał sypki, lepki opór, uniemożliwiający zadanie. Uniósł dłoń, która pokonała kilka centymetrów, po czym napotkała identyczny opór. Umysł Vocala, powoli zaczął łączyć fakty, pracować jak lokomotywa, która ruszyła ze stacji. Ekscytacja, światło, radość, lecz przede wszystkim ból wyskakiwały w przebłyskach świadomości.

Ponownie nastąpiła ciemność. Vocal zrozumiał. Był martwy. Jednak jakimś sposobem istniał ponownie w miejscu i świetle, do którego prawa już nie posiadał.

Gwałtownie zapragnął nabrać tchu, poczuć powietrze w płucach. Napotkał przeszkodę, spanikował. Instynkt mówił, że za minutę umrze, pozbawiony powietrza. Czas minął. Wszystko zostało na miejscu.

Żyje — pomyślał, nie wiedząc, jak inaczej nazwać aktualny stan bytowania. Ożywiony trup zbadał rękami otoczenie.

Wyczoł tkaninę.

Jestem w grobie, pod ziemią.

Nacisnął mocniej.

Wcześniejszy opór zelżał. Vocal zebrał więcej sił i wstał. Płachta oraz dwa centymetry ziemi ustąpiły. Zsunęły się z ciała umarlaka i zatrzymały pod stopami.

Przyjaciół Cigarette podniósł głowę. Strugi deszczu obmywały twarz umarłego z ziemi, oczyszczając skórę oraz duszę.

Vocal spojrzał w bok, pośród pozostałych ożywieńców stojących przy grobach rozpoznał rabusiów. Tych samych co napadli jego i Cigarette na rozstaju drogi, wywołali wybuch anomalii i...

Zabili mnie — dokończył w myślach nieumarły. Jednak, co ważniejsze, nie zauważył wśród nich przyjaciółki.

Na ustach Vocala zagościł uśmiech. Poświęcenie się dla przyjaciółki nie poszło na marne.

Żywe trupy rabusiów stały zgarbione, tępo patrząc w dal z rozdziawionymi gębami. Najbliższy Vocalowi nie posiadał prawej ręki oraz połowy brzucha. Dalszy, mający mniej szczęścia, składał się jedynie z połowy tułowia i pozbawionego tkanek nogi. Ze wszystkich trupów *wychodziły* żółte linie, cienkie niczym promienie słońca, spotykały się w jednym miejscu u piersi Vocala.

Nieumarły spojrzał na gwóźdź, na którym kończyły się smugi, dotknął go i natychmiast syknął z bólu.

Vocal usłyszał trzask, do którego po chwili dołączył rumor dochodzący z magazynu na wprost. Żaluzjowe drzwi uniosły się, odsłaniając hordę zombie oraz stojącego między nimi dziewczyno-chłopka ubranego w czarny uniform.

Chodźcie do mnie.

Umarłaki po prawej ożyły, podniosły głowy i pokracznym krokiem ruszyły ku magazynowi. Vocal stał, z zaciekawieniem obserwując, jak niebieska poświata emanuje z Ritsu, rozpraszając się w każdym kierunku.

Chodź do mnie — głos zabrzmiał silniej w głowie przyjaciela Cigarette. Vocal postąpił krok do przodu, jednak nie zrobił nic więcej.

Stojący pod dachem chłopako-dziewczyna prześwidrował zielonym spojrzeniem czaszkę Vocala.

Chodź do mnie.

Umarły poczuł silny przymus wykonania polecenia. Pragnienie posłuszeństwa wobec ubranej w czerń postaci.

— Nie — Vocal rzekł stanowczo, schrypiałym, ledwo słyszalnym głosem.

Wszystkie zombie zamarło. Chłopako-dziewczyna mrugnęła, jednak nie ponowił próby mentalnego przywołania. Zamiast tego wyszedł na deszcz i zatrzymał się przed ożywieńcem.

— Kim jesteś?

— Nazywam się Vocal Voice i chyba jestem martwy.

Ritsu przytaknęła, przez chwilę obserwował gwóźdź w piersi ożywieńca, po czym skierował się do magazynu.

— Chodź Vocal. Nie wiesz, jak długo czekałem na kogoś takiego jak ty.

* * *

Chłopako-dziewczyna zamknęła szczelnie magazyn. Umysłem włączył jarzeniówki, które skąpały pomieszczenie w żącym blasku. Następnie wszedł między zombie, po czym usiadł ze skrzyżowanymi nogami na podłodze.

— Usiądź.

Vocal podszedł, usiadł, a umarlaki schodziły z drogi przyjacielowi Cigarette jak przed królem.

— Wiesz, kim jesteś? Pamiętasz to, co działo się wcześniej? Skąd masz ten gwóźdź?

Umarły przytaknęła na dwa pierwsze pytania, przy ostatnim zaś spojrzał na pierś.

— Nie pamiętam, skąd to mam.

— Ten gwóźdź nie ma znaczenia. Jesteś wyjątkowy, to pewnie już zdążyłeś zauważyć.

— Kim jesteś? Jakim cudem żyje? Dlaczego nie czuję bólu? Co to za miejsce? Gdzie jest Cigarette?

— Spokojnie, Vocal. Pomału wszystko ci powiem. Na początek musisz wiedzieć kilka podstaw. Po pierwsze jesteś trupem. Umarlakiem, który nie ma racji bytu. Nawet pośród nich jesteś wyjątkowy. Masz rozum. Może posiadasz jeszcze inne umiejętności. Jednak musisz zrozumieć jedno. Odkąd ponownie powstałeś, stałeś się jednym z nas. Stałeś się mieszkańcem Strefy, tubylcem, mutantem, jednym z wypaczeń Zony tępionym przez stalkerów. Tych, którzy okradają nas oraz walczą o naszą ziemię. Czyste niebo, Renegaci, Świadomość-Z, czy ich marionetki, są uzurpatorami. Roszczą sobie prawo do władzy nad tymi ziemiami, bo je stworzyli. Uwierz mi, to bujda. Nie ma znaczenia, kto stworzył Strefę. Liczy się tylko to, kto tu jest. Ziemia należy do tych, co na niej żyją. Nie do istot przychodzących z zewnątrz, żeby grabić i mordować. To wszystko to nasza własność i musimy ją odzyskać. Jednak by tego dokonać, potrzebujemy kogoś, kto nas zjednoczy, poprowadzi na barykady i będzie rządził. Ustanowi prawo oraz...

Vocal słuchał, jednak w myślach na miejscu Ritsu, widział dyktatora, megalomana przemawiającego do tłumu. Osobistość oczekującą podziwu, żądającą uwielbienia od poddanych. Umarłemu brakowało jedynie wyciągniętej ręki i charakterystycznego pozdrowienia do kompletnego obrazu. Mimo tego postanowił postępować zgodnie z radami chłopako-dziewczyny, do czasu, aż zdobędzie wystarczającą wiedzę do przeżycia. Dopiero wtedy pomyśli nad słusznością słów Ritsu.

— Masz rację, jednak nim zaczniemy, może coś zjemy? Całe to wygrzebywanie z ziemi strasznie wzmaga apetyt.

Ritsu milczał. Na twarzy miał krzywy grymas, ni to pogardy, ni to smutku. Vocal bezskutecznie próbował odgadnąć przyczynę tej miny. Zaskoczenie zbyt łatwym zgodą na propagandę, a może powiedział coś niewłaściwego?

— To przejdzie, nie potrzebujesz jedzenia ani wody. To tylko odruchy, wspomnienia, które szybko miną. Możesz pracować cały dzień i noc, bez zmęczenia ani potrzeby pójścia do łazienki. Zresztą, jakbyś nawet musiał, to i tak mało kogo obchodzi czystość tego miejsca.

Chłopako-dziewczyna wstał, rozprostował ręce, po czym strzelił kostkami jak z karabinu maszynowego.

— Na początku pokaż, co potrafisz, wybrańcze.

Vocal wyprostował się, wzruszył ramionami. Zamachnął się na Ritsu. Mutant zrobił krok do tyłu, czym uniknął ciosu. Zapiszczał jak mysz, uciekająca przed kotem.

— Nie oto mi chodziło, masz być dowódcą, nie wojownikiem. Twym polem walki ma być taktyka, psionika, spiski, intrygi. Musisz zacząć myśleć jak król, nie jak pacholek. Każ zaatakować mnie zombie.

— Tylko ja nie wiem, jak to zrobić.

— W takim razie szkoda mojego czasu.

Vocal spojrzał na pobliskie zombie. Skupił się na żółtych liniach łączących go z grupą. Instynktownie wiedział, że to owe smugi są kluczem, rozwiązaniem do władania żywymi trupami. Umarły chwycił mentalnie jeden z promieni. Pociągnął. Zombie na końcu gwałtownie upadł, jak kukielka po oderwaniu sznurków. Już się nie podniósł. Pozostali nieumarli odwrócili się do pobratymcy i patrzyli tępo na leżące ciało. Vocal wybrał kolejną smugę, postanawiając spróbować innej taktyki. Tym razem wykorzystał połączenie jako światłowod, rozszerzenie umysłu, którym przekazał rozkaz.

Uderz go.

Nieumarły drgnął, spojrział na najbliższego pobratymcę, po czym uderzył zombie pięścią.

Ritsu oparł usta na czubkach dłoni, ułożonych jak do modlitwy. Stał tak chwilę, dumając nad słowami.

— Czeka nas naprawdę dużo pracy. Na szczęście mamy czas. Zaczniemy więc od podstaw. Prostych i efektownych umiejętności. Na początek rozmowy...

Od teraz porozumiewamy się wyłącznie za pomocą myśli. Jest to instynktowne, więc powinieneś od razu załapać — Ritsu dokończył wypowiedź, wypowiadając słowa w umyśle umarłego.

Vocal spojrział na chłopako-dziewczynę i wypowiedział słowa używając jedynie umysłu.

Dobrze mnie słyszać?

Tak, doskonale. Widzisz, jakie to proste. W takim razie kolejna lekcja.

Z tłumu umarłych wyszedł zombie ubrany w krótkie spodenki o hawajskich wzorach, białej koszulce rozdartej przez pazury dzikich psów. Stanął przed Vocalem, szykując pięści do ataku.

Nazwiemy to, na nasze potrzeby, zakrzywieniem percepcji. To bardzo prosta sugestia, którą należy wszczepić w umysł przeciwnika. Najprościej mówiąc; ofiara ma spory kłopot z celowaniem, jakby była pod wpływem alkoholu. W pierwszym kroku musisz odnaleźć w umyśle przeciwnika obszar odpowiedzialny za wzrok. Następnie delikatnie zmienić postrzeganie świata, tak, aby niczego się nie domyślił. Zobacz...

W myślach Vocala ukazał się obraz Ritsu stojącego przed zombie zamiast niego. Chłopako-dziewczyna promieniował delikatną fioletową aurą, która w pewnym momencie wystrzeliła w umarłego w spodenkach, przeniknęła do mózgu i zatrzymała się w potylicy. Wtedy zombie zaatakował. Jego pięść przeleciała kilka centymetrów od twarzy Ritsu.

Wizja zniknęła.

Teraz twoja kolej.

Vocal rozluźnił umysł i rozpoczął ćwiczenie.

* * *

Rubinowy kamień unosił się wolno w górę i w dół, zgodnie z oddechem przestępczyni. Był mały, niepozorny, wręcz przeciętny, a jednak Delektiwe pragnęła go bardziej niż cokolwiek na świecie.

Seksbomba odpięła łańcuszek i chwyciła klejnot. Pod palcami poczuła gładką, chłodną powierzchnię. Zawiesiła kamień na szyi, po czym uśmiechnęła się. Wszystko było w najlepszym porządku, takim, jakim powinno być od samego początku.

— Skończyłaś już? — zapytał Alrix zakładając lunetę na swoją broń.

Delektiwe odwróciła się do chłopaka i dłonią wskazała wisiorek.

— Jak leży?

— Wyśmienicie.

— Nawet nie spojrzaleś.

Alrix przelotnie spojrział na kochankę i śpiącą obok Rubby, po czym ponownie zatrzymał wzrok na broni.

— Doskonale do ciebie pasuje. Co z nimi robimy?

Delektive przeszła obok kochanka, stanęła w dziurze zrobionej przez monstrum i spojrzała w dal, ku wschodzącemu słońcu. Na policzkach czuła wilgotny powiew, a pod nogami dziewczyny rosły zielone żdzbla pokryte rosą.

— Zostawimy ich tak, jak są. No może poza drobnym wyjątkiem. Masz flamaster?

— Nie, niby skąd miałbym go wytrzasnąć?

Kochanka Alrixa wzruszyła ramionami. Wyjęła z kieszeni szminkę i pomalowała usta. Następnie podeszła do Rubby, po czym na czole przestępczyni wymalowała wielkie, soczyste "KURWA". Delektive przyjrzała się swojemu dziełu z oddalenia.

— To za mało — mruknęła pod nosem. Podniosła koszulkę Rubby i wypisała kolejne słowo kończąc dzieło strzałką skierowaną w podbrzusze.

— Skończyłaś? — zapytał Alrix zażenowany dziecięcym zachowaniem kochanki.

Delektive wzruszyła ramionami.

— Najchętniej zastrzeliłbym ją na miejscu. Jednak wiem, że by ci się to nie spodobało.

— Masz rację.

Seksbomba uśmiechnęła się, pocałowała kochanka w policzek. Wyjęła z kieszeni mapę i rozłożyła ją na ziemi.

— Jesteśmy tutaj. — Wskazała okolice oddaloną o trzy palce od Pyrpeci. — Cigarette i Vocal mieli zbadać tą okolicę. — Palce Delektive przesunęły się na teren bagien zajmowany przez Czyste niebo. — Jak dobrze pamiętam to ostatni nadany sygnał otrzymaliśmy z tąd.

Seksbomba stuknęła opuszkami w przestrzeń oddaloną na północ od głównej drogi okalającej bagna w pobliżu opuszczonej fabryki konserw.

Alrix kiwnął głową.

— Wszystko się zgadza.

— Proponuję przejście wzdłuż tych pagórków i zatrzymanie się w fabryce na noc, później spróbujemy zbadać okolice ostatniego sygnału, dowiedzieć się co się stało, ewentualnie zebrać to co zostało i powrócić do domu.

Kochanek Delektive przejrzał uważnie mapę w poszukiwaniu lepszego rozwiązania.

— Taaaaak, to najlepsza droga.

Seksbomba posłała wiosenny uśmiech do Alrixa, po czym ponownie pocałowała ukochanego w policzek.

— Idealny plan tygrysku.

Alrix wstał. Czuł skołowanie. Wyraźne podlizywanie się seksbomby, grające na męskości oraz poczuciu władzy wprawiało obcorajowca w zakłopotanie. Jednak nic nie powiedział. Uzmysłowił sobie w głowie prosty fakt — w tym związku to Delektive jest samcem alfa.

* * *

Struga wody leciała wprost do umywalki pokrytej warstwą mydła nadającej ceramice brudnożółty kolor. Osad przywoływał na myśl płynny, pszczeli воск i podobnie jak on lepił się do wszystkiego, co znalazło się w pobliżu.

Woda znikła w odpływie bulgocząc jak brzuszysko głodnego potwora. Cigarette włożyła, złożone dłonie pod wartki strumień, chlusnęła cieżką w twarz, spojrzała na odbicie w lustrze i poprawiła włosy. Otworzyła usta. Przyjrzała się zębom, czując przemożną chęć sięgnięcia po pastę i szczotkę, której nie miała.

Taka drobna rzecz, a jak mi jej brakuje — pomyślała czarnowłosa piękność, zakręcając kran.

Cigarette podeszła do drzwi, sięgnęła do klamki, po czym zamarła jak trafiona piorunem.

Alix, Delektive. Cholera, zapomniałam.

Dziewczyna wróciła, oparła dłonie o umywalkę i zaczęła gorączkowo myśleć. Przywołała obraz spotkania przed wyprawą do spełniania życzeń. Umowę w postaci regularnego kontaktu radiowego co najmniej raz na dwa dni. Zabezpieczenie polegające na przybyciu odsieczy, uzbrojonego wsparcia, ratującego pierwszą dwójkę z opresji.

Cigarette zmarszczyła brwi.

Kiedy ostatni raz Vocal nadawał? We wtorek, a może w poniedziałek. Nie... w poniedziałek padła stacja.

Myśli krążyły. Świadomość szukała dokładnego dnia oraz godziny. Wydarzenia, punktu zaczepienia, pozwalającego dojść do szukanych informacji. W końcu czarnowłosa trafiła na ślad. Ostatnią spokojną kolację dwa dni przed spotkaniem bandytów i wybuchem anomalii. Słowa Vocala narzekającego na popsutą stację radiową, które obróciła w żart.

Ostatnio nadawaliśmy w sobotę, we wtorek napadli nas złodzieje a dzisiaj najprawdopodobniej jest czwartek. Psia kość, muszę ich jak najszybciej powiadomić co się wydarzyło. Oby jeszcze nie ruszyli z odsieczą...

Cigarette wyprostowała się. Wyszła z łazienki. Zaczęła kuśtykać do gabinetu Kędziora z zamiarem poinformowania szefa o przyjaciółach, konieczności skorzystania z radia, powiadomienia Alrixa oraz Delektiw o śmierci Vocala...

Przed czarnowłosą, niczym spod ziemi, wyrósł Gwiazdka z naburmuszoną twarzą. Najemnik miał jedynie podkoszulek ze śladami jajecznicy zjedzonej na śniadanie. Z gęby mężczyzny waliło cebulą, a między zębami sterczał szczypiorek.

— Tutaj jesteś. Wszędzie cię kurwa szukałem. Kędzior zrobił mnie twoją niańką i kazał uświadomić, wprowadzić w ten tegesy. Pogadać o kwiatkach i pszczołkach, oraz pozostałych pierdołach. Zresztą najszybciej i najprościej będzie jak ci wszystko pokaże — dokończył najemnik gestem każąc Cigarette iść za sobą.

Czarnowłosa piękność, nie mając wyboru, pokuśtykała za Gwiazdką.

* * *

Miejscem, do którego zaprowadził wytatuowany mężczyzna nową najemniczkę był wcześniej widziany przez nową najemniczkę magazyn. Z bliska szeregi postaci wyglądały znacznie mniej ludzko niż czarnowłosa zapamiętała. Poplamione, brudne, w podartych ubraniach postacie wodziły wzrokiem za Gwiazdką. Przypominały stado wytresowanych psów czekających na posiłek. Jednak nawet psy posiadały więcej wigoru od zgromadzonych.

— To gówno, które mamy przed sobą, większość z nas nazywa zombiakami. Te tutaj są tak samo bezmyślne jak ich odpowiedniki w starych horrorach. Jednak nie żrą niczego, nie potrzebują snu, ani odpoczynku. Nawet ruchać im się nie chce. Tempe chuje. Dlatego Kędzior ich tak kocha. Ja zresztą też. Gówniaki są idealnymi robotami, robią wszystko, co im każesz, o ile będziesz w stanie je tego nauczyć. Trzeba ich pilnować jak małe dzieci, inaczej staną w miejscu i będą tak sterczały aż do końca świata.

Cigarette przytaknęła. Wpatrywała się w zombie. Rozpoznając wśród zgniłych twarzy rabusiów z napadu. Szukała jednak jednej najważniejszej, której zobaczyć obawiała się najbardziej.

Czarnowłosa podeszła do pobliskiego umarlaka. Dotknęła twarzy zombie i przejechała palcami po zębach wystających z pozostałości policzka. Pod opuszkami palców skóra nieumarłego przywodziła na myśl starą, wykrochmaloną koszulę.

— Jak to jest możliwe? Przecież to pogwałcenie praw natury.

Gwiazdka wzruszył ramionami.

— To przez tutejszą ziemię. Każdy pogrzebany na terenie fabryki powstaje w nocy z martwych i niejako zostaje własnością Kędziora. Dlatego też szefunio każe nam zbierać trupy z okolicy i chować je pod fabryką. Chce zrobić z tych gówniaków osobistą armię, którą wykorzysta do podbicia Strefy oraz założenie własnego państwa. Moim zdaniem nigdy tego nie dokona, jednak dobrze płaci, więc mam to w dupie.

Cigarette przytaknęła. Odeszła dwa kroki od umarlaka, po czym zatrzymała wzrok na średniego wzrostu mężczyźnie z na wpół spaloną sylwetką brązowo-rudych włosach i ciemnych mahoniowych oczach. Martwym przyjacielu, którego nie zdołała uratować.

— Tamci, niosący Vocala, to też byli zombie?

— Tak, jedne z lepiej wyszkolonych. Na szczęście nie uszkodziłaś ich za bardzo.

Co oni ci zrobili — pomyślała czarnowłosa, przeciskając się między umarlakami w kierunku przyjaciela.

Stanąwszy przed Vocalem dziewczyna straciła kontrolę, wyciągnęła ręce i objęła przyjaciela. W oczach miała łzy.

Stojący obok Gwiazdka oparł dłoń o ramię dziewczyny.

— Zapomnij o nim. Twój przyjaciel odszedł, to tylko ciało, pozbawione rozumu i jakichkolwiek uczuć. Bez wspomnień, ożywiona skorupa, bezwartościowy gówniak.

Czarnowłosa czekała wtulona w przyjaciela. Szukała ciepła, dotyku, jakiegokolwiek gestu zaprzeczającego słowom Gwiazdki. Jednak z każdą mijającą sekundą Cigarette traciła nadzieję. Naiwna radość przeistoczyła się w ból. Chłód ciała Vocala przywracał umysł dziewczyny do rzeczywistości.

W końcu Cigarette dała za wygraną, wypuściła przyjaciela z objęcia i wykonała krok do tyłu.

— Na razie zrobimy przerwę. Jak będziesz gotowa, przejdziemy do podstaw dowodzenia.

Czarnowłosa minęła Gwiazdkę i bez słowa opuściła magazyn.

* * *

Pokonanie zaledwie tych kilku palców na mapie dzielących Alrixa oraz Delektiwe od fabryki okazało się znacznie trudniejsze niż w przypuszczeniach kochanków. Pogoda sprzyjała, wręcz zachęcała do długich wędrówek, jednak brak doświadczenia oraz kiepska orientacja w terenie, znacznie spowalnia wędrówkę.

Idąca na czele Seksbomba stanęła. Przykłękała na jedno kolano, w oddali widniała fabryka konserw.

— Alrix, spójrz na to.

Kochanek podszedł, ukląkł i podążył wzrokiem za palcem Delektiwy. W dali, wśród siatkowego ogrodzenia fabryki, dostrzegł podłużne punkciki przemieszczające się z miejsca na miejsce.

— Bandyci.
 — Prawdopodobnie Renegaci lub co gorsza Monolit.
 Obcokrajowiec wzruszył ramionami, po czym usiadł.
 — W takim razie musimy zmienić nasze plany.
 — Niekoniecznie. Powinniśmy sprawdzić kim są i dowiedzieć się czy wiedzą coś o Cigarette bądź Vocalu.
 — Mądra jesteś.
 Delektiwe posłała wiosenny uśmiech kochankowi.
 — Jednak nie podejmiemy do nich i nie przywitamy się jak ze starymi, dobrymi kumplami.
 Kochanka usiadła obok Alrixa ściskając w dłoni skradziony kofan.
 — Widziałeś jak go używa? Wypowiada jakieś zaklęcie, czy wykonuje specjalny gest? Coś w stylu abrakadabra z Tolkiena? — dokończyła Delektiwe wręczając kamień Alrixowi.
 — Widziałem mniej od ciebie, leżałem w błocie, w myślach żegnałem się z tobą.
 Obcokrajowiec ścisnął kamień, po czym wykonał kilka krzywych w powietrzu.
 Wzruszył ramionami, oddając naszyjnik dziewczynie.
 — Nie działa.
 — Słodki jesteś. — Delektiwe pocałowała Alrixa w policzek. — Jak zobaczą kobietę, idącą samą, najlepiej taką idiotkę co se buta nie potrafi zawiązać, to pomyślą, zanim zaczną strzelać.
 Obcokrajowiec zerwał źdźbło trawy i włożył do ust niczym papierosa.
 — Mężczyźni w takich chwilach nie myślą. Tylko szykują broń — zażartował Alrix.
 — Słyszałam, że istnieją tacy, co używają do tego głowy — zaśmiała się Delektiwa.
 — Ci już dawno wyginęli z dinozaurami.
 — Tak na poważnie. Co o tym myślisz?
 Obcokrajowiec zrobił z palców pistolet, wycelował w oddane ludziki, po czym pociągnął za spust.
 — Zastrzelę ich nim zdążą wycelować. Zresztą to będzie dziecinnie proste. Zobaczysz, to na pewno to nie będzie konieczne.
 — A jak na straży będą kobiety, co wtedy zrobisz?
 Obcokrajowiec podrapał się dłuższą chwilę pod kolanem.
 — Przestań, inaczej nigdy nie przestaniesz śwędzić.
 — Ktokolwiek by to był to i tak będziesz bezpieczna słoneczko. Gwarantuję ci to.

* * *

Puste, pozbawione życia oczy patrzyły w pustkę. Mimo braku czucia Vocala przeszywały lodowe szpile. Umarły wstydził się tego, co zrobił, jak postąpił z przyjaciółką. Pragnął powiedzieć Cigarette, że pamięta kim jest, pamięta plany i jeszcze więcej innych ważnych oraz nieistotnych rzeczy. Jednak nie zrobił tego, Ritsu na samym początku wybił mu to z głowy. Miał się nie wychylać, udawać zwykłego zombie, oraz uczyć się jak najwięcej. Opanowywać umiejętności. Dopiero wtedy podjąć szersze działania.

Ziemia do Vocala — wysłał psioniczną wiadomość Ritsu. — *Pamiętasz plan.*

Tak. Strugać debila, jednocześnie dowodząc zombie tak, by polepszyć wyniki pracy.

Doskonale. Pamiętaj tylko abyś nie przeholował i zbytnio nie ułatwiał pracy dziewczynie.

Vocal przytaknął. Przybrał głupią minę i czekał. Po pięciu minutach do magazynu wróciła Cigarette wraz z Gwiazdką. Dziewczyna wyglądała inaczej. Mimo chwiejnej postawy spowodowanej raną, zyskała twardość, siłę człowieka pogodzonego z stratą. Gwiazdka zaś wyglądał jeszcze brudniej niż wcześniej, co w oczach umarłego należało do nie lada osiągnięcia.

— Na początek przydzielę ci dziesięciu gówniaków. Zabierzesz ich i nauczysz kopać groby. Wszystkie polecenia musisz wydawać stanowczo, wyraźnie i dokładnie, jak do półgłówków, a może nawet gorzej.

Wyatuowany mężczyzna wybrał dziesięcioro nieumarłych, w tym Vocala, których po kolei, za rączkę, wyprowadził przed szereg.

— To najlepszy sposób na wybranie konkretnych osobników. Numery i imiona nie działają. Jedynie podział na grupy pozwala jako tako dowodzić gówniakami osobno.

Gwiazdka stanął na przeciwko wybranym umarłym, tak aby każdy dobrze go widział.

— Idziecie za mną, jeden po drugim zaczynając od lewej. Zachowujecie odpowiedni odstęp — rzekł mężczyzna powoli i wyraźnie. Następnie otworzył bramę. — Ritsu pilnuj reszty by nie polazła za nami.

* * *

Zimny ucisk na czole, klejące się oczy, walczące o każdą chwilę ciemności. Zakotwiczenie świadomości pomiędzy jawą a snem. Ból w piersi, stawach oraz krzyżu. Sztywność karku i mięśni. Starość przypomniła Galionowi o istnieniu na tym świecie. Marynarz otworzył oczy, po czym natychmiast zamknął. Światło przeciskające się przez szpary za mocno oddziaływało na siatkówkę starca. Galion niechętnie usiadł, pozwalając by ból głowy oraz kości otrzeźwił umysł.

Zgnilizna uderzyła w nozdrza starego marynarza. Ostatnie kawałki drewna tliły się w kościanym kręgu wydzielając szare smugi. Obok leżało kilka podziurawionych konserw pozbawionych zawartości, przy których spała Rubby. Przestępczyni miała jakiś napis na czole, jednak Galion znajdował się za daleko aby go odczytać. Natomiast nie było żadnego śladu po Artrixie i Delektiwie.

— Gdzie do diaska się podziiali — wymamrotał marynarz wstając na nogi. Świat zawirował. Jednak Galion przyzwyczajony do życia na morzu i sporej ilości alkoholu raz dwa poradził sobie z problemem.

Marynarz podszedł do Rubby. Przeczytał soczyste "kurwa" na czole przestępczyni. Pochylił się i sięgnął po termos. Przyłożył naczynie do nosa. Pachniało zwykłą herbatą. Spróbował. Natychmiast wypluł zawartość.

— Szlag — zaklął. Marynarz rzucił termos w kąt. Pochylił się nad Rubby, przyłożył dwa palce do szyi badając puls. Poczuł miarowe, mocne tętnięcia. Galion odetchnął z ulgą - Rubby żyła, teraz wystarczyło ją tylko obudzić. Tylko jak?

Marynarz przeszukał kieszenie płaszcza, jednak nie znalazł manierki. *Pewnie wypadła mi, gdy tamto szkaradztwo pozbawiło mnie przytomności* — pomyślał marynarz rozglądając się za innym płynem. W końcu, obok pustego postania znalazł puszkę wypełnioną deszczówką. Chwycił pojemnik, po czym wylał odrobinę na twarz Rubby.

Dziewczyna drgnęła. Starła ręką wodę, po czym otworzyła oczy.

— Galion. Witaj... Czemu mnie nie obudzili, kiedy odzyskałeś przytomność? — wymamrotała przestępczyni trąc twarz rękoma.

Marynarz dał chwilę przewodnicze na obudzenie. Nawet podał puszkę z wodą, gdy Rubby szukała czegoś do picia.

— Gdzie jest Alrix i Delektive? — zapytała rozglądając się wokół. Przestępczyni nagle zamarła. Oczy Rubby zaczęły się poruszać, z zawrotną prędkością, w prawo i w lewo. Jakby chciały jednocześnie ogarnąć dwa kierunki. W końcu zamarły, a przewodniczka drżącą ręką sięgnęła do szyji.

— Uśpili mnie za pomocą herbaty, a potem ukradli kofan. Na szczęście nie zdążyłam go naładować, więc są w miarę bezpieczni.

Rubby odczytała z oczu marynarza, że w pełni zgadza się z jej przemyśleniami.

— Najważniejsze pytanie, dlaczego to zrobili?

Galion wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Zostawili ci pamiątkę — rzekł marynarz wskazując czoło Rubby.

Przestępczyni dotknęła ręką czoła, bardziej rozmazując napis niż się go pozbywając. Spojrzała na swój brzuch, zaklęła. Ściągnęła koszulkę. Przed oczami Galiona zajaśniał biustonosz dziewczyny oraz płaski, umięśniony brzuch z wielki napisem "CIPA" wraz z strzałką prowadzącą ku podbrzuszu.

Marynarz uśmiechnął się szerzej.

— Bardzo śmieszne. Jakby mogło się tam znajdować coś innego. Podasz jakąś szmatę?

Galion rozejrzał się i wzruszył ramionami.

— Nie ma żadnej.

Rubby westchnęła. Sięgnęła po koszulkę, namoczyła róg w wodzie, po czym energicznie wytarła szminkę z brzucha oraz czoła.

— Nie śmiej się. Dorwę to dziecko i z dupy nogi powyrywam — rzekła Rubby uśmiechając się do Galiona, po czym sama parsknęła śmiechem. — Że też niczego głupszego nie potrafiła wymyślić.

— A jeśli to Alrix? — rzekł marynarz także parskając śmiechem.

— Prędzej uwierz, że Celestia zrezygnowała z deseru niż to on.

Marynarz przestał chichotać i spojrzał pytająco na Rubby.

— Nieważne — rzekła przestępczyni ubierając koszulkę. — Pytanie dokąd oni teraz poszli.

Galion wyprostował plecy. Podeszedł do dziury w stodole i spojrzał w dal. Słońce górowało na zenicie, mocno przypiekając.

— Zakładając, że ruszyli od razu kiedy cię uśpili, to są trzydzieści, pięćdziesiąt kilometrów od nas. Jednak nic nam to nie daje. Naprawdę ten Kofan jest aż tyle warty?

— Tak, na tym świecie nie ma drugiego takiego. Poza tym przyzwyczaiłam się do niego.

— Kobiety — mruknął Galion pod nosem. — Twój pupil teraz by się przydał jak nic. Inaczej niż po zapachu nie widzę jakbyśmy mieli ich wytropić.

Rubby stanęła obok Galiona. Rzeczywiście nie było żadnych śladów pomagających określić kierunek, w którym udali się Delektive oraz Alrix. Jednak przestępczyni wpadła na inny pomysł wytropienia złodziejasków.

— Możemy spróbować namierzyć Kofan. W końcu na nim zależy mi najbardziej. Cokolwiek postanowimy i tak musimy wpierv udać się do mojego domu po Harmidra lub sprzęt.

— Alrix i nasza przyjaźń z innego czasu? To już straciło dla ciebie znaczenie?

Przestępczyni przygryzła końcówkę języka. Stary marynarz miał rację. Wszakże wszystko zaczęło się od tego. Przyjaźni z innego świata oraz wymiaru, miejsca, gdzie połączył całą piątkę wspólny cel. Ocalenie świata, zadanie, które zawalili na całej linii. W tamtym wymiarze Rubby zyskała przekleństwo wiecznej, doskonałej pamięci silniejsze od śmierci. To właśnie przez dawne wspomnienia rozpatrzyła ofertę kochanków i przystała na nią. Zaprzyjaźniła się z Galionem z nowego życia i opowiedziała o starym.

— Znaczy... Jednak możliwe, że Alrix z tego świata nie chce się z nami przyjaźnić i woli Delektiwe.

Nagle Rubby mocno przytuliła Galiona.

— Nie wiesz, jak się cieszę, że żyjesz. Jak oberwałeś od tamtego mutanta to myślałam, że już po tobie.

— Nie oberwałem — marynarz uśmiechnął się szelmowsko do przyjaciółki. — Jestem za stary by tak łatwo dać się zabić. Wykorzystałem pneumatkę, by w ostatniej chwili wylecieć poza zasięg tego obrzydlistwa.

— Naprawdę? Muszę zapamiętać ten patent na przyszłość — rzekła przestępczyni odwzajemniając uśmiech.

* * *

Strefa od zawsze fascynowała Kędziora. Artefakty, znaleziska łamiące wszelkie dotychczasowe prawa fizyki, anomalie wymykające się poza ludzkie rozumowanie. Cuda pozwalające zbić majątek i ustawić się do końca życia. Mutanty, radioaktywne monstra z nadprzyrodzonymi zdolnościami stanowiły raj dla naukowców, chcących zapisać się na kartach historii. Eden pełny kolczastych róż, żądających krwi za drogocenne kwiaty.

Biznesmen uważał się za jednego z najlepszych ogrodników Strefy, zdolnego ogarnąć cały ogród.

Kędzior dopił kawę, piątą tego dnia. W rękach trzymał notatnik wypełniony nowymi pomysłami. Przed oczami miał stare pogorzelisko znajdujące się nieopodal fabryki przerobione na strzelnicę specjalnie dostosowaną dla umarłych. W dole siedziało dziesięcioro dowodzonych przez Steryda zombiaków wyposażonych w kałasznikowy.

— Podnieść broń! Cell! Pall!

Rozległ się nierównomierny chuk. Grad kul przeszył powietrze i wylądował na tekturowych celach. Ludzie sylwetki zostały trafione w nogi, ręce oraz tułów. Kilka pocisków spudłowało, kończąc żywot na wale piachu. Tylko jeden trafił idealnie w środek głowy.

Celność jak zwykle stanowiła spore wyzwanie.

Steryd zasalutował biznesmenowi, rozkazał umarlakom odłożyć broń, po czym podszedł do Kędziora.

— Sefie, potsebijesz cegoś?

Biznesmen miał ochotę dzielić mięśniaka po łbie, od tak, jako darmową lekcję prawidłowej wymowy.

— Wszystko gra. Przyszedłem zobaczyć jak idzie szkolenie — rzekł Kędzior, jednak po chwili zastanowienia dodał. — Przyrowadź mi tu jednego, najbardziej ludzkiego.

Steryd bez słowa wykonał polecenie, podszedł do trzeciego zombiaka od prawej, po czym wypchnął umarlaka przed szereg. Trup z obgryzioną do kości nogą w hawajskich spodenkach upadł bezwładnie na ziemię. Podniósł się z trudem, po czym zaczął tępo patrzeć na mięśniaka, który znowu go popchnął w kierunku szefa. Cała procedura powtórzyła się jeszcze dwukrotnie nim zombiak stanął przed obliczem Kędziora.

— Na następny raz traktuj ich łagodniej, są zbyt cenni, by tracić ich przez opieszałość — skarcił Kędzior Steryda.

— Dobrze szefie.

— Możesz już wracać do roboty, po wszystkim przyprowadzę go z powrotem.

Mięśniak kiwnął głową i wrócił do strzelców. Kędzior zaś podał kubek umarłakowi, po czym kazał zombi iść za sobą.

* * *

Pomieszczenie do którego Kędzior zaprowadził umarłego znajdowało się w piwnicznej części fabryki, w miejscu dawnego przechowywania półfabrykatów potrzebnych do produkcji. Ściany pokrywała biała farba, na której widniały ślady zaschłej krwi. W powietrzu unosił się aromat kawy zmieszanej ze stęchlizną starych podszew. Na środku stał stalowy stół wraz z przypiętym zombie, który grzecznie czekał na kolejne etapy "operacji" mającej na celu dogłębne zbadanie fizjologii zombie. Obok stał drugi stolik wraz z narzędziami chirurgicznymi, czajnikiem elektrycznym i pojemnikiem z kawą.

Zauważywszy pobratymca przypięty umarły wydał cichy pomruk, na co idący za Kędziorem odpowiedział czymś na kształt kasznięcia.

— Stój tu — biznesmen rozkazał umarłemu, samemu zaś zajrzał do czajnika i z zadowoleniem stwierdził, że jest pełny. Postawił kubek na stole i wsypał do środka łyżkę czarnego złota.

— Pora się wziąć do roboty, mój drogi kolego — rzekł biznesmen zakładając lateksowe rękawiczki. — Na początek postrzel się w stopę.

Umarły z karabinem odwrócił głowę do Kędziora i zamarł bez ruchu, jakby został trafiony zamrażającym promieniem. Biznesmen kiwnął głową, po czym odhaczył jeden z punktów dzisiejszych badań.

— Dobrze, w takim razie... Wyceluj bronią w stopę.

Zombiak przez chwilę przetwarzał informację, po czym wymierzył bronią w własną stopę.

— Pociągnij za spust.

Rozległ się huk wystrzału, kilka odłamków poleciało w powietrze. Umarły nawet nie drgnął, celując nadal w stopę.

— Żadnych reakcji samozachowawczych.... Ehe.. Ehe.. — zakaszłał Kędzior. Biznesmen wyciągnął chusteczkę z kieszeni i wypłuł krwawą plwocinę.

Kolejne standardowe badania dawały identyczne rezultaty jak w przypadku reszty populacji. Brak odczuwania bólu, jakiegokolwiek głębszego rozumienia. Szybkość reakcji ślimaka, zerowe zainteresowanie otoczeniem oraz bezwzględna posłuszość.

— Dobrze w takim razie pora przejść do ciekawszych doświadczeń — rzekł Kędzior sięgając po skalpel. Podeszedł do umarłego i bezceremoniarnie przebił błonę bębenkową i strzaskał kostki słuchowe. Następnie zrobił to samo z drugim uchem. Pozbawiając umarłego słuchu.

Kędzior oddalił się kilka kroków od zombie.

— Podejdź do mnie — zawołał.

Wakacyjnie ubrany umarły podniósł łeb i podeszedł do biznesmena jakby doskonale słyszał polecenie.

Kędzior, samozwańczy naukowiec, przytaknął z uznaniem. Sięgnął po notatki i zapisał wyniki badania. *Czyżby, potrafią czytać z ust, a może dźwięk nie ma żadnego*

znaczenia? Biznesmen postanowił później dokładniej zbadać tą zależność. Nadeszła pora przeprowadzić najważniejsze badanie jakie zaplanował na dzisiejszy dzień. Z księgi jednorożca odszyfrował istnienie chorób potrafiących zmieniać istoty w drzewa, powodujących niebieski katar, oraz ograniczających magiczny potencjał jednorożców. Wniosek nasuwał się jeden, ożywienie zwłok może być chorobą wywoływaną przez endemicznego mikroba żyjącej w glebie wokół fabryki. Co prawda Kędzior już raz sprawdzał tą hipotezę i szybko ją obalił wstrzykując antybiotyki umarlakowi. Jednak patogen mógł pochodzić z wymiaru jednorożca i być odporny na ludzkie leki. Tej możliwości Kędzior wcześniej nie badał. Istniał wszakże podstawowy problem. Jak zdobyć leki z innego wymiaru? Wiedza ta była poza zasięgiem biznesmena. Dlatego postanowił zadziałać inaczej. Poszukać innowymiarowego patogenu pod mikroskopem.

Kędzior wypił ostatni łyk kawy, sięgnął po skalpel i wyciął kawałek skóry z leżącego umarłego. Następnie wziął całość do drugiego pomieszczenia, przygotował próbkę, po czym włożył ją pod mikroskop.

Komórki umarłego wyglądały normalnie jak na zombiaka, pozbawione wszelkich funkcji życiowych, pozostawały martwe. Budowę miały identyczną jak ludzkie, organiki, mitochondria oraz jądra znajdowały się we właściwym miejscu. Jedynie cytoplazma wyglądała nieco inaczej mając ciemniejszy odcień od prawidłowego. Tymczasem, mimo praktycznie braku różnic, ta komórka była kluczem do nieśmiertelności.

Biznesmen mocniej przybliżył obraz, zwiększył ostrość, poprawił okular, przejrzał cytoplazmę w poszukiwaniu patogenów.

Nie znalazł niczego.

Biznesmen zaklął, zamierzył się na mikroskop i miał już go zrzucić z stołu, jednak się powstrzymał. Ostatnim razem nie zrobił tego i musiał działać bez sprzętu przez następny miesiąc. Jednak jedna negatywna próba nie świadczyła o braku wirusa. Kędzior musiał mieć pewność.

Biznesmen odłożył szkiełko z kawałkiem skóry na bok. Wrócił do pomieszczenia z umarlakami. Sięgnął po skalpel i chciał pobrać próbkę z innego miejsca, gdy zauważył dziwną rzecz. Wakacyjny zombiak celował karabinem w lewą stopę zamiast prawej, w której widniała dziura po kuli.

— Ciekawe — powiedział biznesmen, po czym postanowił coś sprawdzić. — Unieś broń! Wyceluj w stopę!

Umarły podniósł karabin, po czym ponownie wycelował w lewą stopę.

Nic istotnego — pomyślał biznesmen, lecz wtedy zauważył kolejny szczegół. Zombie stał w rozkroku i prawa stopa była dalej od osi tułowia.

— Baczność! Unieś karabin! Wyceluj w stopę!

Żywy trup wyrównał stopy, uniósł broń i wycelował w prawego buta.

Czyżby to umarły dokonał świadomego wyboru, w którą stopę wymierzyć, a może to tylko czysty przypadek? Jeśli dokonał tego świadomie to dlaczego mają taką małą autonomię? Czy może coś lub ktoś blokuje ich świadomość? — kotłowały się myśli w głowie Kędziora.

Pseudonaukowiec postanowił przeprowadzić kolejny test. Ustawił drugiego zombiaka przy stole, obok stóp sekcjonowanego nieumarłego. Następnie wydał sekwencje rozkazów.

Wakacyjnie ubrany trup wycelował w stopę przyjaciela.

Kopanie grobów było zajęciem znacznie bardziej stresującym, niż Cigarette kiedykolwiek przypuszczała. Oczywiście czarnowłosa osobiście nie trzymała szpadla i ręce miała czyste. Jednak w pewnych momencie chętnie sama wykonałaby robotę, niż próbowała nauczyć tego umarłych.

Trupy stały w szeregu, każdy z łopatą przy boku, czekały na rozkazy. Gwiazdka obserwował całość z boku. Dziewczyna czuła na tyłku lubieżny wzrok mężczyzny. Na razie musiała się pogodzić z tym faktem. W końcu zarobienie tak dużej kasy w tak krótkim czasie, nie było czymś, co zdarza się na co dzień.

— Chwycić szpadle! Wbić w ziemię! Wyciągnąć! — krzyknęła Cigarette.

Umarli unieśli narzędzia, wbili w ziemię i wyciągnęli, ale pod identycznym kątem, co zostawiło wąskie szramy o podłużnym kształcie.

Cigarette rzuciła znaczące spojrzenie łysolowi, który w odpowiedzi wzruszył ramionami.

— Dzięki, jesteś naprawdę wspaniałym mistrzem, lepszego jedynie wśród meneli szukać — wymruczała czarnowłosa pod nosem.

Cigarette przeszła przed szeregiem umarłych. Bok rwał niemiłosiernie, jednak dziewczyna wolała paść trupem, niż dać satysfakcję Gwiazdce i się poddać.

— Chwycić szpadle! Unieść! Wbić w ziemię! Przechylić! Unieść wraz z ziemią!

Zombiaki po kolei wykonały rozkazy Cigarette. Jednak tylko część z nich uniosła szpadle z ziemią, co było pierwszym krokiem do wykopania grobów.

Jak tak dalej pójdzie, to nigdy tego nie zrobię. Prędkiej Alrix i Delektive przyjdą mi na pomoc i wykopią te doły, niż nauczę tego zombiaki — pomyślała, stojąc naprzeciwko Vocala.

Wybacz.

Cigarette potrząsnęła głową. Czyżby usłyszała przyjaciela? Czy to zmęczony umysł płała jej figle? Dziewczyna spojrzała na Vocala, prosto w oczy. Umarły odwzajemnił spojrzenie. W oczach umarłego dostrzegła inteligencję, żal, tak bardzo podobną do żywego przyjaciela, jak tylko się dało.

— Jesteś tylko powłoką! Zwyczajną kopią, nie udawaj mi Vocala, jasne?! — Cigarette pchnęła Vocala na ziemię. — Ty przekłety gówniaku, przestań się na mnie gapić! — krzyknęła, po czym odwróciła wzrok. — Jeszcze raz! Parszywe czorty z piekła rodem! Łopaty w dłoń. Wszyscy bez wyjątku. Wbić w ziemię i wyciągnąć razem z nią. Raz-dwa! Raz-dwa! Raz-dwa!

Umarli chwycili narzędzia, wbili łopaty w ziemię, po czym wysypali glebę na bok.

— Powtarzamy, puste łby! Wbić w ziemię i wyciągnąć...

Clap... Clap... Clap...

Cigarette odwróciła się do Gwiazdki, który spokojnie klaskał w dłonie.

— Dobrze, trzymaj tak dalej. Gówniaki muszą wiedzieć, kto tu rządzi. Pora na przerwę, śliczna dupcio.

Nabuzowana dziewczyna najchętniej poszłaby do łysola i wymierzyła soczysty uderzenie w krocze, jednak powstrzymała się. Kto wie, jakby zareagował taki świr jak Gwiazdka. Lepiej nie prowokować napalonej świni.

Czarnowłosa piękność podeszła do łysola.

— Muszę skorzystać ze stacji radiowej, powiedzieć chłopakowi, żeby się o mnie nie martwił — skłamała Cigarette, ukrywając przesłanki przed Gwiazdką.

Twarz wytatuowanego mężczyzny zmieniła się diametralnie. Usta walczyły między wymuszonym uśmiechem a rozczarowaniem. Entuzjazm oraz hardość ducha zniknęły zastąpione przez zawód walczący ze smutkiem o pierwszeństwo. W końcu, z dużym wysiłkiem woli, Gwiazdka zapanował nad emocjami.

— Dobrze, zaprowadzę cię.

On naprawdę na coś liczył — pomyślała Cigarette, idąc za wytatuowanym mężczyzną.

Przeszli tak zaledwie kilka metrów, gdy przed oblicze Gwiazdki zatrzymał się nieznany dziewczynie najemnik.

— Widziałeś Kędziora? Mamy gości.

* * *

Delektive przeciągnęła ręką wzdłuż piersi eksponując posiadane walory. Przed ponętą dwudziestokilkulatką stała brama, prosta, ręcznie odsuwana, wykonana z drucianej siatki. Obok konstrukcji znajdowała się drewniana budka z rodzajów tych, co nie przetrwa bezpośredniej serii z kałasznikowa. W środku stał młody strażnik, obserwujący seksbombę i czekający na przyjaciela. Mimo starań Delektive, zachował profesjonalizm.

— Proszę być spokojnym. Za chwilę ktoś do pani przyjdzie.

Kochanka Alrixa kątem oka obserwowała karabin strażnika, co prawda nie została zastrzelona i aktualnie była w miarę bezpieczna, jednak wolałby być bliżej żołnierza, aby w razie potrzeby móc go rozbroić. Zawsze lepiej posiadać swój los we własnych rękach niż cudzych.

Dziewczyna skrzyżowała ręce, pochyliła głowę i zaczęła lekko drżeć.

— Silny mamy dzisiaj wiatr, panie sierżancie — rzekła i niby przypadkiem zahaczyła palcami o dekolt.

— Jestem szeregowym.

Seksbomba chciała tupnąć nogą w ziemię jak małą dziewczynka. Jakoś akurat w tym momencie, na samym zadupiu świata, musiał znaleźć się idiota odporny na jej wdzięki. Na całej okrągłej ziemi pech sprzymierzył się przeciwko Delektive

Dziewczyna zauważyła ruch. Po przeciwnej stronie bramy szedł mężczyzna wraz z kobietą o czarnych, długich włosach. Kochanka Alrixa natychmiast zaczęła ich pożądać. Mężczyzna posiadał na głowie tatuaż pięcioramiennej gwiazdy. Ubrany w brudny podkoszulek oraz dresowe spodnie wyglądał jak stereotypowy bezrobotny chlejący piwko przed telewizorem. Natomiast idąca obok dziewczyna, o czarnych włosach i łagodnej twarzy, bardzo Delektive kogoś przypominała.

— Cindy?

Czarnowłosa przyspieszyła kroku, po czym stanęła naprzeciwko seksbomby.

— Delektive?

— Żyjesz.

— Jak widać.

— Co z Vocalem? Też tutaj jest?

Czarnowłosa zamilkła, zgarbiła się na chwilę, po czym uniosła głowę i odgarnęła włosy.

— Nie żyje.

Delektive posmutniała. Cała wcześniejsza poza znikła w jednym momencie. Lubiła niedoszłego radiowca, chcącego założyć własną stację. Patrzącego na innych z uśmiechem

oraz posiadającego krztę dziecięcej radości, którą sama dawno utraciła. Za to, że widział w niej kogoś więcej niż seksowną dupę z wielkimi cyckami. Może poza jednym, jedynym razem, który był jej winą.

— Jak zginął? — zapytała.

— Podczas drogi napadli nas bandyci. Wzięli nas z zaskoczenia. Byliśmy pod silnym ostrzałem i do tego w złym miejscu. Na dodatek miałam pecha i zostałam postrzelona. Trafiliśmy także na ognistą anomalię, która niestety eksplodowała. Spaliła bandytów. Pewnie i ja bym spłonęła, gdyby Vocal nie wypchnął mnie w ostatnich chwilach poza płomień. Sam nie zdążył uciec...

— Szkoda chłopaka — przerwał Gwiazdka, który do tej pory powstrzymywał podwładnych od działania. — Jak rozumiem dobrze się znacie. Jesteś sama?

Delektive z całych sił powstrzymywała odruch spojrzenia w bok, w miejsce, gdzie czekał Alrix z karabinem, gotowy w każdej chwili zaatakować najemników.

— Jestem sama — odpowiedziała, po zbyt długiej chwili milczenia.

Gwiazdka skinął na żołnierza stacjonującego w dobudówce.

— W takim razie witaj w stadzie, cycata lalo. Na początek przedstawię cię naszemu szefowi.

Brama stanęła przed Delektive otworem.

* * *

Leżący niespełna sto metrów dalej mężczyzna usilnie drapał się po łydce. Leżał w wysokiej trawie, czekając chodźby na odrobinę wiatru. Nasłuchiwał rozmowy kochanki z żołnierzami, z której słyszał jedynie urywki zdań. Obserwując całość, myślał nad możliwościami rozwoju wydarzeń. Ruchami żołnierzy, najemników, czy Bóg tam wie kogo, mogącymi zagrozić Delektive. Scenariuszami, w których bohaterko morduje zastępy wrogów by uratować kochankę. Strzela w głowę jednemu, pakując kulę w brzuch drugiemu, po czym serią ścina kolejnych pięciu biegnących na pomoc poprzedniej dwójce. Wszystko po to, by ujrzeć zachwyt na twarzy kochanki, usłyszeć słowa — mój bohaterze — z ponętnych ust Delektive.

Oczywiście obcokrajowiec wiedział, że marzy o wygranej w totka, jednak bajania były zbyt słodkie, by je od tak odrzucić.

Alrix z całych sił przeciągnął paznokciami po łydce. Jednak swędzenie jedynie się wzmogło. Obcokrajowiec zaklął w duchu i spojrzał na nogę.

Omali nie dostał zawału.

Na środku mięśnia lewej nogi Alrixa widniała pomarańczowa kula wielkości piłki pingpongowej z czarnymi odnóżami zakończonymi pazurkami, wystającymi wokół. Obcokrajowiec musnął palcem pasożyta, który natychmiast odpowiedział gwałtownym ruchem odnoży.

— Cholera, kleszcz — zaklął pod nosem.

Kochanek w pierwszym odruchu chciał natychmiast wyrwać pajęczaka jednak zacisnął zęby i wrócił do obserwacji wydarzeń przed bramą.

Minuty wlokły się niczym roztopiony mosiądz, swędzenie nie ustawało, natomiast w głowie obcokrajowca powoli narastał lęk. W myślach widział dziesiątki komunikatów wyświetlanych w telewizji dotyczących boreliozy, odkleszczowego zapalenia mózgu oraz pozostałych świństw. Jednak wszystkie dotyczyły zwykłych kleszczy, nie zmutowanych przez promieniowanie, artefakty oraz pozostałe dziwactwa Strefy.

To tylko zwykły kleszcz, nic więcej, każdemu się zdarza. Może tylko mi się przewidziało i jest o wiele mniejszy niż się zdaje — myślał Alrix, obserwując rozmowę między Delektiwe, a postacią zza bramy. Jednak swędzenie oraz świadomość, gdzie aktualnie się znajdował, szybko pozbawiły obcokrajowca złudzeń.

Alrix odetchnął z ulgą, gdy kochanka weszła do środka kompleksu. W końcu zrobił wszystko, co mógł i reszta leżała w umiejętnościach Delektiwe. Obcokrajowiec skrył się po drugiej stronie pagórka. Rzucił broń na bok i ponownie spojrzał na pajęczaka.

Pasożyt śmiał zostać na miejscu, jednak był mniejszy niż wcześniej zdawało się Alrixowi. Niedużo, ale jednak. Obcokrajowiec przez chwilę myślał, że pajęczak zamiast wysysać krew coś do niej wstrzykuje. Jednak szybko pozbył się tej myśli, zwalając zmianę wielkości kleszcza na niedopatrzenie oraz stres. Aktualnie stało przed nim najważniejsze pytanie. Jak pozbyć się pasożyta. Alrixa korciło sięgnięcie po nóż i przebicie "purchawki", po czym wyrwanie martwych pozostałości z nogi. Jednak pamiętał z telewizji, że to najgorsze co można zrobić. Opiekunka z sierocińca Alrixa używała w tym celu zapalki, ale obcokrajowiec miał wątpliwości co do skuteczności tej metody. W końcu kochanek Delektiwe postanowił wyrwać pasożyta gołymi rękami.

Alrix usadowił się w wygodnie, chwycił głowę owada i pociągnął. Kleszcz zaczął wierzgając odnóżami zakończonymi pazurkami. Kilka z nich zadrapało boleśnie skórę obcokrajowca, który odruchowo zabrał dłoń. Pasożyt nie tracił czasu wbił się mocniej, nadrabiając utracone milimetry. Następnie przebił pazurkami skórę, przytwierdzając się do ciała Alrixa.

Kochanek Delektiwy ziewnął. Pomarańczowa kulka rozdzieliła się, po czym rozstroiła, zaczęła też maleć. Alrix wyciągnął dłoń do pasożyta, jednak był zbyt zmęczony aby sięgnąć kleszcza. Zamrugnął powiekami. Rzucił spojrzenie na "purchawkę" i zamknął oczy. Opadł na ziemię tracąc przytomność.

* * *

Najcięższym odruchem do przełamania okazało się oddychanie. Mimo świadomości Vocala i obecnego stanu umarły w chwilach zapomnienia nadal poruszał klatką piersiową. Dla żyjących powszechność, jednak żaden z pozostałych zombie tego nie robił. Na szczęście dla przyjaciela Cigarette mało kto zwracał na takie szczegóły uwagę.

Vocal powstrzymał odruch. Chłopak czekał na powrót Cigarette wraz z Gwiazdką. Umarły stał, gapiąc się wprost na ziemię. Irytowała go konieczność grania idioty. Udawania upośledzonego do granic możliwości istoty, zwłaszcza przed przyjaciółką. Najchętniej skończył by tą farsę tu i teraz. Ujawnił się przyjaciółce i przyjął wszystkie konsekwencje na klatę, jak na prawdziwego mężczyznę przystało. Jednak był jeszcze Ritsu, który twierdził, że on jest wybrańcem. Kimś, kto zjednoczy Strefę i nada autonomię mutantom. Dlaczego właśnie on został wybrany spośród miliarda ludzi zamieszkujących planetę? Tego akurat nie wiedział. Może to jedynie wymysł Ritsu? Ważniejsze, że uczył go posługiwania się psioniką.

— Dobra gówniaki, macie wrócić do magazynu! Raz dwa! — zabrzmiał głos Gwiazdki wybudzając umarłych z potępienia.

Vocal uniósł łeb i spojrzał na brudasa, Cigarette i stojącą obok kobietę. Natomiast w nieznajomej rozpoznał Delektiwe.

Seksbomba przyjęła widok umarłaków nadzwyczaj spokojnie, jakby ujrzała kolejną odsłonę nowoczesnej twórczości mającej szokować ukazaną nagością oraz szczegółami

uznawanymi w dawnych czasach za tabu. Nawet powieka jej nie drgnęła, jak zobaczyła pośród umarłych Vocala.

Umarły natomiast trudno było zachować spokój, zwłaszcza, gdy do pamięci wróciły wspomnienia. Delikatne obrazy błędu popełnionego przed wyprawą. Jednorazowej zbrodni dokonanej przeciwko Alrixowi.

Vocal spuścił wzrok, odwrócił się do towarzyszy, po czym idąc najgorzej jak potrafił poszedł do magazynu. Po drodze kopął grudki ziemi, czując wstyd wobec popełnionego grzechu, jednocześnie pragnąc posunąć się znacznie dalej.

Wkroczył do magazynu. Wrota zamknęły się, oddzielając Vocala od świata i jego problemów.

Wybrańcze, kontynuujemy trening — rozległ się głos Ritsu w głowie umarłego.

Vocal zebrał myśli. Sięgnął do pobliskich zombie, przejmując nad nimi kontrolę. Następnie ustawił umarłaków w wokół siebie, gotowych do walki. Poczł szarpnięcie po lewej. Jeden z umarłych został wyrwany spod panowania i natychmiast zaatakował pana.

Wybraniec posłał psioniczny impuls przeciwnikowi, zaburzając percepcję wroga. Zombi Ritsu spudłował. Kolejny umarły zaatakował. Vocal wykonał unik i rozproszył myśli. Ritsu przejął kolejnych dwóch umarłych, po czym zaatakował nimi Vocala. Przyjaciel Cigarette uniknął pierwszego ciosu, drugiego, lecz trzeci z zombiaków dosięgnął celu i powalił Vocala na ziemię.

Dość — Ritsu przesłał psioniczną falę zatrzymując umarłych w pół ataku. — *Co się z tobą dzieje wybrańcu? Przed świtem nikogo nie tracisz.*

Umarłemu przemknęła myśl o Cigarette i Delektiwie. Wspomnienie przeszłości, dyskusji o planach na tym, co zrobią ze zdobytymi pieniędzmi. Marzeniami, których on nigdy nie spełni.

Zapomnij wybrańcu. Musisz przestać żyć wcześniejszym życiem. Jesteś umarłym i tylko to się obecnie liczy — Vocal usłyszał w głowie głos Ritsu.

Przestań czytać mi w myślach.

W takim razie skup się i nie pozwól mi tego robić.

Vocal wstał. Zagryzł zęby i zapomniał o wszystkim. Liczyło się tylko tu i teraz.

Jednym gwałtownym pociągnięciem przejął władzę nad wszystkimi zombie w magazynie.

Dobrze Vocal... Złość bywa nieocenionym pomocnikiem. Zobaczymy jaką potęgą dysponujesz. Nadszedł czas, abym nauczył cię najpotężniejszej zdolności psionicznej jaka kiedykolwiek powstała na tej planecie. Jej największą wadą jest, że sama w sobie nikogo nie zabija...

* * *

Notatki wychodziły spod ręki Kędziora niczym z drukarki. Biznesmen wpadł na trop. Przełamanie, bądź ślepy zaułek drogi do nieśmiertelności. Badania wykazały kilka ciekawych wniosków — umarli wybierali najbliższą rzecz dotyczącą rozkazu, gdy posiadali jakiegokolwiek możliwości. Zombie odczytywały myśli oraz intencje ludzi. Co wyjaśniało możliwość wykonywania rozkazów z uszkodzonymi podstawowymi zmysłami. Jednakże zasięg odczytywania bodźców jest równy zasięgowi słuchu zdrowego człowieka.

Najciekawszym wnioskiem do jakiego doszedł Kędzior był brak samoświadomości umarłych dotyczących własnego ciała oraz pozycji, względem pozostałych, w jakim się znajdowało.

Biznesmen odłożył kartki. Pod nogami Kędziora leżało gówno, zrobione przez umarłego, którego próbował napoić kawą, smrodzące na całe pomieszczenie.

— Szefie, jesteś tutaj? — biznesmen usłyszał Gwiazdkę idącego schodami do piwnicy. Odwrócił się do drzwi, powodując podmuch wiatru, który zdmuchnął kilka kartek na podłogę.

Kędzior zaklął w duchu, po czym zaczął wyjmować notatki z gówna.

— Czego Gwiazdka?

Wyatuowany mężczyzna wszedł do środka, stając na brzegu śmierdzącej mazi. Jego spojrzenie zatrzymało się na brudnym od kawy kitlu biznesmena.

— Szefie mamy gościa. Jakaś znajoma naszej nowej dupy z Wąchocka. Cycata jak diabli, a na widok tyłka sam staje. Normalnie brać nie umierać, szefie.

— Przede mną nie musisz udawać — rzekł Kędzior decydując się na wyrzucenie upuszczonych notatek do śmieci. — Masz doktorat z matematyki geometrycznej i stać cię na coś lepszego.

— To jak, przyprowadzić dziewczę? Radzę się pospieszyć, bo chłopaki mogą długo przy niej nie wytrzymać.

— Poczekajcie na mnie w służbistym. Muszę zdjąć ten kaftan, zmienić buty. Cholera, to gówno jest wszędzie — rzekł kędzior odkrywając spod kitla brudne nogawki spodni.

— Podobno ludzie wykształceni powinni dawać przykład w towarzystwie — uśmiechnął się Gwiazdka.

— Idź już, dobrze?

— Dobrze szefie, mówię panu, tamta dupa może mieć każdego — rzucił Gwiazdka na pożegnanie.

Kędzior westchnął. Klapnął butem w stertę gówna, w myślach kazał umarłakom nikogo nie wpuszczać, po czym opuścił laboratorium.

* * *

Wchodząc do służbistego Kędzior nadal wyczuwał na ubraniu swąd gówna. Miał nadzieję, że pozostali niczego nie zauważą.

Obok Cigarette ze zmierzwionymi włosami stała prawdziwa seksbomba. Dziewczyna z dużym biustem i głębokim dekoltem, o łagodnym wcięciu w talii oraz kasztanowych włosach. Poślała wiosenny uśmiech do Kędziora, lekko uwydatniając piersi oraz obecny między nimi kamień.

Biznesmen stanął przed kobietami, po czym uklonił się szarmancko.

— Witam drogą panią. Możesz mi mówić Kędzior.

— Delektive — rzekła seksbomba wyciągając dłoń do biznesmena.

Szef najemników podjął dłoń kochanki Alrixa uniósł i pocałował.

— Smakuję jak za dawnych czasów. Piękny kamień, skąd Delcia go ma?

Delektive pociągnęła dłoń, jednak uścisk Kędziora przypominał granitowy blok i dziewczyna nie mogła odzyskać pełnej swobody.

— Dostałam go od chłopaka, jako prezent urodzinowy.

— Jako prezent urodzinowy, powiadasz... — Kędzior przyciągnął Seksbombe do siebie, na tyle blisko, że dziewczyna poczuła słaby odór gówna.

Delektive zadrżała. Ciało Seksbomby pokryło się potem. Spojrzenie spoczęło na oczach mężczyzny, znajomym, bezwzględny wzrok przeszywającym cielesność dziewczyny. Rozbudzającym serce do granic możliwości.

Wolna ręka Kędziora powędrowała wzdłuż rzemienia do czerwonego klejnotu. Biznesmen na chwilę zatrzymał palce w dekolcie Delektiwe, wyczuwając ciarki pod opuszkami. Następnie zacisnął dłoń na Kofanie i pociągnął z całej siły. Naszyjnik pękł i wylądował w dłoni biznesmena.

— Zabrać ją i wsadzić do izolatki. Później pomyślę, co dalej — rzekł Kędzior puszczając rękę Delektiwy.

Seksbomba pobladła. Cigarette osłupiała i nie wiedząc, co dalej począć, patrzyła na biznesmena. Gwiazdka, który do tej pory stał z boku i rozbierał dziewczyny wzrokiem, uśmiechnął się oblesnie. Podszedł do Delektiwy i chwycił seksbombę za nadgarstki.

— Chodź ze mną, obiecuję, że nic ci się nie stanie, chyba, że tego zażadasz.

Delektiwe spojrzała z wyrzutem na osłupiałą Cigarette. Usta seksbomby wołały bezgłośnie pomocy, jednak poza tym dziewczyna nie stawiała żadnego oporu.

Drzwi trzasnęły za Gwiazdką pozostawiając postrzeloną samą z Kędziorem.

— Mam nadzieję, że nie miałaś z tym nic wspólnego — rzekł biznesmen machając naszyjnikiem przed oczami Cigarette. — Polubiłem cię.

— Nie wiem o czym pan mówi. Dlaczego uwięziłeś Delektiwe? — powiedziała Cigarette nadal próbując zrozumieć to, czego przed chwilą była świadkiem.

— Ten klejnot został mi skradziony dwa lata temu przez nieznanego sprawcę. Jest cenniejszym artefaktem niż większość żyjących na tej planecie mogłaby sobie wyobrazić.

— Delektiwe... ona na pewno tego nie zrobiła. Nie byłaby taka głupia, żeby potem przyjść tutaj z tym czymś.

Kędzior zakasłał kilkakrotnie, po czym uniósł bluzkę pokazując Cigarette szwy na brzuchu.

— Twoja znajoma Delektiwe była moją żoną i próbowała mnie zabić. Jak widać z marnym skutkiem. Kto by się spodziewał, że po tylu latach znowu się spotkamy i jeszcze przyniesie mi taki wspaniały prezent.

* * *

Charakterystyczny stukot pazurów po podłodze rozbrzmiał echem w pomieszczeniu. Otwierająca drzwi Rubby Night roześmiała się pod wpływem dźwięku. Przestępczyni przyklękała, przygotowując się na nadchodzący potok śliny i szczęścia.

Owczarek niemiecki o białej skazie na psyku przebiegł po panelach i wylądował w objęciach Rubby.

— Dobry piesek... Bardzo dobry piesek... Harmider przestań, to łaskocze... Bądź grzeczny dla panci — śmiała się przestępczyni głaszcząc psa za uszami. Rubby poklepała owczarka po głowie, po czym wstała. Podeszła do słabo widocznego generatora na ropę. Odnalazła linkę z dyndzlem i pociągnęła. Maszyna ruszyła głośno terkocząc. W powietrzu uniosła się węglowa woń świeżych spalin.

Rubby włączyła światło i gestem zaprosiła Galiona do środka. Marynarz poklepał psa po głowie, po czym pozwolił Harmiderowi obwąchać stopy.

— Przygotuj coś do zjedzenia, ja zajmę się namierzaniem Kofanu — rzekła przestępczyni, zostawiając marynarza samego.

Galion westchnął. Robienie za kuchcika należało do jednych z najgorszych prac na morzu, których podejmowali się jedynie masochiści oraz majtkowie o kiepskiej reputacji. Mimo tego nie sprzeciwił się Rubby wiedząc, że i tak nic by tym nie wskórał.

— Chodź, zobaczymy jakie resztki ma twoja pancia w lodówce — rzekł marynarz do psa, który zamerdał ogonem.

Pierwsze co zauważył marynarz wchodząc do kuchni była sterta brudnych naczyń, na których powstawało nowe życie wydzielające drażniący odorek. Jednak najbardziej dusze Galiona przerażał stół zawalony konserwami, opakowaniami po zupkach błyskawicznych oraz śmieciami godzącymi we wszelkie zasady zdrowego odżywiania. Marynarz obszedł cały bałagan z daleka. Zajrzał do lodówki i natychmiast ją zamknął.

— Masz ci Harmider, znaleźliśmy najczystsze miejsce w kuchni.

Owczarek w odpowiedzi uniósł łeb, posyłając wiele mówiący psi uśmiech.

— Jak ty sobie radzisz z nią w takich warunkach, co? — rzekł Galion drapiąc owczarka za uchem.

Stary marynarz zajrzał do szafek znajdując dwie konserwy rybne i worek spleśniałych ziemniaków. Marynarz znalazł także mały składzik alkoholu, z którego zwędził buteleczkę cytrynówki. W jednej z szafek stał garnek wypełniony szarą, galaretowatą, substancją pyłącą pyłkami przy każdym poruszeniu. Dopiero po kilku minutach rozmyślenia Galion odgadł czym była niegdyś ta potrawa.

Wilk morski sprzątnął stół, położył konserwy na wierzchu, po czym postawił czajnik z wodą na kuchence gazowej. Znalazł zwietrzałą herbatę, wymył kubki oraz widelce. Nawet nie liczył na chleb kiedy do kuchni weszła Rubby z miską psiego żarcia.

Harmider natychmiast przeniósł centrum swego zainteresowania na przestępczynię. Merdając ogonem zaczął chodzić za panią krok w krok.

— Przepraszam Harmidku, zeszło mi znacznie dłużej niż przypuszczałam — rzekła Rubby kładąc miskę na podłodze przed psem — widząc wiele mówiące spojrzenie starego marynarza dodała. — Ma specjalny dozownik z jedzeniem oraz wodą, nie myśl, że jestem jakąś idiotką niepotrafiącą zadbać o swego pupila.

— Ja nic nie mówiłem.

Rubby siadła przy stole, sprawnym ruchem otworzyła konserwę i zaczęła jeść.

— Rozpoczęłam namierzanie kamienia, jak zjemy to pewnie wszystko będzie już gotowe. Jak myślisz, daleko zaszli?

Marynarz zaparzył herbatę, po czym postawił kubki na stole.

— Rubby, nie możesz tak żyć. To zbyt niebezpieczne, nawet dla ciebie.

— A co mam do kurwa nędzy innego zrobić?! Okradłam jednego z najbogadszych i najbardziej wpływowych ludzi na tej planecie kpiąc z kolesia jak z dziecka! Przypadkiem zamordowałam brata prezydenta stanów zjednoczonych, bo znalazł się w niewłaściwym miejscu oraz czasie. Do tego jestem podejrzana o poglądy islamistyczne, sprzyjanie skrajnym socjalistom oraz udział w czystce belgijskiej.

— Uspokój się Rubby, przepraszam, wiem, że ci ciężko.

— Jeszcze jak! — Przestępczyni uderzyła pięścią w stół, rozlewając przy okazji herbatę.

Harmider zaskomlał, zaskoczony hałasem.

Rubby westchnęła.

— Robię wszystko co w mojej mocy. Zresztą sam wiesz. Nie nadaję się na gospodynię domową. Tutaj jestem w jakimś stopniu bezpieczna. Poza tym, jest jeszcze Harmider.

Owczarek słysząc swoje imię podszedł do właścicielki i zrobił błagalne, psie oczy. Dziewczyna przez chwile milcząc patrzyła na konserwe rybne. W końcu uległa i położyła puszkę przed nos pupila.

— Chodź, zobaczmy co z tego wyszło — rzekła Rubby wstając od stołu.

Marynarz wymienił porozumiewawcze spojrzenie z owczarkiem po czym poszedł za przestępczynią.

Miejsce w którym Rubby wykonywała rytuał namierzania naszyjnika znajdowało się na strychu domostwa. Wewnątrz panował przyjemny półmrok oświetlany żarówkami, emitującymi więcej ciepła niż światła. Na podłodze leżała rozłożona mapa Strefy wokół, której narysowano kręgi, linie oraz symbole alchemiczne tworzące misterny wzór. Nad mapą lewitowała srebrna tła, wskazując konkretne miejsce.

— Namiernik — zaśmiał się Galion rozpoznając jeden z popularniejszych artefaktów w Strefie. — Jednak nie ma on czasami za małego zasięgu?

Rubby pochyliła się nad mapą nie przerywając kręgu.

— Zwiększyłam zasięg dzięki alchemicznym runom, co prawda działają znacznie słabiej niż za poprzedniego wymiaru, jednak do naszego celu wystarczy.

Galion milczał. Wielokrotnie próbował poruszać temat Shatimy, Equestrii, poprzedniego życia przestępczyni oraz ich rzekomej znajomości, polowania na potwory i wszystkiego co się z tym wiązało. Jednak odpowiedzi Rubby zazwyczaj pobieżnie poruszały temat rozbudzając ciekawość marynarza zamiast zaspokajać.

— Kofan jest w starej fabryce konserw, będziemy musieli wziąć quada, jeśli chcemy zdążyć dotrzeć tam przed zmierzchem — rzekła przestępczyni wstając od mapy.

— To nie stamtąd go ukradłaś?

— Tak, stamtąd.

Marynarz popatrzył wymownie na przestępczynię.

— Jak ma się coś spieprzyć, to po całości. Nie znasz życia, Galion? Chodź, trzeba wybrać broń i zatankować kanarka.

* * *

— Zastanawiało mnie od zawsze to, dlaczego mi wierzysz? W to, co mówię o Shatimie i reszcie — powiedziała Rubby ustawiając tarcze sejfu w odpowiedniej kolejności. — Większość ludzi uznałaby mnie za wariatkę i wysłała do zakładu psychiatrycznego w trybie natychmiastowym. Natomiast ty nie masz żadnych wątpliwości.

Galion zdjął płachtę z jeepa i rzucił materiał w kąt garażu.

— Na początku znajomości miałem wątpliwości, jednak z czasem mnie przekonałaś.

Przestępczyni otworzyła sejf, wyjęła kamizelkę kuloodporną i podała ją marynarzowi. Następnie sięgnęła po drugą dla siebie.

— Cieszę się, że mi wierzysz.

— To nie takie trudne. Wystarczy trzeźwo spojrzeć na twoją wiedzę, niemożliwą do zdobycia w inny sposób.

— Galion — Rubby na chwilę zawiesiła głos — chciałabym abyś został z Harmiderem.

— Jeszcze aż tak stary nie jestem, bym nadawał się tylko do opieki nad psem.

— A twoja ręka?

Marynarz poruszył lewą dłoń wykonując zamaszyste koło.

— Jest cała i zdrowa — rzekł krzywiąc się z bólu.

Przestępczyni poprawiła sprzączki od kamizelki mocujące granaty błyskowe. Następnie sięgnęła po strzelbę i pas z nabojami, po czym rzuciła broń Galionowi.

— Wielokrotnie pytałeś mnie o Shatime... Co się tam dokładnie stało. Zawaliliśmy na całej linii. Spieprzyliśmy najprostsze zadanie. Zamiast spalić na stosie jeźdźców apokalipsy, kiedy ukrywali się w wiosce nabierając siły, w dwóch wypadkach na cztery popełniliśmy błąd. Wybraliśmy niewinne osoby. Potem było już za późno. Zło uciekło i zapanowało nad światem. My... znaczy się ja, tamtejsza wersja ciebie, Alrixa, Cigarette oraz Vocala chcieliśmy naprawić świat. Zaczęliśmy się bawić w łowców potworów, stworzonych przez jeźdźców. Na początku szło nam dobrze. Nabraliśmy pewności siebie i poszliśmy krok za daleko. Postanowiliśmy zgładzić jednego z nich. Reprezentanta głodu, który opanował ciało mojej dawnej przyjaciółki.

Rubby zatrzasnęła sejf z głośnym hukiem. Następnie przeszła do "kanarka", który był żółtym kładem, w poszukiwaniu uszkodzeń.

— Przeliczyliśmy się. Zastawiona pułapka okazała się nieskuteczna. Pierwszy zginął Vocal, następnie ty. Mnie, Alrixowi i Cigarette udało się uciec. Jednak Alrix tydzień później zmarł z powodu infekcji. Później było już tylko gorzej. Wzajemnie z Cigarette oskarżałyśmy się o niepowodzenie. W końcu nie wytrzymałyśmy i każda z nas poszła w swoją stronę. Oto cała Samhain, reszta jest bez znaczenia — przestępczyni usiadła na kładzie. — Dlatego chcę, żebyś został. Mam dosyć patrzenia na śmierć przyjaciół.

Galion poprawił pas z nabojami, po czym siadł za przestępczynią.

— Za stary jestem na takie pierdoły jak poczucie winy. Jadę z tobą, skoro tamten ja uważał, że warto poświęcić dla nich życie, to obecny nie może być gorszy. Fajnie byłoby w końcu ich poznać. Po za tym jedziemy odzyskać twój kamień, co złego może się stać?

Rubby uśmiechnęła się. Odpaliła kanarka i opuściła posesję. *Właśnie, w końcu co może się złego stać?* — przestępczyni zgodziła się z marynarzem. Ciesząc się, że ma ze sobą najszlachetniejszego człowieka jakiego do tej pory poznała.

* * *

Czerwony klejnot zabłysnął w blasku słońca rzucając świetlne refleksy po całym pomieszczeniu. Dłoń zacisnęła się wokół Kofanu odcinając dostęp światła. Kędzior zamknął oczy sięgając po resztki energii zgromadzone w klejnocie. Błogie ciepło rozeszło się po członkach biznesmena, przypominając mrowienie doznawane podczas picia alkoholu. Po chwili schował kamień do kieszeni i sięgnął po pomarańczowy cylinder z lekiem. Wyjął dwie tabletki, po czym natychmiast połknął.

Drzwi do gabinetu Kędziora otworzyły się.

— Psepraszam za spusnienie, sefie.

Biznesmen westchnął. Szykowało się ciężka rozmowa, na którą nie miał ochoty, jednak wszyscy pozostali byli zajęci, a Gwiazdki wolał nie prosić.

— Mam do ciebie prośbę. Chciałbym, abyś miał na oku naszą małą Cigarette. Pilnował aby nie narozrabiała, przestrzegała reguł oraz całej reszty. Tylko tak, aby o niczym nie wiedziała. Będiesz codziennie wieczorem składał mi raporty o tym, co robiła.

— Wsysco jasne sefie.

— W takim razie możesz odmaszerować — rzekł Kędzior, po czym schował lek do szuflady.

Biznesmen jeszcze przez chwilę siedział w fotelu pozwalając odpłynąć myślom w niebyt. Następnie wstał, wykaszlał płocinę i wyszedł z gabinetu.

Idąc korytarzami fabryki Kędzior ignorował otoczenie. Odprawiał najemników ruchem dłoni. Automatycznie przechodził nad śmieciami, kawałkami szkła oraz tynku. Minął korytarz z szeregiem drzwi prowadzących do sypialnych kwater, po czym skręcił w lewo.

Ściany w tej części fabryki różniły się od reszty. Złuszczona farba puchła od wilgoci. Gdzieś w pęknięciach rósł mech. Dziesiątki srebrnych nici zwisało z sufitu, tworząc iluzję innego magicznego świata. Białe kreski ustępowały pod ruchem powietrza towarzyszącemu spokojnemu kroku Kędziora. Wokół wyczuwało się woń spalenizny, przenikającą do trzewi budynku.

Biznesmen stanął przy drzwiach wykonanych ze stali. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął klucz, następnie przekręcił zamek i wszedł do środka.

Wnętrze było chłodne, wilgotne i pozbawione jakichkolwiek ozdób. Kędzior zamknął drzwi, po czym włączył światło.

Błysk żarówki na sekundę oślepił biznesmena.

Uderzenie nastąpiło z prawej. Kędzior poczuł przeszywający ból na szczęcie oraz tępe klucie. Kolejny cios spadł na brzuch mężczyzny pozbawiając biznesmena tchu. Kędzior zachwiał się i uderzył z sierpowego na osłep.

Trafił.

Delektiwa poleciała na podłogę, skuliła się w kłębek oczekując następnego ciosu, z oczu seksbomby leciały łzy.

— Ładnie tak witać swojego męża?

Kochanka Alrixa podniosła się na nogi.

— Powinieneś od dwunastu lat gnić w grobie, padalcu.

— Czy aby na pewno?

Delektiwa doskonale pamiętała dzień, w którym zabiła męża. Chwilę, kiedy zyskała pełną kontrolę nad życiem. Moment z nożem w dłoni, gdy przebijała brzuch wybranka, krew bulgoczącą z rany, lecz przede wszystkim ulgę.

— Nie miałeś prawa tego przeżyć.

— Pojedyncze dźgnięcie w brzuch to trochę za mało by mieć stuprocentową pewność kochanie, ale nie powiem zaimponowałaś mi tym. Do tej pory ciekawi mnie jak zabiłaś tamtego zawodowca, który miał się ciebie pozbyć. Podobno był najlepszy w swoim fachu, a tu proszę, skończył jako zimny trup na naszym łóżku.

Delektiwa uśmiechnęła się szyderczo do byłego.

— Jemu przynajmniej stawał.

— Ahhh... rozumiem. Jak coś to tamten problem już jest za mną — rzekł Kędzior puszczając oczko do Delektiwy.

Seksbomba spurpurowiała.

— Prędeż dałabym szczerowi niż tobie.

— Szkoda. Wypiękniałaś przez te wszystkie lata.

— Za to ty zestarzałaś się okrutnie. Powiedz mi, nadal masz jakąś piętnastolatkę, którą przymusiłaś do małżeństwa?

— Nie, ty byłaś jedyna. Jednak teraz przyszedłem ponownie zadać ci pytanie skąd masz kamień i tym razem chcę szczerej odpowiedzi.

Delektiwa roztarła rosnący siniak na policzku. Przez chwilę myślała czy kłamać, czy mówić prawdę. W końcu postanowiła powiedzieć prawdę, tylko po to, żeby móc dopiec przestępczyni.

— Ukradłam ją pewnej kobiecie nienawidzącej stalkerów zwanej Rubby Night. Mówi ci coś to imię?

Kędzior przez chwilę wpatrywał się w seksbombę szukając jakichkolwiek oznak kłamstwa, drapania po nosie, mrugania, czy zabawy końcówką ucha. Jednak dłonie Delektiwe pozostawały na miejscu, oczy wraz z powiekami zachowywały się spokojnie.

— Rubby Night... słyszałem o niej. Podobno niezła z niej suka.

— Jeszcze jaka — wtrąciła kochanka Alrixa.

— Hmmmm... co ja mam z tobą zrobić, kochanie? Jak cię wypuszczę to znowu rzucisz się na mnie z nożem — rzekł Kędzior patrząc na Delektiwe, która nie zaprzeczyła. — Karać cię w sumie też nie mam za co. Prawda, mógłbym cię oszpecić w podziękowaniu za nóż w brzuchu, jednak strata dla ludzkości byłaby zbyt duża.

Biznesmen kaszlnął dwukrotnie, wyjął z kieszeni kofan i zaczął się bawić kamieniem w dłoni.

— Trzymać cię wiecznie tutaj też nie mogę. W takim razie wręczę ci prezent. Największy na jaki mnie stać.

Kędzior chwycił Delektiwe za rękę. Wykręcił nadgarstek, po czym wcisnął kamień w dłoń. Seksbomba poczuła mrowienie na całym ciele. Dłoń żony Kędziora piekła boleśnie, jakby trzymała rozgrzaną rurę od odkurzacza włączonego na maksymalną moc. Cały świat zdawał się nie mieć znaczenia. Był tylko kamień, wysysanie oraz ból, wrażenie tracenia czegoś cennego, ulotnego, niemożliwego do odzyskania.

Ciało Delektiwe zaczęło się zmieniać. Jędrna skóra oklapła, pokryła się zmarszczkami. Oczy zmętniały, tracąc charakterystyczny mocny kolor. Pierśi wyschły, opadły, zmarniały do odpychającej imitacji pierwowzoru. Mięśnie zwiotczały, postawa skarłała przyciągnięta siłą bezlitosnej grawitacji.

Przed kędziorem stała dziewięćdziesięcioletnia staruszka o kościstych palcach pokrytych plamami wątrobowymi, twarzą pełną dolin wielkości rowu mariańskiego.

— Coś tym mi zrobił — zaskrzeczała Delektiwe dotykając palcami twarzy. — Byłam taka piękna.

— To twoja przyszłość kochanie. Wiecznie nie będziesz młoda.

Staruszka opuściła dłonie. W oczach Delektiwe załśnił błysk determinacji. Drżące usta uspokoiły się. Babcia uniosła głowę przeszywając Kędziora wzrokiem, z trudem wyprostowała plecy, czemu towarzyszył chrzęst kości. Mimo niższego wzrostu to staruszka górowała nad Kędziorem.

— Nie boję się starości ani śmierci, a ty kochanie? — rzekła Delektiwe chwytając męża za rękę.

Kędzior stracił dłoń staruszki, jakby miał do czynienia z śmierdzącą muchą, która przed chwilą siedziała na krowim gównie.

Niestety gromadzenie młodości w klejnocie pozwalało ją jedynie przechowywać i zwrócić właścicielowi, co czyniło napelniony kofan bezużytecznym w trakcie tego procesu, także uniemożliwiając kradzież lat i życie wieczne. Efektowna możliwość do zastraszania, jednak nic po zatym.

Biznesmen ponownie trzymając kamień chwycił dłoń Delektiwy, oddając seksbombie całą młodość.

— Zmieniłaś się — rzekł Kędzior wychodząc z izolatki.

— A ty ciągle jesteś taki sam.

Delektiwa pożegnała męża z szczerym uśmiechem, jednak rękę dziewczyny drżały.

* * *

Wyrzuty sumienia waliły w umysł Cigarette niczym lawina kamieni spadająca z nieba na głowę. Dziewczyna czuła winę, odpowiedzialność za aktualny stan rzeczy. Śmierć Vocala, spotkanie z żywym ciałem przyjaciela, narażenie Alrixa i Delektiw na niebezpieczeństwo, wpakowanie seksbomby do izolatki. Do tego znalezienie dobrze płatnej pracy, o jakiej nigdy nawet nie marzyła. Rozłam między własnymi potrzebami a powinnością wyniszczały umysł Cigarette.

Czarnowłosa przestała rozdrabniać odłamek tynku w palcach, który oderwała od ściany korytarza. Otrzepała ręce. Gwiazdki nigdzie nie było. Pracy także. W okolicy żadnej żywej duszy, ani trupa.

Cisza, spokój.

Dziewczyna przerzuciła myśli na przyszłość. Jednak jedyne, co osiągnęła Cigarette, to obrazy Delektiw. Możliwości jakimi seksbomba mogła być poddana. Wrywanie paznokci, przypalanie do żywego mięsa. Zakopywanie żywcem, rozczłonkowanie, gwałt, śmierć i ponowne ożywienie. Co prawda Kedzior nie wyglądał na takiego człowieka. Jednak czy aby na pewno? Cigarette знаła biznesmena zaledwie dobę. Zbyt krótko, by móc określić jaki jest naprawdę.

Czarnowłosa miała dosyć. Ruszyła korytarzem ku wyjściu by zaczerpnąć świeżego powietrza. Na zewnątrz przeszła zaledwie kilka kroków pozwalając iść nogom gdzie poniosą, gdy stanęła przed wejściem do magazynów.

— Co mi szkodzi — rzekła Cigarette do siebie wchodząc do środka.

W wnętrzu panował mrok, jednak dziewczyna doskonale pamiętała, gdzie znajduje się przycisk od światła.

— To głupie — rzekła Cigarette włączając światło.

Wataha zombie patrzyła na dziewczynę jak stado psów na kawałek soczystej wołowiny. Tępy wzrok, setki oczu podążały za każdym ruchem Cigarette. Rozdziawione gęby o zgniłym oddechu. Czekwały. Demonstrowały zgniłe pierki zębów, pleśń oraz robale mieszkające w umarłych.

Cigarette stała w miejscu słuchając trzasku świetlówek. Chciała zawrócić. Jednak została i ruszyła w kierunku umarłych. Szukając jednego, konkretnego zombie, którego ciało należało niegdyś do przyjaciela. Odnalazła go od razu. Podeszła. Zatrzymała się przed trupem przyjaciela. Cuchnął mocniej niż wcześniej. Dziewczyna zauważyła kilka przecięć na ubraniu oraz spalonej skórze. Rozszarpań nabytych po śmierci, z których już nigdy nie popłynę krew. Dłoń umarłego pokrywała węgiel, odpadający od białych paliczków. Chwyciła trupa za rękę, delikatnie, z obawą o własne życie. Wyprowadziła Vocla przed szereg, z dala od spojrzeń pozostałych umarłych.

— To głupie — rzekła zakładając kosmyk włosów za ucho. — Zawsze uważałam mówienie do trupów za głupotę. Prośby o pomoc, opiekę, wsparcie. To wszystko jest totalną bzdurą. Bo niby jak ochłap zgniłego mięcha może komuś pomóc? Wstanie z martwych i pożyczyc kasę, której nie ma? Odetnie wątrobę i da organ na przeszczep dziecku choremu na raka? Nie da. Bo jest martwy. Na amen. Na wieczność! Jednak... Jednak ludzie mimo to przychodzą przed trupy. Bardziej martwe od ciebie Vocalu. Więc czemu narzekam?

Czarnowłosa piękność odetchnęła chwilę.

— To głupie, jednak, ja też przyszedłam. Jestem tu, bo nie wiem, co mam zrobić. Po prostu muszę z tobą porozmawiać. Głównie dla siebie. Mam nadzieję, że zrozumiesz trupie

Vocala. Dobrze... Powiem wszystko. Kędzior to mąż Delektiw. Nigdy nie wspominała, że była żonata. Komiczne, co? Do tego nasza słodka przyjaciółka chciała go zabić. Chyba wbiła mu w brzuch nóż bądź sztylet. Mój szef wtrącił ją do izolatki. Tak, on jest teraz moim szefem. Boję się, co będzie dalej. Średnio lubię Delektiwę, ale też nie życzę jej śmierci. Kędzior dobrze płaci. Popracuję dla niego rok i będzie mnie stać na wykupienie wszystkich długów rodzinnej firmy. Jednak chciałabym, aby Del wyszła z tego cało. Tylko ty do niej tak mówiłeś, pamiętasz? Co ja mam zrobić, Vocalu? Uwolnić Delektiwę i razem uciec z fabryki. Niby dobre, jednak druga okazja na uratowanie przedsiębiorstwa się nie trafi. Zawsze tak jest. Jestem największą egoistką na tym świecie.

— Egoizm jest niedocenianą przez ludzi siłą — rozległo się echo po magazynie — tak samo jak duma, chciwość, żądza, złość czy głód. Są jak przyprawy w naszym życiu. Bez nich istnienie byłoby mdłe i nijakie. Jednak jak dasz ich za dużo to zdominują wszystko.

Cigarette rozejrzała się speszona w poszukiwaniu podsłuchiacza.

Postać w czarnej sukni wyszła spomiędzy umarłych i ukloniła się przed przyjaciółką Vocala.

— Ritsu, dobrze pamiętam?

— Tak mnie zwą — rzekł chłopako-dziewczyna pochylając głowę.

— Nie lubię, jak ktoś się przede mną garbi, wyprostuj się.

Ritsu przez chwilę stał w miejscu, jak zombiak przed wykonaniem zadania ponad posiadane możliwości intelektualne. W końcu posłuchał Cigarette i wyprostował plecy. Na twarzy chłopako-dziewczyny gościł smutek.

— Skoro już podsłuchałeś, i jesteś tutaj, to co myślisz?

— Powinnaś wybrać trzecią opcję. Najbardziej egoistyczną. Zostawić trupa, rodzinną firmę i pójść za marzeniami, w końcu to twoje życie. Szkoda marnować czasu dla osób i rzeczy, które tak naprawdę robisz jedynie z poczucia obowiązku.

* * *

Kiedy Ritsu odprowadził Cigarette do wyjścia i dziewczyna znalazła się w bezpiecznej odległości chłopako-dziewczyna zamarł w miejscu. Myśli Ritsu zostały stłumione, wyciszone jak dźwięk w odtwarzaczu po zjechaniu do minimalnej głośności. W umyśle panowała cisza, pustka porównywalna do śmierci. Zwykle oddychanie stanowiło wysiłek porównywalny z rozwiązywaniem trudnego zadania matematycznego.

— Mam tego dosyć. Możemy jej pomóc, uwolnić Del, powiedzieć, kim jestem. Wiesz jakie to ciężkie udawać zombie kiedy jest przy mnie? — rzekł Vocal wypuszczając Ritsu z psionicznego uścisku.

Chłopako-dziewczyna zachwiał się i wyprostował, nie dając poznać po sobie jakie wrażenie wywarł na nim atak Vocala.

— Jesteś zombie i nic tego nie zmieni. Pogódź się wreszcie z tym. Muszę ci jednak przyznać, że twoja była przyjaciółka jest pierwszym człowiekiem, który potraktował mnie jako kogoś równego sobie.

— Dlatego tym bardziej nie rozumiem czemu postanowiłeś ją odwieść od próby uwolnienia Delektiw. Mi też na niej zależy.

— To proste, nie chcemy żadnego zamieszania abyś mógł spokojnie trenować, dopóki nie będziesz gotowy zostać przywódcą i wyzwolić Strefę.

Vocal widział przed oczami obraz Delektiw, jej doskonałego ciała. Wabiących ruchów, niepozornych gestów. Czuł winogronowy smak ust dziewczyny. Uwodzicielski

zapach potu, spływającego po skórze, brzmienie słów podrażniający każdy nerw. Jakie mógł mieć wcześniej wątpliwości? Dlaczego w ogóle zwlekał? W końcu nic nie mogło go powstrzymać.

— Uwolnię ją, czy ci się to podoba czy nie.

Ritsu podparł brodę w geście zamyślenia.

— Rób co uważasz, i tak nie zdołam cię powstrzymać — rzekł chłopako-dziewczyna schodząc Vocalowi z drogi.

* * *

Końcówka noża zagłębiła się delikatnie pod paznokieć, przesunęła wzdłuż wybierając ziemię. Właściciel narzędzia, szpakowaty mężczyzna o ostrym spojrzeniu, wytarł ostrze o spodnie, po czym przeszedł do kolejnego palca. Cały dzień stał na straży. Wykonywał nędzne czynności, które znał na pamięć. Oddałby pensję za jakieś wydarzenie urozmaicające rutynę.

Mężczyzna zatrzymał nóż w połowie paznokcia. Nie wierzył własnym oczom. Pojedynczy umarły, o spopielonym ciele, szedł w jego stronę. Szpakowaty odrzucił głupią myśl odnośnie samowolce zombie i zaczął się rozglądać za imbecylem, robiącym sobie z niego żarty.

Nagle świat dla mężczyzny się zatrzymał. Umysł spowolnił. Przestrzeń przypadła na jeden punkt, ostrze noża. Dźwięk przestał istnieć, identycznie jak czas. Był tylko oddech, kamienny u podstawy wymagający całego możliwego skupienia. Szpakowaty ujrzał dłonie umarłego. Białe paliczki objęły nóż i wyciągnęły broń z ręki mężczyzny. Następnie spokojnie wbiły ostrze w pierś żywego. Szpakowaty nie zaprotestował, oddech wymagał zbyt wielkiego wysiłku by mógł myśleć o czymś tak błahym jak nóż w sercu.

Mężczyzna osunął się na ziemię i dołączył do umarłych.

Vocal minął trupa i wszedł do środka fabryki.

Korytarze wyglądały tak jak Vocal wyobrażał sobie wnętrze fabryki. Wąskie, zaniedbane, tynk i szkło na podłodze trzeszczące pod stopami przy każdym kroku.

Którędy teraz? — pomyślał umarły idąc wzdłuż ściany, nasłuchując wszelkich odgłosów świadczących o obecności ludzi. Panowała cisza. Umarły przypuszczał, że większość podwładnych Kędziora je w jakiejś stołówce obiad. Vocal uważał to za przyjazny zbieg okoliczności.

Przechodząc obok kolejnych drzwi usłyszał przytłumioną rozmowę między dwójką ludzi. Długo się nie zastanawiając wszedł do środka.

Pokojem do którego wkroczył okazał się gabinetem lekarskim Chaski, a drugą osobą Gwiazdka siedzący na stoliku, szeroko otwierając buzię pokazując doktor szereg białych zębów, których pozazdrościłby nie jeden najemnik Kędziora.

— Niczego niewid... — Doktor usłyszawszy klamkę od drzwi odwróciła się w stronę wejścia. — Wynocha, kto śmie...

Nim Chaska dokończyła zdanie, Vocal wysłał mentalny impuls w stronę doktor oraz Gwiazdki, tłumiący wszelkie doznania i zmysły. Ludzie znieruchomieli, jakby czas przestał istnieć, jedynym znakiem ich istnienia były oddechy. Wolne unoszenie i opadanie klatek piersiowych.

Vocal zamyślił się chwilę. Potrzebował jedynie Gwiazdki, a doktor stanowiła balast. Umarły rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegoś do obezwładnienia Chaski. Związania i zakneblowana kobiety. Jednak nic takiego nie znalazł pod ręką, jedynie lustro,

pęsetę, haczyki, dłuta i pozostałe badziewia stomatologiczne. W końcu zombie westchnął, chwycił doktor za szyję i z całych sił przekręcił głowę doktor. Po chwili rozległ się chrzęst kości, a głowa dziewczyny znalazła się po drugiej stronie szyi.

Vocal puścił ciało przyszłego pobratymca.

— Gwiazdka, jesteś wolny — rzekł gardłowo Vocal.

Wytatuowany mężczyzna zamknął usta i potrząsnął głową niczym dalmatyńczyk. Spojrzał na martwą doktor, po czym zatrzymał wzrok na umarłym. Vocal wyczuwał lawinę procesów myślowych w głowie Gwiazdki. W końcu grubas chwycił za pistolet ukryty w kaburze i strzelił do Vocala.

Pocisk przeleciał kilka cali od głowy zombiego i wbił się w ścianę za umarłym. Gwiazdka wycelował ponownie, jednak znów ręka zatrzymała się w złym miejscu i drugi pocisk wyładował obok pierwszego.

— Co do diabła — zaklął mężczyzna, po czym strzelił kolejny raz.

Pociski miały głowę umarłego jakby strzelał w zombie ślepiec z kompletnym brakiem szczęścia.

— Skończyłeś? — rzekł Vocal, gdy Gwiazdka pozbył się wszystkich kul z magazynka.

— Ritsu jeśli to ty, to pożałujesz gówniaku jebany, kurwa mać! Co to za żarty. Już ja ci pokaże co się robi z takimi jak ty. Pieprzony mutancie! Własna matka cię nie pozna.

Vocal stracił cierpliwość do mężczyzny, chwycił Gwiazdkę za rękę i wykręcił do granic możliwości, powodując przy tym ogromny ból właścicielowi.

— Nikt mną nie kieruje. Przyszłem po Delektiwę. Zaprowadź mnie do niej, a będziesz żyć.

— To sen, a ja jestem na haju? Zombie nie mówią, prawda? Ha. Ha. Wystarczy, że się uszczypnę i wszystko będzie w porządku. W końcu tylko we śnie tylko mogłem tyle razy spudłować z takiej odległości. Ha. Ha.

— Po prostu zaprowadź mnie do niej.

— W sumie to sen, więc czemu nie. Ha. Ha.

* * *

Steryd splunął jak najdalej przed siebie. Właśnie miał udać się do Kędziora i złożyć mu raport odnośnie rozmowy Ritsu i Cigarette, gdy usłyszał strzały dochodzące z części północnej budynku. Nie zaniepokoiło to mięśniaka, który często był świadkiem sporów między najemnikami Kędziora rozwiązywanymi za pomocą broni. Jednak mimo tego Steryd postanowił sprawdzić zamieszanie.

Mięśniak zawrócił, zszedł po schodach i skręcił w lewo. Zatrzymał się, gdy ujrzał wychodzącego z gabinetu Chaski umarłego wraz z Gwiazdką.

— Wierz co se stało, slysales stsały? — zapytał mięśniak wychodząc naprzeciw przyjaciela.

Nagle poczuł jak mięśnie odmawiają posłuszeństwa, jak gdyby podczas ciężkiego treningu z hantlami, umysł przestaje reagować na świat, zaczyna istnieć jedynie oddech, nic więcej. Steryd wielokrotnie przezwyciężał ten stan i tym razem nie miał z nim najmniejszego problemu.

Wielkolud napiął mięśnie wykonał krok i kolejny. Niebył zmałał, pozwalając Sterydowi działać. Wtedy dopiero mięśniak zauważył stan Gwiazdki idącego przed umarłym. Skruszoną postawę, szalone spojrzenie oraz zbyt częste rozglądanie się na boki.

Czyżby to zombie prowadził żywego?

— Gwiasdca co ci jest?

— Ha. Ha. Ty też w moim śnie? Ha. Ha.

Mięśniak kątem oka zauważył lecącą pięść, po chwili poczuł uderzenie w brzuch. Steryd zachwiał się, bardziej z zaskoczenia, niż z powodu siły. Olbrzym oddał, sierpowym w szczękę powalając Vocala na ziemię. Umarły wstał, ustawił kość na miejsce i, ponownie zaatakował psionicznym paraliżem. Steryd parsknął, przewyciężając z łatwością uścisk. Zrobił krok, oddzielając Gwiazdkę od umarłego, uniósł gardę i zaczął przeskakiwać z nogi na nogę. Umarły także uniósł ręce w parodii boksterskiej postawy przyjmując bojową pozę.

Przeciwnicy gromili się spojrzeniem. Patrzyli prosto w oczy, czekając aż któryś odwróci wzrok, zdradzi swoje zamiary. Pierwszy zaatakował Steryd wymierzając cios w głowę Vocala, jednak spudłował o kilka centymetrów. Umarły trafił bezbłędnie w brzuch olbrzyma. Cios zombie nie zrobił żadnego wrażenia na mięśniaku.

— Ha. Ha. Nie męcz co się Steryd. To zmarlak z snu mego. Ha. Ha. Nie trafisz go, bo ze snu pochodzi.

Druga wymiana ciosów przebiegała identycznie jak poprzednia. Vocal odskoczył do tyłu. Czas działał przeciwko niemu. Sytuacja patowa mogłaby trwać w nieskończoność. Co w każdej chwili stwarzało możliwość przybycia innych najemników. Ta myśl przyniosła umarłemu rozwiązanie sytuacji.

Zombie zwiększył dystans. Przestał manipulować percepcją Steryda i skupił uwagę na nitkach prowadzących od jego ciała do umarłych pozostawionych w magazynie. Wybrał tuzin najbardziej pewnych.

Przybądźcie.

Steryd natychmiast wykorzystał chwilę rozproszenia umarłego. Sporym krokiem skrócił odległość do rywala, po czym posłał prawego sierpowego prosto w twarz Vocala.

Umarły nie zdążył wykonać uniku. Pięść mięśniaka roztrzaskała nos wybrańca w miazgę i posłała nieumarłego na ziemię.

— Ha. Ha. Trafił. Ha.. a.

Steryd uśmiechnął się sadystycznie zmniejszając dystans i ocierając knykcie. Chwycił Vocala za szmaty i posłał sierpowego w brzuch zombie. Umarły zakotłosał się jak worek treningowy, jednak, z racji swojego stanu, nie czuł żadnego bólu. Wyciągnął ręce do twarzy Steryda. Mięśniak widząc, co się święci, rzucił Vocalem o ścianę łamiąc umarłemu kilka żeber.

W korytarzu rozbrzmiał odgłos dziesiątek stóp.

Steryd odwrócił się od Vocala, szukając źródła hałasu. Gwiazdka skulił się przy ścianie i zakrył twarz dłońmi.

Tętent rósł. Po chwili, zza rogu, wybiegło stado zombie, gniotąc się, przepychając, byle tylko szybciej i szybciej dotrzeć do celu. Steryd zacharczał napiął mięśnie i splunął na ziemię. Horda umarłych przebiegła obok Gwiazdki i rzuciła się na mięśniaka.

Vocal z uśmiechem na ustach podziwiał upadek Steryda.

* * *

Gęsta dobra zupa wylądowała obok talerza z parującymi gołąbkami oblanymi sosem pomidorowo-pieczarkowym. Cigarette pociągnęła nosem, delektując się zapachem świeżego jedzenia.

Im dłużej myślała nad słowami Ritsu, tym bardziej przyznawała chłopako-dziewczynie rację. Zawsze do tej pory myślała o zmarłych rodzicach, odziedziczonej firmie na skraju bankructwa oraz obowiązku wyprowadzenia przedsiębiorstwa z ruiny. Jednak obecnie zaczęła pracować, chyba pierwszy raz w życiu, na własny rachunek skoro postanowiła zostać na dłużej niż rok. Jednak przedtem musiała rozwiązać jeszcze jeden problem.

Czarnowłosa piękność uśmiechnęła się.

Przy większości zajętych stolików w stołówce siedzieli sami mężczyźni. Bucowaci faceci w typie karczycha spływających litrami testosteronu z arsenałem broni przy boku. Znalazło się między nimi kilka kobiet, ubranych w lekkie ciuszki, kurw sprowadzonych przez najemników dla własnej przyjemności. Siedzących na kolanach, co chwile chichoczących ku uciesze mężczyźn.

Osobno siedziały najemniczki, których liczba była znacznie mniejsza. Jednak siła oraz uzbrojenie w niczym nie odstawało od męskiej części ludzi Kędziora. Wśród nich wyróżniał się jeden stolik z niską dziewczyną ubraną w strój pokojówki. Cigarette rozpoznała w niej Szpilę, przy której siedziały pozostałe psiapisulki.

— Chodź, dosiądź się do nas — zawołała Glizda machając ręką.

Czarnowłosa posłała lokatorkom fałszywy uśmiech, po czym niechętnie dosiadła się do dziewczyn.

Z kim ja się zadaję? — pytała się w myślach widząc rapier przy boku pokojówki oraz pas z nożami do rzucania. Radioli i Glizda na szczęście posiadały normalne uzbrojenie. Brzydula miała strzelbę i pistolet maszynowy Frasier, natomiast Glizda karabin snajperski SVMm-2, który wyglądał jak nowo zakupiony.

— To moja perełka, żadna broń nie może się z nią równać. — Blondynka czule pogłaskała karabin. — Gdzie twoja broń?

— Jakoś nie miałam jeszcze okazji wybrać. Najczęściej miałam do czynienia z karabinami szturmowymi.

— Idealnie wpasowujesz się w nas zespół Ciga! — rzekła radośnie Glizda przekręcając głupkowato głowę. Jak tam praca pierwszorocznika? Drętwi dali radę?

— Tak... dali... — rzekła czarnowłosa nabierając porcję zupy.

— Oho, coś się święci. Steryd cię nadzorował?

— Nie, Gwiazdka.

— Spoko z niego gość. Co prawda za dużo klnie i udaje dziwkarza, jednak jak przychodzi co do czego to zachowuje się jak na prawdziwego mężczyznę przystało.

— Poza tym jako jeden z nielicznych potrafi utemperować Steryda — dodała Radioli zaczynając drugie danie. — Te gołąbki są naprawdę pyszne.

— Dobrze, jednak japońskie byłyby lepsze — rzekła Szpila, na co brzydula zrobiła wymownego zesa.

— Nie o to chodzi. Moja koleżanka, o której wam wspominałam, została uwięziona przez Kędziora...

— Czekaj, czekaj. Chcesz powiedzieć, że twoja mister Delektiwa to była żona Kędziora, ta, którą nielegalnie poślubił i wbiła mu nóż w brzuch? — rzekła Glizda, także zaczynając gołąbka.

— Wychodzi na to, że tak.

— Haa.. Haa.. To ci dopiero nowina. Kto by pomyślał, że plotki okażą się prawdziwe. Rozumiem, że chcesz ją jakoś wydostać?

— Nie. Tak naprawdę to zadawałam się z nią tylko dlatego, że była dziewczyną mojego przyjaciela. Głupio wyszło, jednak zapomniałam się jej spytać co z nim. Mieli razem, w razie kłopotów przybyć mnie i Vocalowi z odsieczą — rzekła Cigarette kończąc zupę.

— Phi.. jak zjemy to pójdziemy i pogadasz z nią. Może Kędziora stać na nasze usługi, jednak nie czyni to z nas jego niewolników. Prawda Szpila? Prawda Radioli?

— Prawda.

— Hai — zgodziła się Szpila.

Dziewczyny przez chwilę kontynuowały obiad w milczeniu. Przyglądając się lokatorkom, Cigarette było trudno uwierzyć w takie łatwe ofiarowanie pomocy przez osoby ledwo co poznane. Może serdeczność miała jakiś ukryty cel, którego nie rozpoznawała? Wielokrotnie w życiu napotykała się na ludzi udających dobroć, tylko dla korzyści z niej płynącej. Jednak Cigarette wątpiła, aby miała do czynienia z takimi ludźmi. W takim razie dlaczego została przyjęta tak otwarcie?

— Dlaczego jesteście takie miłe, ledwo was znam, a mam wrażenie, że jesteście w stanie poświęcić dla mnie życie.

— To proste Ciga. Musimy sobie ufać, od tego zależy nasze i twoje życie. W Strefie już tak jest i tyle — rzekła Radioli kończąc obiad.

Cigarette posłała szczery uśmiech w ramach podziękowania za uczciwą odpowiedź

— Oczywiście liczymy na to samo świeżaku, o ile chcesz dołączysz do naszej ekipy grabarzy. Tak tutaj zwą ludzi od załatwiania trupów na przyszłych umarłych. — Radioli wstała i oparła dłonie na biodrach. — Skoro wszystko pozamiatane, to nie ma co czekać, pora odwiedzić byłą lalę Kędziora.

Brzydula rzuciła Cigarette jedną ze strzelb.

— Trzymaj, dopóki nie znajdziemy dla ciebie czegoś lepszego. Kobieta w tutejszych warunkach powinna zawsze nosić broń ze sobą.

Czarnowłosa piękność, dopiero po słowach Radioli zwróciła uwagę na pozostałe stoliki gdzie zauważyła kilka lubieżnych spojrzeń wśród męskiej części najemników.

* * *

— Co tu robią te zombie? — rzekła Glizda zauważając stado umarłych stojących tępo w korytarzu. — Wszystkie powinny siedzieć w magazynie.

Pozostałe dziewczyny także zaniepokoił widok umarłaków blokujących drogę.

— Może to kolejny z dziwnych eksperymentów Kędziora? — powiedziała Szpila od niechcenia wyjmując nóż do rzucania.

— Trzeba to sprawdzić — rzekła Radioli wzruszając ramionami.

Najemniczki spokojnym krokiem pokonały korytarz. Jednak im bliżej umarłaków się znajdowały tym większy czuły niepokój.

Śmierdziało, jak zawsze w obecności zombie, jednak nie to wzmogło czujność dziewczyn z pokoju dziewiątego. Na podłodze leżało kilka żywych trupów z powykręcanyimi kończynami, zdolnych jedynie do pełzania oraz wydawania chrapliwych odgłosów. Najbardziej zmasakrowany umarły leżał przy ścianie z twarzą przerobioną na mięso z kośćmi. Mimo tego odwracał głowę w stronę Cigarette, jakby posiadał wzrok.

Dopiero z bliska drużyna zobaczyła krew. Mnóstwo czerwonej posoki, kawałków skóry, mięsa i flaków wydobywających się ze zmasakrowanego ciała.

— Steryd — rzekła brzydula odwracając głowę trupa ku górze.

— To one go załatwiły? — zapytała Cigarette. Jednak chwilowe spojrzenie na najbliższe żywe trupy wystarczyło jako odpowiedź.

— Umarli to lalki. Jedynie bezmózgie narzędzia. Ktoś w końcu wziął się za tego drania. — Radioli wstała i kopnęła mięśniaka w bok. — Należało mu się za to, co zrobił Jaskółce i Hammerowi. Pieprzony psychopata.

Widząc pytające spojrzenie Cigarette, brzydula dodała.

— Zgwałcił ją i pobił, a gdy Hammer chciał mu przeszkodzić to też go pobił. Oczywiście nikt nie miał dowodów. Jaskółka udawała, że nic nie pamięta, a tydzień później popełniła samobójstwo. Natomiast Hammer został odesłany do Londynu i do teraz jest w śpiączce.

— Od tej pory próbowaliśmy go dorwać, gdy nikt nie patrzy, ale zawsze nam się wymykał — dodała Glizda. — Kto to wymyślił z tymi zombiakami, ma łeb na karku, nie ma co.

— Chyba, że to ktoś z zewnątrz — powiedziała Cigarette pod nosem. — To absurdałne, ale jednak?

Lokatorki pytająco spojrzały na czarnowłosą piękność.

— Alrix, to może być on. Miał w razie braku sygnału wraz z Delektiwą ruszyć nam na odsiecz. Muszę go znaleźć, nim zostanie zastrzelony!

Cigarette, nie czekając na reakcję dziewczyn, pobiegła dalej korytarzem.

* * *

Delektiwie siedziała skulona w rogu izolatki. Gładziła palcami włosy szukając szarych kosmyków, rozdwojonych końcówek oraz wszelkich uszkodzeń. Przeniosła opuszki na czoło. Badała zmarszczki, wszelkie nierówności, naciskała na skórę sprawdzając elastyczność. Przeszła do nosa. Wykonując delikatne ruchy zaczęła go korektować. Nachalnie ustawiać w lini prostej, mimo, że był idealny.

Seksbomba załkała.

Kochała swoje doskonałe ciało jak nic innego na świecie. Urodę, wdzięk, wszelkie możliwości jakie dawało. Spojrzenia mężczyzn, zazdrość kobiet. Te chwile, gdy przyćmiewa cały świat posiadany wdziękiem. Miejsca, gdzie wystarczał wiosenny uśmiech by dostać to, czego się pragnęło. Delektiwie wiedziała, że wieczna młodość jest niemożliwa, a nawet jeśli, nie chciała jej. Ta dziwna świadomość budziła w seksbombie dysonans, którego nie potrafiła zrozumieć.

Dziewczyna wstała. Przeszła kilka kroków od ściany do ściany z niechęcią patrząc na wąską dziurę kanalizacyjną. Skrzyżowała nogi. Starła się nie myśleć do czego ona służy, jednak natura wzywała.

Delektiwie podeszła do otworu, usłyszała trzask.

— Lepszego momentu nie mogliście sobie wybrać, co?

Trzask powtórzył się. Drzwi od izolatki zadrżały jak żywa istota napadnięta przez strach. Sekundę później zadrżały kolejny raz.

Delektiwie zrobiła krok do tyłu. Poczwała ścianę na plecach. Zimną granicę kończącą drogę ucieczki. Dziewczyna przywarła do rogu, odczuwając umysłem i ciałem w jak ciasnym jest pomieszczeniu. Spojrzała na klamkę w kształcie gałki. Zardzewiały kawałek metalu z pojedynczymi czarnymi grudkami. Śladami przywodzące na myśl łaty krów domowych.

Przebarwienia poruszyły się wraz z klamką. Delektiwie drgnęła. Wyobraźnia seksbomby pracowała na pełnych obrotach. Monstrum za drzwiami z każdym kolejnym

hałasem zyskiwało kształtów. Czyżby Kędzior wymyślił jakiś nowy sposób tortury? Poznał przyjaciela o podobnych zainteresowaniach. Może chciał wypróbować coś nowego? Coś, czego nie zdążył zrealizować podczas małżeństwa?

Klamka zatrzymała się.

Delektiwa poczuła ciepły strumień spływający wzdłuż uda.

Drzwi pomału zaczęły się otwierać. Światło z żarówki uciekało z pomieszczenia, witając kreaturę stojącą w progu.

Jako pierwsza wyłoniła się na wpół spalona twarz pozbawiona włosów, rozwalonym nosem oraz przekrzywioną szczęką. Na widok Delektiwy monstrum otworzyło usta, pokazując pożółkłe zęby, pomiędzy którymi wił się wyschnięty język. Kościste ręce stworzenia rozchyliły się szeroko, odcinając seksbombie drogę ucieczki.

— Vocal? — wyszeptała Delektiwe odchodząc od umarłego najdalej jak to możliwe.

Stwór szerzej otworzył usta, w oczach nieumarłego zabłyśły iskierki radości, język poruszał się szybciej.

— Witaj Delektiwe...

Kochanka Alrixa zadrżała. Nie wiedziała co było gorsze. Podobność monstrum do przyjaciela, czy znajomość zombie jej imienia.

Śmierć zbliżała się do seksbomby z otwartymi ramionami.

Dziewczyna nie mając, gdzie się schować skuliła się.

— Proszę, nie zabijaj mnie. Proszę...

Rozległ się tupot stup, w drzwiach mignęła sylwetka.

BANG!!!

Umarły odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Machnął ręką na intruza. Delektiwa skuliła się mocniej, zakrywając uszy rękami.

BANG!!! — strzelba wypaliła ponownie.

— Giń przekłeta maskarado!

BANG!!! BANG!!! BANG!!!

Nieumarły zachwiał się i upadł na ziemię. Delektiwe szumiało w uszach. Podniosła głowę. Zobaczyła Cigarette z bronią wycelowaną w ziemię. Usta dziewczyny otwierały się i zamykały, wargi prężyły wypowiadając słowa.

— Nic nie słyszę!

Cigarette kiwnęła głową, po czym podeszła do Delektiwe i pomogła seksbombie wstać.

Po chwili do izolatki wpadła pokojówka z kataną w dłoni. Czegoś takiego kochanka Alrixa nie widziała nawet w snach.

— Nic wam nie jest?

* * *

Kochanek Delektiwy gwałtownie zerwał plecy z ziemi. Oddychał szybko, nabierając hausty powietrza niczym tonący. Ręce obcokrajowca trzęsły się. Alrix czuł, że coś jest nie tak. Bardzo nie tak. Myśli obcokrajowca kołatały w miejscu. Krążyły między Delektiwe, swędzeniem, planem oraz utratą świadomości.

Alrix podparł się ręką i spróbował wstać, jednak noga odmówiła posłuszeństwa i obcokrajowiec musiał nadal siedzieć. Niepokój kochanka Delektiwy wzrósł. Spojrzał w bok, gdzie zobaczył zmarszczoną pomarańczową istotę przypominającą naleśnik posmarowany dżemem. Przeniósł wzrok na nogę.

Łytka na pierwszy rzut oka wyglądała normalnie. Owłosiona z kilkoma zadrapaniami, obrzękiem oraz raną przywodzącym na myśl ugryzienie jedno zębego psa. Jednak Alrix podświadomie wiedział, że coś z nią jest nie w porządku. Wtedy zauważył delikatny ruch mięśnia, ugięcie, które on nie wykonał. Anomalia nabrzmiała, po czym znikła. Po chwili powtórzyła się.

Obcokrajowiec przełknął ślinę. Dotknął nogi. Niczego nie poczuł. Przesunął palcami wzdłuż, zatrzymując się dopiero na napężnieniu. Działając instynktownie nacisnął opuchliznę. Na początku z rany wypłynęła przezroczysta posoka, po chwili dołączyła krew z białymi grudkami wijącymi się jak w ukropie.

Alrix syknął. Zabrał dłonie, które trzęsły mu się jak w febrze.

— To jest we mnie — rzekł słabym głosem.

W ten rozległ się charkot silnika.

Kochanek Delektiwych chwycił broń, upewnił się, że jest naładowana, po czym wymierzył karabin w źródło hałasu.

Charkot narastał. Po chwili obcokrajowiec zauważył żółtego kłada, który stanął poza widokiem strażników z fabryki. Na pojeździe siedziała Rubby wraz z Galionem. Chłopak wycelował w przewodniczkę, myśląc nad kolejnym krokiem. Mógł pociągnąć za spust zabić dziewczynę, po czym starca, nim zdążyłby się zorientować, co jest grane. Jednak najprawdopodobniej wzbudziłby czujność ludzi z fabryki, przed którymi nie miał jak uciec. Oczywiście strażnicy mogli mu pomóc, tak samo jak Rubby. Jednak czy na pewno? W końcu Delektiwka nie wróciła, a przewodniczka może okazać wdzięczność za uśpienie kulka w głowę. Istniała trzecia możliwość, pozostania w ukryciu, grożąca niemal pewną śmiercią od pasożytów.

— Co byś zrobiła na moim miejscu, kochanie? — szepnął. Odpowiedź dla Alrixa była zbyt oczywista, jednak według obcokrajowca niewłaściwa.

Mężczyzna odłożył broń. Przeczółgał się kawałek w kierunku przestępczyni i marynarza.

— Jestem tutaj, pomóżcie mi — zawołał machając ręką.

Rubby i Galion jednocześnie sięgnęli po broń i wycelowali w intruza. Przestępczyni gestem nakazała Alrixowi odrzucić karabin.

— Przepraszam za tamto. — Obcokrajowiec wykonał polecenie Rubby. — Za Delektiwę, napis na twoim brzuchu i wszystko.

— Ciszej. mogą nas usłyszeć. Galion, weź karabin. Alrix, nie musisz się już czołgać, możesz podejść.

— Nie mogę. Mam robaki.

Rubby uniosła brew. Nadal celując z pistoletu czekała aż Galion weźmie broń Alrixa dopiero wtedy podeszła bliżej.

— Co się stało?

Obcokrajowiec opowiedział wszystkie wydarzenia od uśpienia Rubby włącznie z dotarciem do fabryki oraz planem Delektiwych. Dopiero potem wspomniął o kleszczu wczepionym w łydkę, zmniejszaniu się pasożyta oraz odkryciu robaków.

— Błagam, pomóżcie mi. Nie chcę umierać. Nie w taki sposób — Alrix zakończył opowieść.

— Pokaż nogę — rzekł sucho Galion spluwając na bok.

Obcokrajowiec przytaknął. Położył się na brzuchu i wyciągnął koniczynę do wybawicieli.

Galion przyjrzał się uważnie mięśniowi, który co chwila zmieniał kształt, niczym grudka plasteliny ściskana przez czterolatka. Marynarz nacisnął obrzęk uwalniając porcję zarobaczonej krwi.

— Cholera, wirkony — zaklął, po czym wyjął z kieszeni buteleczkę z cytrynowką, którą podwędził Rubby i polał nimi dłonie, wyczyścił je używając alkoholu jako dezynfekującego mydła. — Masz, napij się.

Alrix chwycił buteleczkę, po czym pociągnął głęboki łyk prawie że opróżniając ją do dna.

— Dzięki. Ile mi zostało? — zapytał oddając cytrynowkę właścicielowi.

— Nie jest aż tak źle chłopie.

— Dwadzieścia cztery godziny. Tyle ma się czasu na usunięcie wszystkich wirkonów nim dotrą do układu nerwowego oraz mózgu. Biorąc pod uwagę twój stan zostało nam jakieś osiem, siedem godzin na amputację nogi. Później mogą ci pomóc jedynie stężony albendazol, którego raczej w Strefie nie znajdziesz — odpowiedziała Rubby.

— Rozumiem — rzekł Alrix spuszczaając głowę. Oddech obcokrajowca pogłębił się. Oczy zwilgotniały, rękoma zasłonił twarz, ukrywając przed światem spływające łzy.

Przestępczyni usiadła przy kochanku Delektiwie i objęła obcokrajowca.

— Nie ma co się załamywać. Mogę ci amputować nogę kofanem, jednak musisz pomóc mi go odzyskać, to jedyne o co cię proszę. Dobrze?

Alrix uniósł wzrok i kiwnął głową.

— Dobrze, w takim razie przedyskutujmy nasz plan i spróbujmy zrobić coś z twoją nogą, byś chociaż częściowo odzyskał sprawność.

* * *

Kędzior odłożył kubek z kawą, zakaszał kilkukrotnie, po czym sięgnął po chusteczkę i wycharczał płciowe.

— Przepraszam — rzekł siadając za biurkiem.

Przed biznesmenem stała na baczność czwórka dziewczyn z pokoju dziewiątego oraz dwóch innych najemników, którzy do tej pory specjalnie się nie wyróżniali. W oczach zebranych Kędzior widział zamieszanie oraz wątpliwości. Może nawet odrobinę strachu? Pomiedzy dwoma najemnikami stał mężczyzna z wytatuowaną gwiazdą na czaszce. Zgarbiony czterdziestokilkuletek z obłąkaną twarzą i trzęsącymi się dłońmi, które ciągle zmieniały pozycję.

Biznesmen złożył dłonie w piramidę i myślał. Gwiazdka powiedział, że to zombiak przejął kontrolę nad pozostałymi, zabił Chaske, po czym wezwał pobratymców by pozbyli się Steryda. Wszystko po to, by dostać się do Delektiwie. Kędziorowi cała relacja mężczyzny wyglądała jak wyssana z palca, lub co bardziej prawdopodobne z marihuanowego dymu. Jednak fakty pozostawały faktami, a trupy trupami.

— Zrobimy tak — biznesmen przerwał ciszę — podwoimy warty, damy strażnika przed izolatką oraz przed magazynem. Pochowamy Chaskę, Steryda oraz Szpaka by uzupełnić straty w zombie. Tych umarłych, których się da uratować pochowamy razem z nimi, by odzyskali sprawność. Natomiast ostatniego, tego, który zaatakował moją byłą żonę zanieście do mojego laboratorium. Będę chciał go zbadać. Od dzisiaj też zarządzam stan wyjątkowy. Każdy z najemników, od tej chwili, będzie musiał w widocznym miejscu nosić identyfikator. — Kędzior wypił łyk kawy. — Najprawdopodobniej za całą tą akcją stoi zdrajca, ktoś nam bliski obyty z umarłymi. Nikt z zewnątrz, bez odpowiedniego szkolenia, nie mógł od

tak nakazać zombie zabić kogokolwiek. Natomiast teorię, iż to sami nieumarli wzniesli bunt uważam za totalną bzdurę. Zrozumiano?

Wszyscy zgromadzeni, oprócz Gwiazdki, zgodnie przytaknęli.

— W takim razie macie jakieś pytania? — Milczenie. — Możecie odejść.

Kędzior odczekał chwilę, aż wszyscy opuszczą gabinet. Następnie wyjął z kieszeni kofan, podrzucił i złapał w powietrzu. Niedawno naładował klejnot sporą porcją energii i przy dotyku odczuwał przyjemne ciepło rozchodzące się po całym ciele.

Słowa Gwiazdki napełniały biznesmena nadzieją. Potwierdzenie istnienia świadomego umarłego, do tego potrafiącego władać innymi było więcej niż Kędzior mógłby pragnąć.

Biznesmen uśmiechnął się na myśl o takiej przyszłości. Sięgnął do szuflady, wyjął inhalator i zażył lekarstwa. Następnie wstał i udał się do laboratorium.

* * *

Kędzior założył rękawiczki. Woda na kawę w czajniku elektrycznym zaczynała wrzeć. Narzędzia, czyste i ostre leżały na stoliku. Wymyta podłoga pachniała miętowym płynem. Poprzednie zombie zostały odesłane do magazynu. Na miejscu wcześniejszego umarłego leżał Vocal na wszelki wypadek przypięty pasami bezpieczeństwa.

Kędzior stanął nad umarłym, prawdopodobnym spełnieniem marzeń o nieśmiertelności. Jednak nadzieja była trupem, nie dającym żadnych oznak życia. Czyżby zombie spał? Czasami spotykane wśród nowych umarłych, jednak Kędzior miał co do tego wątpliwości.

— Wyglądasz, jakbyś umarł ponownie. Z tego co wiem kilka kul nie jest w stanie was powstrzymać. Najskuteczniejszy jest ogień, kwas, cokolwiek co jest w stanie osiągnąć wysoką temperaturę, bądź przemienić kości w pył. Filmowe odstrzelenie głowy nic nie daje. Nie ma się czemu dziwić, skoro i tak jej nie używacie. Ha.. Ha.. Ha.. Jednak ciebie pokonała zwykła stszelba i śrut. Ciekawe dlaczego?

Biznesmen nachylił się nad Vocalem w dłoni trzymał skalpel. Na początku zdjął buty nieumarłego, po czym rozciął spodnie oraz koszulę. Cały czas oglądał przyjaciela Cigarette szukając anomalii w budowie ciała, czegokolwiek wyróżniającego Vocala od pozostałych zombie. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Wszystko oprócz szpikulca tkwiącego w piersi umarłego.

Kędzior podszedł do stolika i zalał kubek z kawą gorącą wodą, dodał dwie kostki cukru i wymieszał. Po chwili upił łyk zastanawiając się co dalej zrobić. W końcu wziął lupę oraz szczypce. Nachylił się nad Vocalem i spojrział przez narzędzie na żelastwo.

Szpikulec wydawał się nowy, jednak Kędzior widywał pełno zardzewiałych, tego samego typu na początku pobytu w fabryce. Najwidoczniej tego korozja się nie miała. Z bliska, przy użyciu lupy, biznesmen zauważył na stali świeżą ryse.

— Nasza Cigarette musiała mieć dużo szczęścia trafiając w gwóźdź, prawda Kędziorze?

— Cholera! — zaklął biznesmen upuszczając lupę. — Ritsu przestań się tak skradać.

— Przepraszam panie — chłopako-dziewczyna pochylił głowę. — Przysłała mnie Radioli, powiedziała, że Gwiazdce znowu odbiło i potrzebuje pańskiej pomocy.

Kędzior przytaknął. Odłożył narzędzia i spojrział na mutantka. Czuł, że sprawa dotycząca Gwiazdki musi być naprawdę poważna skoro wysłali po niego. Gdyby Chaska żyła, pewnie do niej zwróciliby się w pierwszej kolejności. Jednak Kędzior nie posiadał

wykształcenia medycznego, był szefem, ale najemnicy nie należeli do ludzi pytających zatrudniającego o decyzje w każdej sytuacji. Dlaczego więc posłali po niego?

Biznesmen przez chwilę chciał spytać o to Ritsu, ale zrezygnował samemu odpowiadając sobie na pytanie. Machnął ręką i wyszedł z laboratorium.

Chłopako-dziewczyna mutant imieniem Ritsu, który od zawsze zamieszkiwał teren fabryki podniósł głowę. W oczach świeciła mu pogarda oraz wyższość. Podeszedł do Vocala i położył dłoń na gwoździu. Zamknął oczy, wypowiedział kilka słów zaklęcia, po czym zabrał dłoń.

Palce Vocala drgnęły, wyprostowały się i zacisnęły w pięści. Mięśnie napięły. Umarły otworzył oczy.

— Gdzie ja jestem? — wychrypiął, po czym spróbował uwolnić się z pasów bezpieczeństwa.

Jesteś w laboratorium Kędziora. Tak jak przypuszczałem nie udało ci się uwolnić przyjaciółki.

Vocal spojrzał w dal. Przed oczami widział obraz Cigarette ze strzelbą w dłoniach. Wyraz przerażenia na twarzy przyjaciółki. Huk wystrzału. Chęć porozumienia, pokazania, że nadal jest człowiekiem, tą samą osobą co wcześniej. Jednak zamiast zrozumienia oraz wsparcia dostał ołów, pełno ołowiu.

Cigarette... ona, ona chciała mnie zabić... Moja najlepsza przyjaciółka chciała mnie zabić. Rozumiesz? Chciałem jej pomóc, a ona... ona... do mnie strzeliła i chciała mnie zabić...

Już nie jesteś jej przyjacielem. Najwidoczniej nigdy nie byłeś. Jesteś umarłym, wybranym mającym zjednoczyć stworzenia Strefy i uczynić ją wolną.

Nie wierzę w te bzdury! Powiedz mi wreszcie prawdę, a nie bajkę dla dzieci o wybranym i zjednoczeniu Strefy! Chociaż ty bądź moim prawdziwym przyjacielem.

Chłopako-dziewczyna zaśmiał się pod nosem. Oparł dłoń o róg stołu, po czym sięgnął po kawę Kędziora.

— Jesteś wybranym, bo ja cię wybrałem. To chyba wystarczy by móc do ciebie tak mówić. Natomiast zjednoczenie Strefy to mój cel, bo czemu nie? W końcu to nasza ziemia, nie ich. Jak nam się to uda, to kto wie, może poszerzymy nasze granice? Twój przyjaciele za życia widzą w tobie jedynie trupa, nic więcej. Smutne to, ale prawdziwe.

— Czyli w jakiś pokręcony sposób jestem wybranym — zaśmiał się Vocal. — Jednak wolałbym być martwy niż przeżywać to, co teraz.

Już jesteś, wybranym.

Wiem. Jednak łatwo mnie pokonać jak na kogoś, kto ma zdobyć Strefę.

Bo to dopiero początek twojej drogi i musisz się jeszcze wiele nauczyć. Kontrolować emocje, manipulować umysłami ludzi by nagiąć je do swoich potrzeb. Jesteś potężny, potężniejszy niż ja, jednak surowy i nieociosany, dlatego przegrałeś. Za słabo znasz siebie oraz moce, jakie posiadasz. Ja tutaj jestem aby ci pomóc, oszlifować na prawdziwy klejnot.

Rozumiem.. mistrzu. Co teraz mam zrobić?

Ritsu podeszedł do stołu i uwolnił rękę Vocala z pasa bezpieczeństwa.

— Teraz trzeba powiększyć naszą armię najbardziej jak to możliwe.

* * *

Cęgi zacisnęły się na kawałku drutu przecinając metal jak suchy patyk. Rubby schowała narzędzie do kieszeni, po czym odchyliła siatkę i przeszła na drugą stronę. Za nią podążył Galion.

— Od teraz jesteśmy Anga i Pavelo. Jeśli dobrze pójdzie nikt się nie skapnie i obejdzie się bez ofiar — wyszeptała Rubby przeczesując palcami kosmyki włosów.

Galion przytaknął.

Przejście od płotu do budynku zdawało się dla marynarza trwać wiecznie. Każdy krok stawał niepewnie, sprężyste. Czuł podmuch wiatru na policzku. Szumy, skrzypnięcie obuwia w głowie marynarza miały wydźwięk wybuchów dynamitu. Oddychał głęboko. Walczył z chęcią sięgnięcia po buteleczkę, która z każdym krokiem ciążyła w kieszeni. Palcami co chwilę zaciskał i puszczał rękojeść szabli.

— Rozluźnij się, za bardzo rzucasz się w oczy — syknęła Rubby.

Galion przytaknął. Jednak łatwiej było powiedzieć niż zrobić.

W końcu dotarli pod fabrykę. Kto by pomyślał, że było to zaledwie pięćdziesiąt metrów?

— Wiesz, że osłona Alrixa nic nam nie da?

— Tak, wiem. Musiałam wymyślić mu coś do roboty. Teraz najtrudniejsza rzecz. Trzeba wejść do środka.

Rubby wzięła głęboki oddech i ruszyła wzdłuż ściany, kierując się do wejścia znajdującego się po przeciwnej stronie budynku.

Przed wejściem zastali osobliwy widok. Niską pokojówkę z długimi włosami sięgającymi do końca pleców uzbrojoną w rapier oraz noże do rzucania. Na piersi miała wywieszony identyfikator z imieniem oraz nazwiskiem.

— Kon'nichiwa, gdzie macie swoje identyfikatory?

Widząc zmieszanie na twarzach rozmówców pokojówka dodała.

— Kon'nichiwa, znaczy witaj po japońsku. Powtarzamy za mną Kon-ni-chi-wa.

— Kon-ni-chi-wa — powtórzyła Rubby wraz z Galionem.

— Powtórzcie z tysiąc razy i będzie okej. Dobrze, gdzie macie identyfikatory?

— Jeszcze nie zdążyliśmy ich otrzymać — skłamała Rubby.. — Jesteśmy tutaj nowi.

Pokojówka uważnie przyjrzała się twarzom marynarza i przestępczyni oraz broni. Najdłużej zatrzymała wzrok na szabli Galiona.

— Mamy stan wyjątkowy dopiero od dwóch godzin. Więc pewnie nie mieliście o nim pojęcia?

— Tak — rzekła Rubby.

— Rozumiem. W takim razie musicie mi wybaczyć i pozwolić, że odprowadzę was do Ramzesa, on wyda wam wasze identyfikatory.

Pokojówka otworzyła drzwi.

— Proszę, wejdźcie do środka — rzekła, wpuszczając Rubby i Galiona do fabryki. — Na początku pójdziemy w prawo.

Przestępczyni źle się czuła przekraczając próg jako pierwsza i mając pokojówkę za plecami. Z każdą sekundą nabierała podejrzeń. Zawsze wygodniej jest prowadzić przyjaciela, gdy idzie się na przedzie wroga zaś gdy jest się na końcu. Wtedy zawsze można obserwować ruchy, zadziać z wyprzedzeniem. Zadać cios w plecy. Tymczasem to oni muszą zabić pokojówkę i ukryć ciało.

— Teraz w lewo.

Rubby przełknęła ślinę i skrzyła. Śmieci szurały pod butami. Przestępczyni wiedziała, że są w kłopotach. W wąskim korytarzu broń palna ma mniejszą przewagę od miecza. Na zewnątrz pokojówka nie miałaby szans w starciu dwóch na jednego. Jednak po wpuszczeniu wrogów do środka przebieg walki mógł być z goła inny. Przestępczyni sama postąpiłaby tak samo na miejscu pokojówki, gdyby rozpoznała intruzów...

* * *

Seksbomba była zła, palce miała poranione i opuchnięte. Spodnie i majtki Delektive zwisały z parapetu, pomału wysychając. Naciągnięta koszula ledwo zakrywała to co trzeba. W pomieszczeniu śmierdziało szczynami oraz prochem. Jednak nikt podczas całego zamieszania z zombie nie pomyślał o Delektive. Jej strachu, potrzebach, uczuciach. Nikt nie zaproponował szklanki wody ani suchego ubrania. Nikt, nawet sama Cigarette. Jednak mimo tego wszystkiego Delektive najbardziej wściekła była na Alrixa. Kochanka, który już dawno powinien domyślić się, że coś jest nie tak i przybyć z odsieczą. Tymczasem dupa, rycerza na białym koniu nie ma.

— O, jeszcze będzie chciał, to ja mu dam takiego wała — rzekła gorzko Seksbomba grożąc zakrwawioną pięścią w powietrzu.

Delektive podeszła do drzwi. Stalowe zawiasy pokrywała krew. Śruby sterczały w trzech czwartych wyciągnięte z ściany. Każdy milimetr seksbomba okupiła bólem i cierpieniem.

Dziewczyna kucnęła, sięgnęła do śruby i zaczęła kręcić. Myślni znajdowała się przy Alrixa i Cigarette. Każdy ból dedykowała kochankowi i przyjacielce. Mężowi zaś krew. W krwi i bólu zamierzała żądać spłaty długu.

Pierwszy gwóźdź wypadł z ściany.

Zabawić się i porzucić. Tylko to potrafią mężczyźni. Najchętniej wykonywaliby swoją część zadania, po czym znikali do innej. Alrix według seksbomby był tego typu mężczyzną. Mimo to Delektive kochała ich wszystkich i każdego z osobna.

Drugi gwóźdź wypadł ze ściany. Dziewczyna zacisnęła palce na trzecim i syknęła z bólu.

Zostawić. Porzucić jak śmiecia. Najlepiej w potrzebie, kiedy przyjaciel jest na wagę złota. Przy zagrożeniu, pewności, że zemścić się nie jest możliwe. Przy okazji zostać czystą i niewinną. Cigarette, definicja Cigarette jak się patrzy.

Trzeci gwóźdź wylądował na ziemi. Delektive zacięła się w palca, syknęła. Wyssała krew i wróciła do zdania.

Czy istnieje coś gorszego od zniszczenia niewinności dziecka? Pokazania świata takim, jakim jest, tylko dla własnej satysfakcji? Dlatego, że można i ma się na to ochotę? Uczynienie z drugiego człowieka zabawki, którą odrzuca się w kąt, każe zniszczyć, gdy się nią znudzi. Kędzior, ty draniu, ta krew jest dla ciebie.

Ostatni gwóźdź został w rękach Delektive. Jednak drzwi nadal były na miejscu. Dziewczyna rzuciła odpad na ziemię. Podeszła do parapetu z okratowanym oknem. Niechętnie ubrała wilgotne ciuchy, wróciła do futryny. Chwyciła drzwi i pociągnęła. Obramowanie zostało. Delektive odrzuciła przeszkodę na bok.

Była wolna i jak zawsze zawdzięczała ten fakt wyłącznie sobie samej.

* * *

Obraz z celownika karabinu przesunął się z cysterny wypełnionej gazem ziemnym na magazyny. Altrix zobaczył rozmazane postaci, wychodzące z budynków, poruszające się w sposób niezgrabny. Obcokrajowiec podniósł głowę znad lunety i spojrzał na nogę. Mięsień drgał znacznie mocniej i częściej niż wcześniej. Robaki nie marnowały ani chwili wyzerając wszystko, co można. Kochanek Delektive zaklął w duchu. Przysłał na plan Rubby wiedząc, że nie ma innego wyjścia. Jednak marginalna rola obserwatora, osłony podczas podejścia do fabryki nie napawała Alrixa dumą. Obcokrajowiec wiedział, że każda minuta jest cenna, że musi działać. Kochanek Delektive miał dosyć biernego czekania, a nietypowy marsz ludzi z magazynów dał obcokrajowcowi potrzebny pretekst do działania.

Altrix wstał, zachwiał się i upadł.

— Boże, musi istnieć jakiś sposób.

Obcokrajowiec zacisnął zęby i wtedy go olśniło. Altrix ukląkł i jak podczas modlitwy, na kolanach, zaczął podążać w kierunku wyrwy w ogrodzeniu. Po pewnym czasie zaczął iść na czworaka, po czym czołgać. W końcu dotarł do wyrwy i przeszedł na drugą stronę. Był na terenie wroga, na kolanach pokonał dystans do ściany fabryki.

Panowała cisza. Żadnych strażników, jedynie jakieś odległe cienie przy głównej bramie świadczyły o obecności ludzi.

— Teraz muszę odwrócić uwagę strażników, żeby Rubby i Galion mogli uciec z Kofanem — rzekł obcokrajowiec dodając sobie otuchy i usprawiedliwiając postępowanie niezgodnie z wcześniejszym planem. — Tylko jak?

Altrix rozejrzał się. Próbę odwrócenia uwagi za pomocą broni odpadała w obecnym stanie. Zginąłby na miejscu. Jednak dywersja w postaci wysadzenia składu amunicji, czy podpalenia baraków byłaby idealna. Oczywiście nikt nie był tak dobrym człowiekiem, żeby wyraźnie zaznaczyć gdzie co się znajduje. Wtedy Altrix przypomniał sobie o cysternie z gazem, która do odwrócenia uwagi nadawała się idealnie.

* * *

Galion usłyszał świst i nim zdołał zareagować zobaczył jak z boku Rubby sterczy nóż do rzucania. Przestępczyni sięgnęła po broń, lecz kolejne ostrza wytrąciły pistolety z rąk dziewczyny. Pokojówka wykonała ostatni zamach śląc nóż w gardło Rubby. Przyjaciółka Galiona zasłoniła się dłonią. Ostrze przebiło rękę, zatrzymując się w niej.

Marynarz obrócił się i jednym płynnym ruchem wyciągnął szablę.

Pokojówka ukloniła się lekko z uśmiechem na twarzy z szpadą w dłoni.

— Jakbyś sięgnął po strzelbę, to byś już nie żył. Jednak tak rzadko mam okazję walczyć z kimś Yandere, że nie potrafię ci odmówić — rzekła najemniczka chowając noże do rzucania. — Etykieta wymaga, by na początku się przedstawić. Jestem Tyna Kowalska zwana Szpilką z powodu niskiego wzrostu.

Galion ukradkiem spojrzał na Rubby. Przestępczyni żyła, jednak ostrze z boku wyglądało paskudnie, nie wspominając o nożu wbitym w dłoń.

— *Jeśli zakończę to szybko, przeżyje.* — Brown Galion, komandor dowodzący okrętem Darling w stanie spoczynku.

— Miło cię poznać komandorze — rzekła Szpilka atakując.

Wilk morski z łatwością odbił ostrze Yandere. Wykonał zamach, który także został odparowany.

Galion zrobił krok do tyłu. Spojrzał na niebieskie oczy dziewczyny, Yandere oraz dłonie. Pokojówka stała pewnie, swobodnie trzymając broń niczym przedłużenie własnego

ciała. Komandor wykonał trzy szybkie cięcia. Szpilka sparowała, pchnęła. Galion wykonał unik, ciął na wskroś. Ostrze rozdarło fartuch dziewczyny. Szpilka cofnęła się. Komandor pchnął, zadał cios z lewej, przejmując inicjatywę. Pokojówka broniła każdy atak cofając się. Galion, popełnił błąd, za bardzo się wychylił. Yandere cięło wzdłuż lewego ramienia rozpruwając koszulę oraz skórę. Poleciała krew. Pchnęła prosto w serce wilka morskiego. Galion w ostatniej chwili zablokował atak.

W korytarzu rozległ się stukot stóp. Przeciwnicy stali naprzeciw siebie. Spoceni oddychali szybko zadając i parując kolejne ciosy. Rubby w tym czasie wyjęła ostrze z dłoni i, zdrową ręką, sięgnęła po pistolet.

Dziewczyna zaklęła.

Za rogu, w drugiej części korytarza, wybiegło stado umarłych. Trupy w łachmanach popychały się, potraçały i wydzierały jak horda januszy, które dostrzegło okazję w supermarkecie. Kilkoro posiadało karabiny maszynowe przewieszone na plecach, najwyraźniej służące jako ozdoby niż prawdziwa broń.

Galion zrobił krok do tyłu. Horda nieumarłych, była ostatnią rzeczą jaką się spodziewał w tym miejscu. Pokojówka także zauważyła zombie.

* * *

Kontrolowanie wszystkich umarłych na raz, z odległości, było znacznie trudniejsze niż Vocal przypuszczał. Wymagało skupienia, wielozadaniowości oraz czujności opiekuna rozwydrzonej hałastry siedmiolatków. Każde polecenie musiało być dokładne i precyzyjne pokazane, przez co Vocal w znacznej mierze stracił kontakt z rzeczywistością. Wyglądał i poruszał się jak lunatyk śniący o ciężkim poranku bez kawy. Myślał równie swobodnie.

— Nie myślałem... że... to takie... trudne.

— Dobrze, im większe wyzwania będziesz podejmował, tym szybciej osiągniesz cel. Oczywiście w granicach rozsądku Vocal. Dlatego dobrze by było, jakbyś jeszcze podwyższył poprzeczkę. Nie raz przyjdzie ci walczyć i kontrolować hordy umarłych jednocześnie. Warto abyś wykorzystał okazję i także samemu zaatakował najemników. Tak jak już raz to zrobiłeś — rzekł Ritsu bawiąc się narzędziami Kędziora.

Umarły przyjaciel Cigarette długo trawił słowa mistrza jednocześnie koordynując atak nieumarłych i zmieniając taktykę.

— Dobrze mistrzu. Gdzie ich znajdę?

— Są w głównej sali, zastanawiają się, jak uspokoić Gwiazdkę. To co z nim zrobiłeś zasługuje na moją pochwałę, wybrańcu. Doprowadzić kogoś do szaleństwa w tak krótkim czasie jest rzeczą niebywałą.

Vocal zignorował pochwałę, po chwili używając wzroku nieumarłych odnalazł drogę do głównej sali, po czym wyszedł zostawiając mutantą samego.

* * *

Rubby spojrzała na nieumarłych i zaklęła w duchu. Zawsze, zawsze musiały to być zombie, rozdarte śmierzące monstra. W tym jak i poprzednim życiu. Palce przestępczyni w prawej dłoni drżały, każdy ruch wywoływał silny ból, w takich warunkach nie było mowy o podniesieniu broni i zastrzeleniu pokojówki. Rana w boku rwała, wolno krwawiąc. Nóż sterczał z kamizelki, niczym świąteczny dodatek.

Zombie rzuciły się na Szpilkę jak wygłodniałe wilki po miesięcznym poście. Pokojówka odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i jednym cięciem pozbawiła głowy trzech

nieumarłych. Jednak zombie bez głów atakowały dalej, chwyciły Szpilkę chcąc rozerwać dziewczynę na kawałki. Tyna, w odpowiedzi, przekreśliła szpadę i obcięła ręce nieumarłych, po czym odskoczyła do tyłu.

Korpusy napierały dalej.

Przestępczyni nie zdołała zobaczyć dalszego ciągu potyczki, nim zaprotestowała Galion chwycił ją, zarzucił na barana i pobiegł wzdłuż korytarza. Rubby krwawiła, czuła każdy krok przyjaciela. Bok rwał, ostrze rozrywało ranę jednak przestępczyni bała się zatrzymywać starca.

— Skręć w lewo, za ostatnimi drzwiami z prawej mieli kiedyś gabinet lekarski. Jak nam się poszczęści to nikogo tam nie zastaniemy.

Galion nie odpowiedział. Dysząc ciężko jak parowóz ruszający z stacji skręcił, przebiegł korytarz i wpadł do wskazanego przez Rubby pomieszczenia. Poślizgnął się na plamie krwi, jednak nie upadł. Zrzucił dziewczynę na łóżko, po czym usiadł na krześle, dalej łapiąc oddech.

Przestępczyni jęknęła z bólu. Rubby nie podobały się dziury po kulach w framudze drzwi oraz wszędobylski bałagan. Przewodniczka wołała nie myśleć, jakie choroby złapie lecząc się w tym miejscu. Jednak zawsze lepsze to, niż śmierć.

— Galion, znajdź opatrunek — rzekła dziewczyna, zdrową ręką rozpinając pasy kamizelki kuloodpornej.

— Dobrze — powiedział marynarz wstając z krzesła, na które ponownie natychmiast usiadł.

Wszystkie wcześniejsze kolory z twarzy Galiona znikły, na czole pojawił się gęsty pot. Oddech wilka morskiego był urywany i płytki, przypominał świszczanie spuszczonego balona. Prawa dłoń marynarza ścisnęła pierś, lewa zaś trzymała kamizelkę.

— Cholera! — zaklęła przestępczyni odwracając wzrok od Galiona. Dziewczyna zeskoczyła z siedziska i pokuśtykała do przyjaciela. Natychmiast domyśliła się co dolega wilkowi morskiemu, jednak nie miała pojęcia co ma robić. Dzwonienie po pogotowie, dość, że nie było możliwe, to jeszcze bezsensowne. Żadna karetka nie przyjedzie do Strefy. Z identycznych powodów masaż serca nie wchodził w grę, po za tym Rubby wątpiła aby dała w obecnym stanie dała radę.

— Trzymaj się Galion, powinni mieć tutaj defibrylator, jakiś lek, cokolwiek na taką ewentualność — powiedziała Rubby przeszukując szafki z lekami.

Dziesiątki buteleczek z etykietami, plastikowych cylindrów oraz pudełek uciekało spod palców Rubby. Dziewczyna rozpoznawała kilka z nich, głównie przeciwbólowych, jednak większość pozostawała zagadką. Zauważywszy opakowanie z Vicodinem chwyciła lek, zębami otworzyła cylinder, po czym połknęła dwie tabletki. Następnie, chwiejnym krokiem, podeszła do Galiona i wręczyła przyjacielowi tabletki.

— Vicodin, złagodzi ból.

Kolory z marynarza całkowicie odpłynęły. Została jedynie marmurowa bladość. Oddech zanikł, oczy zaczęły intensywnie łzawić. Mimo tego Galion zachował na tyle rozumu by rzucić lek z opakowaniem w bok.

Marynarz wskazał palcem na przeszkloną szafkę, gdzie leżał defibrylator.

Przestępczyni przytaknęła. Podeszła do szafki i pociągnęła za uchwyt. Zamknięte.

— *Gdzie jest ten cholerny kluczyk* — pomyślała.

Rubby zanurkowała do biurka Chaski. Wywaliła pierwszą szufladę. Nic, papiery. Druga szuflada, leki i papiery. Trzecia, książki. Przestępczyni zerknęła na coraz to bielszego

przyjaciela, który stracił przytomność. Zaklęła. Chwyciła najgrubszą książkę i rzuciła ją w szafkę.

Szkoło pękło, książka przeleciała dalej wpadając na urządzenie. Rubby, pakuśtykała do szafki, chwyciła defibrylator i położyła na biurku przed Galionem. Włączyła urządzenie i, zamarła. Przestępczyni miała pustkę w głowie. Widziała przyciski, pokręta z nic nie mówiącymi napisami. *Co uruchomić? Jak ustawić? O co chodzi z tą częstotliwością?*

Tik.. Tak.. Tik.. Tak..

Cenne minuty mijały, a Rubby nadal nie wiedziała, co robić. W końcu na chybił trafił wybrała parametry i odwróciła się do przyjaciela z elektrodami w dłoniach.

— Jasny szlak! — zaklęła, gdy zobaczyła kamizelkę kuloodporną na Galionie.

Dziewczyna odłożyła elektrody. Drżącymi rękoma odpięła rzepy, zdjęła kamizelkę i koszulę starca, pokazując na światło dzienne siwe, kręcone włosy. Rubby przyłożyła elektrody w pobliżu serca Galiona. Pierś marynarza podskoczyła, lecz nic innego się nie stało.

Przestępczyni zachwiała się i podparła o stolik. Spojrzała na ręce i bok. Krwi było za dużo, o wiele za dużo. Dziewczyna zrozumiała, że dłużej nie może zwlekać. Po policzkach Rubby spłynęły łzy, wielkie, kuliste krople lśniąco niczym perły.

— Wybacz, drugi raz cię zawiodłam... — szepnęła, po czym podeszła do szafki z bandażami.

* * *

Gwiazdka szalał, miotał się jak opętany. Bluzgał, wyzywał, wygadywał niezrozumiałe definicje matematyczne. Wymachiwał rękami w wszystkie strony, płakał, śmiał się to znowu kulił i trząsł jak dziecko lub rzucał w najemników tym, co miał pod ręką.

Radioli w końcu straciła cierpliwość, trzasnęła szaleńca w twarz z taką siłą, aż ten wylądował na podłodze. Wytatuowany mężczyzna chwilę milczał, gromiąc spojrzeniem zebranych najemników.

— Dopadnie nas, wszystkich dopadnie. Zobaczycie! Przyjdzie on, przyjdzie i, suma kwadratów sinusów, wykaże wszystkim nasze pod ziemią miejsce, będzie równa zero, a nie dwa moi dupowie. — Szaleniec spojrzał na czarnowłosą piękność, padł przed dziewczyną na kolana, składając dłonie jak do modlitwy. — Pokonasz go znowu, moja pani? Na zawsze, razem tym na zawsze, powstać by nie mógł. Zbawczyni ma. Udowodnisz twierdzenie Riemanna, złożysz pierwsze liczby i powiesz gdzie, oj gdzie znajduję się krzywa kartezyjska Bonmela. Pani ma, zbawczyni...

— Głowa mnie boli od jego wywodów, muszę się napić, — rzekła Glizda odwracając się do Cigarette — idziesz ze mną?

— Nie, zostaję.

— Jak chcesz — snajper wzruszył ramionami, po czym wyciągnął paczkę papierosów wraz z zapalniczką — samemu pić o tej godzinie to alkoholizm.

Glizda zapaliła papierosa, po czym dmuchnęła dymem prosto na Gwiazdkę.

— Zapalisz?

Najemnik zakrył twarz dłońmi i zaczął kołysać się w przód oraz tył, mamrocąc kolejne definicje pod nosem oraz modły do Cigarette.

Wtedy wraz z dwoma strażnikami do pomieszczenia wszedł Kędzior ubrany w fartuch lekarski. Spojrzał na zgromadzonych władczo i podeszedł do Radioli.

— Co takiego złego się dzieje, że przesłaliście po mnie Ritsu?

Radioli spojrzała na Cigarette, Cigarette na Glizdę, Glizda na trzech najemników, którzy podziwiali sufit.

Snajper puścił obłok dymu, po czym wzruszył ramionami.

— Nikt szefa nie wzywał...

Nagły wstrząs pozbawił wszystkich równowagi. Szyby w oknach zatrzęsły się i pękły na dziesiątki odłamków, stoły zatrejkotały, jakby uczestniczyły w dyskotecie, papieros Glizdy spadł na ziemię. Huk, a po nim głucha cisza.

Cigarette skuliła się pod stołem, chroniąc dłońmi głowę. Rana na brzuchu zapiekła dziewczynę.

— Co się dzieje do cholery?! — rzekł Kędzior stając na równe nogi.

— Szefie, zbiornik z gazem najprawdopodobniej wybuchł — odpowiedział jeden z przybocznych biznesmena.

Brzydula podała rękę Cigarette, pomagając czarnowłosej wstać. Odbezpieczyła broń.

— Glizda, będziesz nas osłaniać z piętra wyżej. Ty i ty — Radioli wskazała na przybocznych biznesmena — zostajecie wraz z szefem, Cigarette i Gwiazdką. Reszta za mną. Cysterny z gazem od tak nie wybuchają.

Najemnicy natychmiast podporządkowali się brzyduli, odbezpieczyli broń.

— Ruszamy. Sałata ubezpieczasz z prawej, Mucha idziesz pierwszy.

Kędzior odprowadził wzrokiem najemników, pozwalając profesjonalistom działać. Samemu zaś podszedł do Cigarette, która siedziała na stoliku trzymając się za bok.

— Pokaż.

Czarnowłosa podniosła dłoń, po której spływała krew. Szwy popękały.

— To będzie boleć, więc weź to w usta. — Kędzior ściągnął pasek Cigarette i wręczył dziewczynie go do rąk — Przypalę ci ranę, jak to zrobię to przestaniesz krwawić.

Kędzior odczekał aż czarnowłosa piękność będzie gotowa. Następnie chwycił kofan i ścisnął go, sięgając po zgromadzone ciepło, przyłożył kamień do rany dziewczyny, która instynktownie wciągnęła brzuch.

— Szklanka, przytrzymaj dziewczynę. — Najemnik przytaknął, odłożył broń, po czym złapał nową za ramiona.

Biznesmen ponownie przyłożył kamień do ranny. Cigarette krzyknęła, jednak nie potrafiła odwrócić wzroku od fascynującego procesu. Skóra zaczęła dymić. Ciało dziewczyny pokryło się potem, zęby zacisnęły się na pasku. Kędzior pracował dalej ignorując hałas, gdy skończył schował kamień do kieszeni i skinął na najemnika.

— Przynieś wody. — Szklanka puścił dziewczynę, po czym poszedł po wodę.

Ledwo przytomna Cigarette spojrzała na brzuch, gdzie dostrzegła czerwoną bliznę, która zostanie tam do końca życia. Czarnowłosa założyła pasek, spokojnie, w milczeniu, wraz z resztą czekała na przybycie Szklanki bądź powrót Radioli. Kawałki szkła lśniły w świetle słońca. Świeża bryza wpadała do środka chłodząc policzki zebranych. Spokój i cisza przenikały pomieszczenie niczym powietrze, którym oddychali. Mimo tego najemnik ciągle zaciskał dłoń na karabinku, Gwiazdka kołysał się w przód i w tył jak metronom odmierzając sekundy. Kędzior stał w miejscu i nie wiedząc, co zrobić z rękami, wkładał dłonie do kieszeni, to znowu wyciągał i zaplatał za głowę.

Rozległ się narastający tupot. Zebrani zamarli.

Gwiazdka wstał, dłonią trzęsącą się jak u starca, wskazał korytarz.

— Przybyli! Wiedziałem, że przybędą. Biegną po nas, pani. Zbawczyni, co z nami będzie? To nie może się tak skończyć. Prawda? Cigarette błagam, nie pozwól na to. Obroń

nas. Nawet w tej najłabszej dla ciebie godzinie jesteś od złego silniejsza. Wierzę w ciebie! Niech się stanie cud.

Zebrani spojrzeli na korytarz, gdzie dziesiątki zombie bieгло w ich kierunku wymachując dłońmi, goniąc Szklanę. Jeden z goniących nieumarłych na chwilę przystanął, zdjął karabin i, na oczach wszystkich, zastrzelił najemnika.

— Kurwa, po to ich szkoliliś? — rzekł przyjaciel odbezpieczając broń i strzelając serią pocisków w umarłych, którzy potraktowali ostrzał jak poranną mżawkę.

Kędzior spojrział na klęczącego Gwiazdkę, siedzącą Cigarette i walczącego najemnika. Następnie, niewiele myśląc, podniósł dziewczynę i wybiegł z pomieszczenia. Gwiazdka podążył za znawczynią.

* * *

Delektive spojrzała w dół, na wejście na schody. Umarły, przez którego musiała się schronić na wyższym piętrze, nadal tkwił bez ruchu uniemożliwiając ucieczkę. Wyglądał jak kukielka pozbawiona sznurków obok, której można przejść bez problemu. Seksbomba należała do osób rozsądnych, niepozbawioną instynktu zachowawczego jak wiele bohaterów horrorów, dlatego nawet nie przeszło dziewczynie przez myśl przechodzić nieuzbrojona obok nieumarłego.

Kasztanowłosa podeszła do ściany. Wyjrzała na korytarz. Pustka, brak umarłych oraz żywych. Delektive zagryzła wargi, zdjęła buty, by ciszej się poruszać i ruszyła wzdłuż korytarza szukając drugiej klatki schodowej. Po lewej mijala pomieszczenia produkcyjne. Zardzewiałe taśmociągi, podajniki, mieszalniki oraz pozostałe mechanizmy potrzebne w produkcji paprykarza szczecińskiego.

Delektive usłyszała kroki. Natychmiast skoczyła w bok ku pomieszczeniu pozbawionemu drzwi. Przysiadła przy ścianie wstrzymała oddech i wytężyła słuch. Odgłos nasilił się. Po chwili seksbomba poczuła odór papierosów, usłyszała skrzyp otwieranego okna oraz stłumione odgłosy z zewnątrz.

— Kochani, zobaczmy jaką rybkę uda wam się wybawić.

Delektive usłyszała kobiecy głos. Seksbomba oddychała najciszej jak potrafiła. Była w pułapce i tylko umysł mógł ją uratować. Jednak w pobliżu nie znajdowało się nic, co mogła użyć jako broni. Tynkiem leżącym na ziemi nie rozbije głowy przeciwnika. Maszyna do pakowania wyglądała obiecująco by wyciągnąć z niej jakiś pręt, jednak dokonanie tego po cichu należało do rzeczy niemożliwych. Pośród śmieci Delektive dostrzegła kilka kawałków szkła, za tępych by można skutecznie użyć ich jako broń. Plastikową torbę na zakupy w kwieciste wzory, która nadawała się idealnie aby zniemacka założyć przeciwnikowi ją na głowę i udusić go. Jednak Delektive dostrzegła w tym rozwiązaniu poważny problem. Rozdarcie worka rękami było banalnie proste. Poza tym przeciwnik mógłby być silniejszy i co wtedy?

Delektive przeczesła włosy dłońmi. Chwyciła torbę i najbardziej obiecujący kawałek szkła. Wyjrzała na korytarz.

Najemniczka Kędziora oparła karabin snajperski o parapet. Głowę miała przyłożoną do lunety. Obserwując teren wokół fabryki w kąciu ust trzymała papierosa, który wypalał się powoli.

Seksbomba wstrzymała oddech. Serce dziewczyny biło jak oszalałe. Stąpając powoli po podłodze przygotowała torbę, napięła mięśnie i założyła plastik na głowę najemniczki.

Glizda natychmiast chwyciła za torbę i rozerwała ją na strzępy, zamachnęła się pięścią i trafiła Delektive w brzuch. Seksbombie zaparło dech, jednak kochanka Alrixa nie puściła. Ścisnęła mocniej szyję przeciwniczki wbijając kawałek szkła, po czym ugryzła Glizdę niczym wampir do żywego mięsa. Snajperka krzyknęła wyciągając kawałek plastiku z gardła. Delektive wykorzystała szansę, przerzuciła Glizdę na ziemię i usiadła na najemniczce okrakiem. W tej chwili dłonie snajperki zacisnęły się na szyi Seksbomby. Delektive tracąc oddech chwyciła przeciwniczkę za głowę i uderzyła nią o podłogę. Nic się nie stało. Płuca zaczęły palić kochankę Alrixa niczym rozpalone miechy. Ostatek sił dziewczyna namierzyła kciukiem oko Glizdy i wbija palec. Glizda krzyknęła puszczając szyję Seksbomby zaciskając dłonie na ręce uciekinierki. Pomału uwalniając się z objęć Seksbomby, Glizda zaczęła chleptać powietrze ustami. W ten Delektive, dostrzegłszy nową szansę, wrzuciła do ust Glizdy kawałek szkła, po czym zaczęła odpychać całość plastikową torbą. Snajperka spanikowała, chciała wyciągnąć plastik ze szkłem, jednak była już za słaba i nie zdołała odepchnąć ręki Delektive. Chwilę później ciało snajperki wykonało ostatni taniec, a dusza opuściła ten świat już na zawsze.

Seksbomba zeszła z trupa i chwyciła broń. Krzyki Glizdy mogły zaalarmować innych i sprowadzić kłopoty na Delektive. Jednak tak się nie stało i po kilku minutach Delektive uznała, że jest bezpieczna. Ukryła ciało i miała już szukać kolejnych schodów, gdy usłyszała strzały zza okna, przysiadła przy brzegu parapetu i wyjrzała na zewnątrz.

Zobaczyła trójkę ludzi uciekających przed zombie. Rozpoznała Kędziora oraz Cigarette spoczywającą w jego ramionach. Kawałek dalej znalazła najemników przeszukujących teren wokół zniszczonej cysterny.

Delektive czuła ciężar broni karabinu snajperskiego pierwszorzędnej klasy zdolnego wyeliminować cel z odległości ponad trzystu metrów. W głowie miała tylko jedną, jedyną myśl, okazję, która mogła się już nigdy nie powtórzyć. Pragnienie tak gorące, że porównywalne jedynie z seksualnym pożądaniem.

Seksbomba oparła karabin o parapet. Przyłożyła głowę do lunety i wycelowwała prosto w kędziężawą czuprynę biznesmena. Delektive odprężyła się, wstrzymała oddech i pociągnęła za spust.

* * *

Zakrwawiony nóż leżał na stole obok sterty bandaży i środka odkażającego. Rubby miała sporo szczęścia. Ostrze przebiło skórę, lecz dzięki kamizelce kuloodpornej wbiło się płytko i nie uszkadziło żadnych ważnych narządów. Założony opatrunek powinien wytrzymać aż do powrotu do cywilizacji. Inne wyjście nie wchodziło w grę.

Przestępczyni wstała i podeszła do Galiona. Głowa starego marynarza zwisała bezwładnie, zaciśnięte pięści leżały na kolanach w pośmiertnym skurczu.

Rubby uniosła głowę przyjaciela. Pomarszczona twarz z siwymi włosami przeszywała spojrzeniem przestępczynię, jednocześnie oskarżając i pytając - Dlaczego? Dlaczego porzuciła przyjaciela w największej potrzebie. Dziewczyna poddała się spojrzeniu, zapamiętując każdy szczegół, woń i kolor. Sięgnęła do prawej dłoni przyjaciela. Pierścienek ślubny tkwił na serdecznym palcu starca. Dziewczyna zdjęła go i schowała do kieszeni. Zachowując obrączkę jako pamiątkę, nie dlatego, że jej potrzebowała, lecz dlatego, że Galion sam by tak zrobił. Rubby chwilę milczała, żegnając się z przyjacielem. W ostatnim akcie pożegnania złożyła pocałunek na czole marynarza i zamknęła powieki Galiona.

Przestępczyni wstała, chwyciła strzelbę. Odwróciła się i omal sama nie padła na zawał. W progu stała kreatura. Średniego wzrostu postać ubrana na czarno przypominająca jednocześnie faceta i kobietę. Palce mutanta kończyły się mocnymi, krzywymi pazurami, natomiast postawa uległa z wywyższającym uśmieszkiem stanowiła połączenie, którego przestępczyni nigdy wcześniej nie widziała.

— Jesteś wyjątkowa, wiesz? — rzekł Ritsu, prezentując szereg ostrych zębów. — Jesteś jedyną istotą na tym świecie odporną na moje sugestie. Od razu zauważyłaś pazury. Mimo wszystkich sztuczek, które na tobie stosuję nic nie odnosi skutku. Bardzo mnie tym drażnisz, kobieto. Powiesz mi w jaki sposób to robisz?

Przestępczyni uniosła strzelbę celując w głowę chłopako-dziewczyny. Odpowiedź na pytanie mutanta była prosta, przekleństwo wiecznej pamięci przeszłych żyć uodporniało nosiciela na psioniczne manipulacje. Jednak Rubby nie chciała o tym rozmawiać.

— Odejdź, a pozwolę ci żyć.

— Szkoda, bo to naprawdę ciekawe — rzekł Ritsu poważniejąc. — Twoja umiejętność stanowi dla mnie zagrożenie. Dlatego nie mogę ci pozwolić drugi raz się wymknąć.

Mutant rzucił się na przestępczynię niczym gepard dopadający gazele. Przeskoczył nad stołem potracając mebel i rzucając wszystko co na nim się znajdowało.

Rubby pociągnęła za spust, jednak broń nie wypaliła. Przestępczyni zaklęła w duchu, gdy uświadomiła sobie, że strzelba jest zabezpieczona. Ritsu machnął pazurami wytrącając dwururkę z rąk przestępczyni. Następnie przeciął ubranie Rubby zostawiając bruzdy na piersi oraz brzuchu. Ranna dziewczyna cofnęła się. Wymierzyła kopniaka chłopako-dziewczynie, który przyjął cios niczym uderzenie poduszki. Rubby zachwiała się i upadła na ręce. Krzyknęła z bólu, a z oczu popłynęły jej łzy.

— Szybko, prawda? — Ritsu posłał przestępczyni drapieżny uśmiech.

Rubby, cofając się, gorączkowo spoglądała w każdą stronę szukając broni. Strzelba leżała za daleko, poza tym dziewczyna nie zdążyłaby odbezpieczyć narzędzia mordu i zastrzelić Ritsu przy uszkodzonej prawej ręce. Jednak wśród bandaży leżących na podłodze dostrzegła coś lepszego.

Rubby przeczołgała się w kierunku noża i chwyciła ostrze w ostatniej chwili, gdy chłopako-dziewczyna złapał przestępczynię za nadgarstek u stopy.

— Mam cię, mała glizdo — rzekł Ritsu unosząc dziewczynę w górę.

Przestępczyni natychmiast wykorzystała okazję i wbiła nóż w brzuch mutanta. Poleciała posoka, zielona konsystencja przypominająca płyn do mycia naczyń. Ritsu wypuścił przestępczynię, która upadła na plecy. Kobieta podcięła mutantą powalając go na ziemię. Mutant kopnął dłoń z nożem. Broń przeleciała kilka metrów w powietrzu, po czym zniknęła w szparze między podłogą a szafką. Ritsu rzucił się na Rubby. Dziewczyna przetoczyła się pod stół, błagając Boga, by żaden kawałek szkła nie stanął jej na drodze. Poczula uścisk na plecach. Sięgnęła ręką, poczuła foremną znajomą bryłę. Włączyła urządzenie i przekręciła pokrętkę na maksymalne wartości. Ritsu, czerwony ze złości, machnął pazurami. Rubby uniknęła ciosu, chwyciła elektrody, przyłożyła je do ciała mutantą. Impuls zadziałał natychmiast. Chłopako-dziewczynę odrzuciło do tyłu; uderzył głową w ścianę i upadł bezwładny. Przestępczyni odetchnęła. Podeszła do mutantą, sprawdziła puls. Cisza, najwidoczniej impuls elektryczny wyłączył serce potwora, stwierdziła w myślach, przestępczyni.

Rubby uśmiechnęła się, oblepiona zieloną i własną krwią przeczołgała się kawałek do Galiona. Oparła głowę o nogi marynarza i zarechotała absurdalnie szczęśliwa jak nigdy wcześniej.

* * *

Cigarette usłyszała huk, po chwili upadła na ziemię. Na brzuchu miała krew, coś galaretowatego o szarym kolorze oraz głowę z kędzierzawymi włosami. Dziewczynę zemdliło. W ustach poczuła żółć, która natychmiast domagała się światła dziennego. Cigarette przekręciła się na bok i zwymiotowała.

Strzały z pomieszczenia z którego wybiegli umilkły. Rozległ się piskliwy falset raniący uszy. Potem nastała cisza.

Czarnowłosa piękność wstała. Od strony magazynów szła Radioli, za brzydulą, dwóch najemników ciągnęło obcokrajowca, który półprzytomny szorował kolanami po ziemi.

— Co się dzieje? — zawołała Radioli zatrzymując się przy trupie — Cholera, to Kędzior...

Kolejny huk przerwał brzyduli. Jeden z mężczyzn trzymających Alixa padł na ziemię z dodatkowym otworem w głowie.

— Snajper, kryć się!!!

Z drzwi od strony kantyny wymaszerowało stado umarłych, jednak ku zdumieniu Cigarette zupełnie inne niż chwile wcześniej. Zombie szły w szeregu jak zorganizowana armia wybijając takt podszwami. Armia upiórów, prosto z piekielnej bitwy, pokryta krwią wrogów i rozerwana na strzępy przez pociski. Błade twarze umarłych sterczały dumnie na resztkach szyi, w spojrzeniu martwych oczu wyczuwało się iskrę świadomości mrozącą krew w żyłach.

Zombie rozeszli się na boki tworząc przejście dla wpółspalonego nieumarłego ze szpikulcem w piersi.

Vocal wyszedł z mroku i stanął przed żywymi, w ten rozległ się strzał. Wszyscy spojrzeli na najemnika stojącego obok trupa Alixa z pistoletem w ręku z jeszcze dymiącą lufą. Sekundę później kolejny huk przeszył powietrze. Najemnik, stojący przy obcokrajowcu, złapał się za pierś, z której buchnęła struga krwi. Nim zdążył upaść padły dwa kolejne strzały zmieniając głowę nieszczęśnika w krwawą papkę.

Dość!!! — rozległ się krzyk w głowach żywych i umarłych.

Wokół Cigarette świat zszarzał. Dźwięk, woń, ból znikły niemal do zera. Przestrzeń zmalala do pojedynczego, wymagającego elementu. Unoszenia i opadania klatki piersiowej, oddychania, ciężkiego jak po czterogodzinnym maratonie.

Przyszłem was zabić, a nie patrzeć jak zabijacie się wzajemnie. Macie ze mną walczyć, dać z siebie wszystko dla mojej satysfakcji. Pokazać, co potrafia te nędzne karaluchy zwane ludźmi.

Cigarette zadrżała. Rozpoznała głos przyjaciela w głowie, głos przejęty wraz z ciałem przez monstrem, głos, który dziesiątki razy wcześniej pocieszał, odpowiadał dowcipy, obiecywał oraz pomagał. Wszystko w imieniu magii zwanej przyjaźnią.

Dziewczyna poczuła ulgę, psioniczny ucisk zelżał, pozwalając myśleć.

— Ma pani cię pokona! Rozwinie to równanie i zrobi to drugi raz! Zobaczysz śmieciu, spłoniesz w czeluściach na rozkaz zbawczyni! Uniesie rękę, a ty znikniesz maszkaro piekielna! Wrócisz do tej przeklętej ziemi, tam gdzie twoje miejsce!!! W imię mej pani zgiń! Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!!!

Zapłakany mężczyzna w brudnym podkoszulku i wystającym brzuchem pędził na Vocala wymachując pięściami niczym mityczną bronią.

Umarły uniósł brew. Myśląc nad odpowiedzią nie zauważył Radioli, która posłała serię z pistoletu automatycznego. Vocal zignorował dziury po kulach jakby były nic nieznaczącymi zadrapaniami, złapał Gwiazdkę za szyję i rzucił mężczyznę w najemniczkę, przewracając obu na ziemię.

Nieuzbrojona Cigarette zaczęła uciekać na czworakach, starając się jak najmniej rzucać w oczy. Wtem kolejny raz świat zawęził się do oddechu.

Przyjaciółka ma, gdzie ci tak spieszo? Czyżby zapomniała kim jestem, a może pamiętasz, tylko wolisz udawać?

Czarnowłosa poczuła dotyk kości na boku, szorstki chłodny uścisk budzący strach. Skąd się on tu tak szybko wziął?

— Odwróć się zdracznio i spójrz prawdzie w oczy. — Vocal szarpnął Cigarette przewracając dziewczynę na plecy. — Powiedz, co widzisz?

Cigarette zobaczyła spaloną skórę, pozbawioną włosów, wystające kości, pożółkłe zęby o kształcie palików, poczuła oddech trupa, przegniłą woń rozkładu przywodzącą na myśl cebulę z czosnkiem. Czarnowłosa widziała potwora, wściekłe monstrum żądne krwi, przebrane za byłego przyjaciela.

— Potwora.

— Łżesz! — nieumarły uderzył przyjaciółkę w bok fundując Cigarette kilkumetrowy lot. — To ty jesteś potworem, strzelającym w plecy diabłem, gdy ktoś...

Umarłemu przerwała podwójna salwa z broni palnej dziurawiąc plecy Vocala. Zombie momentalnie odwrócił się do Radioli i pomagającego brzyduli najemnika. Ludzie zamarli w bezruchu, broń opadła na ziemię z cichym trzaskiem. Vocal w milczeniu wskazał, kościstym palcem śmierci dwójkę najemników. Dotychczas stojący w szeregu nieumarli drgnęli, po chwili rzucili się na wskazanych żyjących i zaczęli rozszarpać ich na oczach Cigarette.

Czarnowłosa piękność miała dość, chciała umrzeć, uciec od wrzasków umierających. Odkąd wkroczyła do Strefy śmierć stała się towarzyszką przysłaniającą światło dnia, czerwoną posoką. Na początku zabierała niewiele, obcych, zwierzęta, piękne kwiaty, lecz z czasem zaczęła zataczać coraz bliższe kręgi. Kraść znanych wrogów, szanowanych ludzi, kończąc na najbliższym przyjacielu, którego przemieniła w niewolnika. W końcu przyszedł czas na nią samą.

Nareszcie.

Gdy Cigarette chciała już tylko płakać i czekać na koniec dostrzegła klejnot leżący przy Kędziorze. Rubinowy kamień błyszczący w słonecznym świetle. Kofan, artefakt energii, który ogniem zasklepił ranę zaledwie kilkanaście minut wcześniej. Nadzieja rozbłysła w myślach dziewczyny, rozpraszając mroki zwątpienia. Wystarczy tylko sięgnąć po kamień i zniszczyć nim potwora. Nic trudnego, o ile zadziała.

Cigarette zaczęła się czołgać w kierunku rubinowej nadziei, modląc się w duchu by zdążyć, nim Vocal odkryje, co zamierza. Jednak Bóg nie wysłuchał modlitw, lecz ktoś inny. Umarły spojrzał na Cigarette, na twarzy miał smutek.

— Jest tyle rzeczy, które chciałbym ci powiedzieć. Pamiętasz nasze marzenia? — Vocal kucnął obok dziewczyny. — Marzyłem o założeniu stacji radiowej, takiej z prawdziwego zdarzenia. Sprzęt najwyższej półki, własne pasmo o zasięgu na cały kraj. To wam mówiłem, gdy wszyscy we czwórkę rozmawialiśmy po co chcemy iść do Strefy. Jednak, to nie była do końca prawda. W mych marzeniach istniała luka, którą nie potrafiłem

uzupełnić. Zdecydować, co wybrać. Chciałem widzieć ciebie bądź Delektive przy moim boku.

Vocal wstał, patrząc na Cigarette z góry.

Teraz mam inne marzenia. Znacznie większe, dorosłe — dokończył umarły w myślach dziewczyny.

Cigarette chwyciła kofan zaciśnęła palce wokół kamienia, gorączkowo myśląc jak wydobyć z klejnotu energię.

Chciałem ci pomóc, jednak ty mnie odrzuciłaś! — zagłuszył wszelkie myśli Cigarette. Vocal zamachnął się i kopnął czarnowłosą piękność jak piłkę, łamiąc dziewczynie żebra.

— Niiieee!!! Jak śmiesz tknąć moją zbawczynię!

Gwiazdka, który do tej pory obserwował z boku czekając na chwalebny wygraną Cigarette interweniował. Rozpędził się i wbił głowę w brzuch Vocala, powalając umarłego na ziemię. Zombie spłacił dług zaskoczenia szybko i boleśnie. Chwycił Gwiazdkę za szyję, nie bacząc na ciosy pięściami ścisnął gardło szaleńca miażdżąc kręgosłup i zabijając wytatuowanego mężczyznę na miejscu.

Vocal wstał, spojrzał na Cigarette, która także stała na nogach, trzymając się za bok.

Zostaliśmy tylko ty i ja.

Umarły podszedł do dziewczyny, która stała ze spuszczoną głową. Długie czarne włosy zasłaniały twarz Cigarette, po której spływały łzy. Uległa postawa, poddaństwo, przypominały zombie Ritsu, jednak u dawnej przyjaciółki rozbudzały jedynie w umarłym złość. Niepohamowaną wściekłość.

Vocal chwycił Cigarette za szyję i uniósł w górę.

— Teraz dostaniesz to, na co zasługujesz, zdrajczynio.

Dziewczyna wyciągnęła rękę w kierunku przyjaciela, w palcach trzymała kofan. Sięgnęła do energii kamienia tak samo, jak zrobił to Kędzior. Poczula przyjemne ciepło, które rozlało się po całym organizmie, tłumiące ból i strach. Cigarette zebrała całą energię i dotknęła kamieniem Vocala.

Umarły przyjrzał się z zaciekawieniem rubinowemu klejnotowi. Kawałek skóry, w którym stykał się kamień zaczął topnieć niczym śnieg zetknięty z rozżarzonym węglem.

Zaskoczony Vocal wypuścił Cigarette. Płomień rozszerzył się gwałtownie po ciele nieumarłego, paląc resztki ubrań oraz skórę, przeistaczając Vocala w pochodnie. Piekielne widmo, stojące naprzeciw świata w milczącej krucjacie.

Monstrum płonęło, topiąc się z każdą sekundą łącznie z kośćmi. W końcu została po nim tylko sterta prochu. Pozostali nieumarli pozostali bez ruchu, jak zawsze czekając na rozkazy istoty rozumniejszej od nich.

Cigarette opadła na ziemię, podziwiając bezchmurne niebo Strefy.

* * *

Dwa tygodnie później w pewnej knajpie poza Strefą.

— Drink dla wszystkich pięknych pań — powiedział czarnoskóry mężczyzna kładąc banknot studolarowy na blat przed kelnerem. Następnie posłał serdeczny uśmiech w stronę trzech dziewczyn, mówiący “za godzinę widzimy się w moim pokoju na piętrze”. Przyjdźcie, a nie pożałujecie.

Panie odwzajemniły uśmiech, mówiąc tym samym “nie tym razem dupku”.

Delektive zaciągnęła się papierosem, wypuściła kłęb dymu, kaszlnęła kilkakrotnie. Nowy nawyk odziedziczony po zamordowanej snajperce. Jeszcze do końca nie przyzwyczała się do drażniącego działania tytoniu. Po przeciwnej stronie seksbomby siedziała przestępczyni ścigana w ponad połowie krajów świata. Na dekolcie Rubby leżał rubinowy kamień, lśniący w blasku słońca wpadającego przez okno. Dziewczyna czytała. Wodziła wzrokiem od prawej do lewej męcząc tekst niczym student przed egzaminami. Na piersi miała kilka szwów oraz bandaży, identycznie jak na prawej dłoni, na której serdecznym palcu widniała złota obrączka.

Trzecia dziewczyna siedząca przy stoliku, czarnowłosa piękność o przenikliwym spojrzeniu, trzymała w dłoniach szklankę z dietetyczną colą, którą popija ze słomki. Marzyła, aby napić się czegoś mocniejszego, jednak z powodów oparzeń i ran odniesionych podczas wcześniejszej przygody pozostawała na lekach przeciwbólowych pozwalających normalnie funkcjonować.

Pod stołem drzemał pies, który od czasu do czasu unosił powieki sprawdzając co na świecie słychać.

— Co czytasz? — zapytała Cigarette pociągając łyk napoju.

Rubby podniosła okładkę książki, na którym czerwonymi kulfonami zapisano tytuł — „Pierwsza pomoc ilustrowany poradnik dla każdego”.

— Rzygać mi się chce jak to widzę, odkąd wróciliśmy, w kółko jedno i to samo. Pierwsza pomoc tamto, pierwsza pomoc to. Przeczytałabyś coś ciekawszego, na przykład pięćdziesiąt twarzy Greya, lub Minszobu, podróż do wnętrza ziemi. Naprawdę ciekawa i pouczająca lektura. — Delektive puściła obłok dymu w jakimś nieokreślonym kształcie, który w założeniach miał być okręgiem.

— Spasuję, nie lubię takich książek i tak wkrótce wracam do Strefy, za długo tutaj siedzę, zaczynają krążyć plotki. Plotki ściągają gliny.

Cigarette kiwnęła głową.

— W takim razie zapewne już się nie zobaczymy.

— Nie bądź takim czarnowidzem, zawsze możesz wpaść do Strefy i mnie odwiedzić — rzekła Rubby zamykając książkę. — W końcu się przyjaźnimy.

Cigarette przez chwilę milczała. Odkąd poznała przestępczynię nie miała pojęcia co o niej myśleć. Rubby wiedziała o niej znacznie więcej niż powinna. Znała ulubione potrawy, filmy, książki, a nawet tajny znak z dzieciństwa, o którym od lat nikomu nie wspominała. Czarnowłosą trochę przerażał ten fakt. Przestępczyni zachowywała się tak, jakby znała ją od lat, jednak w Rubby było to coś, co pozwalało Cigarette zaufać dziewczynie.

— Wolalabym nie, mam złe wspomnienia. Poza tym mam własne plany. Zamierzam polecieć na Karaiby i odpocząć kilka miesięcy. Co prawda będę tam pracować jako sprzątaczką, jednak tylko pięć godzin dziennie, więc nie jest źle. Jeszcze raz wam dziękuję, gdyby nie wy, to zginęłabym od poparzeń.

— A gdyby nie ty, to Vocal zabiłby nas wszystkich, więc to ja powinnam dziękować — odpowiedziała Rubby.

— Aż trudno uwierzyć, że przeżyliśmy tylko we trójkę — dodała Delektive.

— Dele, a ty jakie masz plany? — zapytała Cigarette.

— Zamierzam się zabawić z tamtym czarnuchem, a potem zobaczymy.

— Byłaby z ciebie idealna burdelmama — zażartowała czarnowłosa piękność.

Delektive zgasiła papierosa i pożegnała dziewczyny swoim charakterystycznym wiosennym uśmiechem.

— To wcale nie taki głupi pomysł, w Strefie na pewno brakuje takich miejsc.

* * *

Strefa, opuszczony teren fabryki konserw, czas nieznany.

Czarna postać o sylwetce przypominającej chłopaka jak i zarówno dziewczynę trzymała w ręce stalowy szpikulec, chodząc wokół trupów. Panowała ciemność. Dokładnie trzydzieści cztery ciała najemników i najemniczek leżały w równym rzędzie przed mutantem. Śmierdziały zgnilizną. Stada owadów oblepiły padlinę brzęcząc irytująco w świetle księżyca.

Mimo wszystko Ritsu był zadowolony. Drobne trudności z przestępczynią i zatrzymanie akcji pierwszego z dwóch serc nie stanowiło żadnego zagrożenia dla życia mutanta. Bardziej irytująca okazała się kilkudniowa śpiączka, która znacznie opóźnia pochowanie nowych ciał. Jednak zanim do tego dojdzie Ritsu musiał wybrać nowego wybrańca, osobiście, co było znacznie łatwiejsze niż manipulacja człowiekiem. Zachęcenie jednostki ludzkiej do ucieczki, graniu na emocjach, wykorzystania podłożonego szpikulca jako broni. W końcu zorganizowanie tak przenoszenia ciała aby jednostka na nie wpadła i wykonała brudną robotę. Wszystko po to, by zachować pozory, by nikt nie skojarzył zdarzeń z nim.

Mutant stanął i mocniej zacisnął palce na szpikulcu. Przed nim leżał trup w ciemnej koszuli, o rysach twarzy obcokrajowca. Dżinsy na kolanach były zdarte, prawa noga obgryziona przez robactwo do kości, na skroni widniał otwór po kuli.

Ritsu uśmiechnął się, znalazł kolejnego wybrańca.

Autor: Darkbloodpony

Pre-riding i korekta: Cinram

Pre-riding: MagiMemNon dziękuję za fanarta :-D Możecie go zobaczyć poniżej.



Tyna Kowalska zwana Szpilką autor obrazka **MagiMemNon**